

WALDEMAR ŻUREK

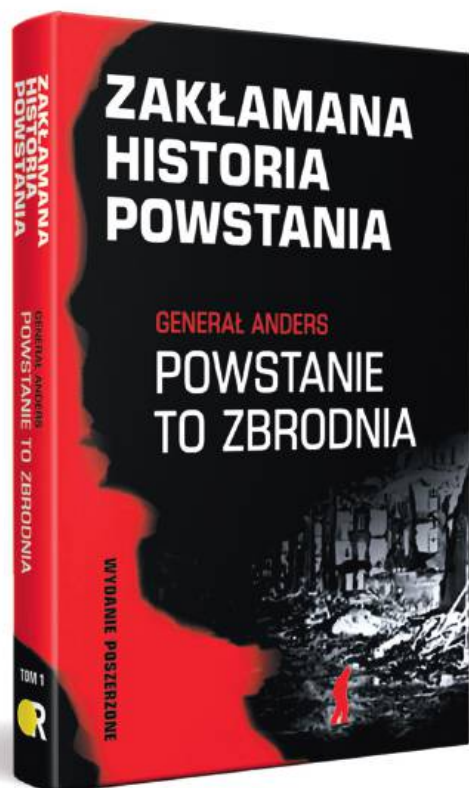
PO CZYNACH GO POZNAMY

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



Prawdziwa historia powstania warszawskiego

- FAKTY, DOKUMENTY, RELACJE ŚWIADKÓW
- BEZ FAŁSZERSTW, ZMYŚLEŃ I MITÓW



Tom I 60 zł



Tom II 70 zł

E-book
tylko 29 zł



Pakiet
110 zł



Zamów na sklep.tygodnikprzeгляд.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską.



Paweł Dybicz MÓJ PRZEGLĄD

Wnioski z powstańczej traumy

Niewiele jest miejsc w Warszawie, które w czytelny sposób pokazują miasto i jego mieszkańców w czasie powstania 1944 i po nim. Zdjęcia, tablice, głównie na Starówce, mają przedstawiać turystom zagładę stolicy i ogrom tragedii warszawiaków. Wątpię jednak, by te nieliczne artefakty wywoływały u zagranicznych gości pytania, czy do tego dramatu musiało dojść. My spór o sens powstania toczymy od chwili jego wybuchu, a jego początki zaczęły się nawet przed godziną W. Ten spór o zasadność powstania pewnie toczyć się będzie jeszcze przez następne pokolenia, do czasu aż zaczną być ono traktowane w podobny sposób jak dziś dziewiętnastowieczne zrywy niepodległościowe. I budzić będzie zainteresowanie jedynie zawodowych badaczy dziejów Polski oraz miłośników historii.

W powstaniu zginęło ok. 18 tys. powstańców i od 150 do 200 tys. cywilów. Stolica Polski została zniszczona w niemal 80%, zburzono zabytki, zakłady przemysłowe i domy. Ludność Warszawy została wypędzona, a miasto poddane planowemu wyburzeniu. Oto najkrótszy bilans tego zrywu.

Powstańcy warszawscy w większości znaleźli się w niemieckich obozach jenieckich, część ukryła się wśród cywilów albo, jak powstańcy z AL, przedarła się na wyzwoloną Pragę, gdzie stacjonowali już żołnierze 1. Armii Wojska Polskiego. Nie wiadomo dokładnie, ilu powstańców trafiło do kościuszkowców. Na jednym z powszechnie znanych zdjęć

przedstawiającym żołnierzy 1. Armii WP na tle ruin Berlina widnieje sierżant Zbigniew Konopiński, były żołnierz Zgrupowania AK „Kryśka”. Dla niego i jemu podobnych to Berlin był prawdziwym zakończeniem powstania.

W III RP powstanie przerobiono na historyczny event, quasi-święto. Muzeum Powstania Warszawskiego w niewielkim stopniu wyzwała refleksję nad ofiarą, jaką ponieśli ówczesni warszawiacy. Mitologizacja powstania doprowadziła do tego, że bardziej kojarzy się ono z powstańczymi piosenkami, upamiętniającymi nie śmierć, ludobójstwo i zagładę miasta, ale przekonanie o moralnym zwycięstwie nad Niemcami i Stalinem. Muzeum ma być rozbudowane, zapadły już w tej sprawie decyzje finansowe. Jeżeli jednak kolejne setki milionów złotych mają wzmacniać to zwycięskie przesłanie, będą to pieniądze wyrzucone w błoto... historii.

Czy Polacy wyciągnęli wnioski z powstania? Uważam, że tak. Choćby w Październiku '56 powstańcza trauma powstrzymała polską władzę i społeczeństwo (w przeciwieństwie do Węgrów) od rzucania wszystkiego na stos. Nauczyła rozważności, pokazała, że rozmowy i wzajemny szacunek mają większą siłę niż niejedna wystrzelona kula. Także Okragły Stół, wykorzystujący chwilę dziejową, jest dowodem na to, że lekcję powstania przynajmniej część z nas przerobiła we właściwy sposób. Z wyjątkiem tych, którzy zbijają na nim kapitał. Nie tylko polityczny.

Paweł Dybicz

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Czas na twardą sprawiedliwość**
Waldemar Żurek – bat na PiS
- 11 Rekonstrukcja:
czy premier odzyskał moc?**
Plan minimum zrealizowany
- 14 Co to za cholera?**
Higiena podstawą zapobiegania
- 16 Matma to nasze hobby**
– rozmowa z Włodzimierzem Zieliczem
- 20 Potrzebni, choć niechciani**
Migranci pracują na polski PKB
- 24 Przez ucho do serca**
Koncert tych, którzy nie słyszeli
- 26 Mity PiS**
Wiecznie kłamią
- 30 Kultura narodowa to suma kompetencji
kulturalnych społeczeństwa**
– rozmowa z Waldemarem Dąbrowskim

HISTORIA

- 34 Rzeź Woli: nieukarane ludobójstwo**
Zbrodnie w pierwszych dniach powstania warszawskiego

ZAGRANICA

- 38 Epidemia, która trwa**
Korespondencja z USA
- 42 Portugalia zaostrza przepisy imigracyjne**
Zamykanie drzwi dla obcych

SPORT

- 46 Powrót do Europy**
Ekstraklasa rośnie w siłę

KULTURA

- 48 Czwarty akt „Wesela”**
Zapomniane powstanie 1905 r. w teatrze
- 50 Culturalia**
- 66 Karolina Świdecka**
Bardzo długi lipiec

ZWIERZĘTA

- 52 Fascynujący świat owadów**
Najliczniejsze gatunki na Ziemi

PSYCHOLOGIA

- 55 Każda rozmowa jest niewiadomą**
– rozmowa z Lucyną Kicińską

OBSERWACJE

- 58 Przymusowe adopcje**
Włoski Kościół handlował dziećmi

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Paweł Dybicz**
Wnioski z powstańczej traumy
- 19 Jan Widacki**
Pod bacówką i na Facebooku
- 23 Roman Kurkiewicz**
Proszę się cofnąć do przodu
- 45 Tomasz Jastrun**
Czekanie na barbarzyńców
- 51 Wojciech Kuczok**
Puszcza Warszawa



16
KRAJ

MATMA TO NASZE HOBBY

– rozmowa z Włodzimierzem Zieliczem

24
KRAJ

PRZEZ UCHO
DO SERCA
Koncert tych,
który nie słyszeli



52
ZWIERZĘTA

FASCYNUJĄCY ŚWIAT OWADÓW

Najliczniejsze gatunki na Ziemi

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS



f Przykro już było, będzie tylko przykrej

Pan prezydent Andrzej Duda nie stanął na wysokości zadania w kwestii uregulowania relacji polsko-ukraińskich. Był stroną nadskakującą, nazbyt usłużną, nie wymagał zbyt wiele od strony ukraińskiej. Honorował najwyższym polskim odznaczeniem państwowym człowieka, który palcem nie



kiwnął w sprawie ekshumacji Polaków (ofiar OUN i UPA), spoczywających w bezimiennych dołach na terenie Ukrainy. Odznaczył człowieka, który nie miał odwagi przyznać, że to rakietą wystrzeloną przez Ukraińców uśmierciła dwóch Polaków w Przewodowie. A także człowieka

opowiadającego w ONZ opowiadał bzdury na temat Polski, która bardzo pomagała i nadal pomaga Ukrainie. Nie ukrywam, że mam o to wszystko duży żal do prezydenta Dudy. Głowa ukraińskiego państwa wykonywała tylko mało znaczące gesty, a w kwestii czystek etnicznych dokonanych na Polakach przez OUN i UPA Zelenski zastaniał się niewiedzą.

Damian Paweł Strączyk

Od Aleksandra Kwaśniewskiego mamy ciągły zjazd w dół, jeśli chodzi o kompetencje prezydentów. Poziom prezydenta jest odzwierciedleniem poziomu narodu, który go wybiera. Lata „walki z komuną” i szkolnej indoktrynacji antylewicowej przynoszą efekty. *Marcin Malinowski*

Czy Duda chciałby uczyć studentów, w jaki sposób łamać konstytucję? Duda jest tak skompromitowany, że nadaje się na śmietnik historii. *Joanna Bachlej*

f Jak prawica fałszuje historię PRL

Za 20 lat doczekamy się nowego pokolenia „historyków”, które naszych rodziców zacznie nazywać zdrajcami i pacholkami Moskwy. Tylko dlatego, że urodzili się w PRL. Oczywiście z wyłączeniem działaczy Solidarności. A przy okazji pisania historii na nowo wspomnę też, że w ramach przebudowy placu Defilad w Warszawie rozebrano i postawiono na nowo trybunę honorową. Godło PRL już na nią jednak nie wróciło.

Mateusz Stasiński



f Kraj drogowych zabójców

Polacy mają się zabijać w starych niemieckich samochodach – po to zlikwidowano transport publiczny. To jedno z założeń transformacji.

Paweł Stawicki

f Brunatna Polska wstaje z kolan

Ważny artykuł, ale trudno zrozumieć, czemu pojawił się ten wtęret: „na świętej słowiańskiej ziemi”. Po pierwsze, święta chrystianizacja zawłaszczała i niszczyła historyczną spuściznę po Słowianach, traktując ją za coś gorszego i nieujarzmionego. Stosunek nazistów do Słowian też jest znany. Po drugie, słowiańszczyźnie nie jest potrzebna bandyterka wszelkiej maści. Czy ktoś wyobraża sobie święte krzyże na Akropolu? A w Polsce znajdują się w wielu miejscach ważnych dla mitologii słowiańskiej. Przykład – XIX-wieczny krzyż na głazie Trygław w Tychowie.

Dorota Kaczmarek



ZDJĘCIE TYGODNIA



Następcy Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego czekają na swojego bohatera na Lotnisku Chopina. Warszawa 24 lipca 2025 r.

Prezydent Andrzej Duda podpisał ustawę, która bezterminowo chroni strategiczne firmy przed przejściami przez podmioty spoza UE. Nowe przepisy weszły w życie 24 lipca. Prezydent podpisał również ustawę o wypowiedzeniu tzw. konwencji ottawskiej, zabraniającej używania min przeciwpiechotnych. Na podobny krok w obliczu rosnącego zagrożenia ze strony Rosji zdecydowały się m.in. kraje bałtyckie i Finlandia.

Około 2,5 mld zł **kosztowała podatków prezydenta** Andrzeja Dudy, który w ciągu 10 lat zarobił ok. 2,4 mln zł netto. Wszystkie koszty utrzymania prezydenta ponosiło państwo. Także 130 tys. zł składek emerytalnych jego żony.

Nowym ambasadorem nadzwyczajnym i pełnomocnym Federacji Rosyjskiej w RP został **Georgij Wiktorowicz Michno**, który zastąpi Siergieja Andriejewa. Wcześniej Michno był wiceszefem Departamentu ds. Nowych Wyzwań i Zagrożeń w rosyjskim MSZ.

Przeciętne miesięczne wynagrodzenia w sektorze przedsiębiorstw wyniosło w czerwcu 8,9 tys. zł i było o 9% wyższe niż rok temu. Największy wzrost wynagrodzeń zanotowano w górnictwie i przemyśle wydobywczym – 21%. Średnie wynagrodzenie w tej branży wynosi 17 tys. brutto.

W ciągu pięciu miesięcy 2025 r. **sektor bankowy zarobił w Polsce** 20,9 mld zł (na czysto), czyli o 20,4% więcej niż w tym samym czasie rok wcześniej.

W ubiegłym roku po raz pierwszy od 25 lat **więcej Polaków wróciło z Niemiec** (ponad 90 tys.), **niż do nich wyjechało** (ponad 82 tys.).

Prawie 80% Polek i Polaków opowiedziało się za **utrzymaniem dotychczasowego wieku przejścia na emeryturę**: 60 lat dla kobiet i 65 lat dla mężczyzn – wynika z badań przeprowadzonych przez Instytut Pracy i Spraw Socjalnych. Jednocześnie co szósta Polska i co piąty Polak chciałby kontynuować pracę po uzyskaniu uprawnień emerytalnych.

125,9 mln dni absencji chorobowych pracowników odnotowano od stycznia do maja 2025 r. (**ZUS**).

W 2024 r. pacjenci powyżej 65. roku życia pobrali średnio **35 opakowań bezpłatnych leków**. Na liście tych leków widnieją 3683 pozycje, co stanowi ok. 80% wszystkich refundowanych środków w aptekach.

Zadłużenie jednoosobowych działalności gospodarczych wzrosło w tym roku o 50 mln zł i przekracza już 5,5 mld zł.

Senat Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego **postanowił o zamknięciu** Katedry Literatury i Języka Rosyjskiego oraz likwidacji kierunku filologia rosyjska. Cały księgozbiór katedry wystawiono na sprzedaż. Wszystkie słowniki, encyklopedie, albumy i literaturę piękną wyceniono po złotówce.

Najbardziej zadłużonym miastem w Polsce jest **Kraków**. Na koniec 2024 r. było to 6,84 mld zł, co dawało 8,45 tys. zł na mieszkańca.

PRZEBŁYSKI

Rabin o Morawieckim

Co Polacy wiedzą o Mateuszu Morawieckim? Wyjątkowy, nawet jak na PiS, miglanc. Poglądy, jeśli ma, to bardzo zmienne. W internecie pełno jego wynurzeń. Jednak nie zawsze był gadułą. Znajomością z charyzmatycznym rabinem Shmuleyem Boteachem zbytnio się nie chwalił. A przecież to rabin dość nietypowy. Był rabinem studentów w Oxfordzie. Popierał społeczność LGBT. Przewodził sklep z kosztownymi gadżetami erotycznymi. Shmuley Boteach znalazł się wśród 50 najbardziej wpływowych rabinów na świecie. Ma zdjęcia z Andrzejem i Agatą Dudami oraz z kard. Rysiem.

Morawiecki zjadł z rabinem kolację, o której Boteach tak napisał na Facebooku: „Miałem dziś wieczorem (koszerną) kolację z polskim premierem Mateuszem Morawieckim – łaskawie wysłuchał moich obiekcji co do polskiej ustawy o Holokauście i przedstawił własne spojrzenie na kwestie polskiego cierpienia doznanego od nazistów. Jest to człowiek inteligentny i ciepły, który głęboko zna historię i którego dzieci uczęszczały do szkół żydowskich”.

Wzruszyła nas ta ojcowska troska o przyszłość dzieci.



Mikosz z chińską tandetą

Co z tą Pocztą Polską? Wkurzeni klienci. Pracownicy zestresowani, marnie wynagradzani i zagrożeni zwolnieniami. A na szczycie karuzela prezesów bez pojęcia, gdzie są i po co.

Jak nie Zdzikot od Macierewicza, to Sasin wciskający poczdzie wybory koper-towe. Nowa władza też jej nie rozpiesz-cza. Na prezesa wysłała Sebastiana Mikosza. Specjalistę od zwolnień, cięć i redukcji, czyli w jego języku: optymalizacji zatrudnienia. Mikosz nie zna słowa dialog. Jego rządowi w PLL LOT towarzyszyły akcje protestacyjne i strajki. Podobnie, choć bardzo krótko, rządził w Kenia Airways. Tam załogę łała policja, byli ranni. Dla związku zawodowego Kenia Aviation Workers Union „był symbolem kolonialnego zarządzania”. Pocztę Polską chce przekształcić na podobieństwo francuskiej. Ma być cyfrowo i nowoczesnie. Jakoś dziwnie zaczął, bo od umowy z chińskim gigantem Temu, któremu polscy listonosze będą łączyć miliony paczek z tandetą.

Starokatolicy w Gambii

Niegrzeszący wielkością Kościół Starokatolicki w Polsce dotychczas do dość powszechnego wśród ludzi złodziejstwa. Szczególnie paskudnego, bo okradziono ludzi w potrzebie. I to na wielką skalę. Ponad 18 mln zł warta była żywność, która opatrzona logo Unii Europejskiej, polską flagą i napisem „Artykuł nie jest przeznaczony do sprzedaży”, trafiła do hurtowni na Podhalu, do sklepów na Słowacji i Ukrainie, a nawet do minimarketów w Gambii. Dziennikarze Onetu opisali te przekręty. A resztę ma zrobić Prokuratura Europejska. Może dowiemy się, kto zarobił na handlu gotowymi daniami w stoikach, płatkach owsianych górskich, kaszy, mleku w kartonach i innych produktach.





PYTANIE TYGODNIA | Czy Platforma Obywatelska wie, dlaczego przegrywa?

PROF. MICHAŁ WENZEL,
socjolog, USWPS

To nie Platforma przegrywa, ale Koalicja Obywatelska. PO zrezygnowała ze swojej niezależności i podmiotowości na rzecz KO, a następnie Koalicji 15 Października. Platforma była partią centroprawicową. W przypadku KO zaś nie wiadomo, czym do końca jest. Nie ma w niej bowiem jednego profilu światopoglądowego, a dodatkowo jest utożsamiana z koalicją rządową, będącą jeszcze szerszym tworem bez części wspólnej. Ta ostatnia powstała, aby odsunąć PiS od władzy, ale obejmując władzę, straciła jednocześnie rację bytu i nie wypracowała sobie nowego celu. Oferuję KO następujący pomysł: trzeba wziąć przykład z Leszka Millera i tego, co zrobił 27 lat temu. Miller zastał SLD w opozycji, składający się wówczas ze zbieraniny organizacji i działaczy i stworzył z niego jednorodny organizm polityczny. Koalicja powinna postawić teraz na spójność.

DR EWA PIETRZYK-ZIENIEWICZ,
politolożka, UW

Nie do końca mam takie wrażenie. Niektórzy platformersi lepiej zdają sobie z tego sprawę, inni zaś żyją na antypodach realnego świata. Jeśli politycy Platformy będą tak dalej percepcyjnie się ustawiać wobec rzeczywistości, to niczego dobrego tej formacji nie wróżę. Pytanie też, skąd Platforma ma to wiedzieć, skoro nawet jej rzecznik, jeśli go uważnie wysłuchać i brać wszystko, co mówi, na serio, nie zdaje sobie z tego sprawy. Chyba że w Platformie umówili się, że nie będą niczego komentować na serio.

JACEK ŻAKOWSKI,
publicysta tygodnika „Polityka”

Słowa premiera Tuska, że nie należy ulegać defetyzmowi, są objawem pewnej świadomości. Mamy też ruchy świadczące o tym, że Platforma próbuje coś z tym zrobić. Są spore zmiany w rządzie. Z radaru zniknął Rafał Trzaskowski. Po tak przegranych wyborach trudno nie mieć świadomości, że się przegrywa. Platforma działa jednak

podobnie do kogoś, kto tonie. Taka osoba macha rękami na oślep i nie do końca działa racjonalnie, co samo w sobie jest niebezpieczne.

WIESŁAW GAŁĄZKA,
konsultant i doradca polityczny

Widać pierwsze objawy, po których można wnioskować, że po 20 latach do decydentów Platformy zaczęło docierać, jak ważna jest informacja. Chodzi o komunikowanie ludziom, z jakimi problemami zmagają się na co dzień rząd i jakie ewentualne sukcesy odnosi. Platformie potrzeba przeciwwagi do pisowskiej propagandy, której ulega przeciętny obywatel. Potrzeba jej, nazwijmy to roboczo, własnej propagandy sukcesu. Na korzyść Platformy może zadziałać Karol Nawrocki, jeśli będzie ułaskawiał kolejnych aferzystów. Obawiam się jednak „powtórki z rozrywki”. Samozadowolenie, które zaślepią, a tym cechuje się Platforma, już niejednokrotnie sprawiło, że ta formacja traciła kolejne szanse na zwycięstwo.

Czas na twardą sprawiedliwość

Politycy PiS są wściekli na nominację Waldemara Żurka, bo jako ofiara represji ma on rozległą wiedzę o ich przestępczej działalności

Andrzej Sikorski

Powołanie sędziego Waldemara Żurka na stanowisko ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego wywołało skrajną ekscytację wśród polityków i komentatorów. „To jest hardkorowy kandydat, który moim zdaniem nie będzie brał jeńców. I rozliczenia w zakresie wymiaru sprawiedliwości, tak wyczekiwane przez środowiska naszych wyborców, chyba przyspieszą”, mówił wicemarszałek Sejmu Piotr Zgorzelski (PSL). „To nadzieja na sprawiedliwość i rozliczenie pisowskich afer”, dodał europoseł Dariusz Joński (KO).

Za rządów PiS Żurek był najbardziej prześladowanym sędzią. Rzecznicy dyscyplinarni Ziobry wytoczyli mu 23 bezpodstawne postępowania dyscyplinarne.

Pod drugiej stronie barykady są politycy PiS. „To jest człowiek, który nie ma żadnych skrupułów i zasad. To jest człowiek, który lekceważy sobie podstawowe zasady porządku prawnego. To jest człowiek, który nawoływał do popełnienia przestępstw, jak choćby wkroczenie nielegalne z użyciem siły do Krajowej Rady Sądownictwa czy też stawienie zarzutów sędziom Sądu Najwyższego (...). To jest osoba, która składała nieuzasadnione i całkowicie bezpodstawne – bez jakichkolwiek podstaw faktycznych i prawnych – zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa”, bredził Zbigniew Ziobro.

Byłemu ministrowi wtórowali partyjni koledzy i sfraternizowani z nimi sędziowie, jak chociażby neosędzia Kamila Borszowska-Moszowska z Sądu Okręgowego w Świdnicy. „Wizja,

że pan – jeszcze sędzia – Waldemar Żurek zostanie ministrem sprawiedliwości, biorąc pod uwagę jego postępowanie, jest przerażająca. Mam wrażenie, że zagłębiamy się w otchłań bezprawia, które będzie postępowało z dnia na dzień”, biadoliła.

Wściekłość pisowskiej prawicy, która przez osiem lat demolowała wymiar sprawiedliwości i podporządkowywała go partyjnym interesom, jest zrozumiała. Żurek podpadł politycznym rozbójnikom, gdy jeszcze jako rzecznik legalnej Krajowej Rady Sądownictwa (którą PiS wbrew konstytucji rozwiązało w trakcie kadencji) recenzował nadużycia władzy. Z czasem stał się jedną z głównych twarzy

spraw proceduralnych na posiedzeniach niejawnych, bez udziału stron i obecności na sali rozpraw, co jest standardową procedurą. Zastępca rzecznika dyscyplinarnego Michał Lasota uznał, że Żurek nie mógł wydawać tych orzeczeń, bo nie było go wtedy w sądzie (jako rzecznik legalnej KRS często przebywał w Warszawie), i zarzucił mu poświadczenie nieprawdy w dokumentach. Tyle że obecność Żurka w sądzie potwierdzili inni sędziowie. Okazało się, że Lasota nie zna prawa. Żurek mógł podpisywać orzeczenia z inną datą, niż je wystawiano, i mógł to robić nawet w domu lub w czasie podróży służbowej.

„To postępowanie pokazuje, jak ogromną ilość energii poświęcili tzw. rzecznicy dyscyplinarni ministra Ziobry, by dopaść mnie i innych sędziów. Ściągali i przeglądali setki spraw, które prowadziłem, by coś na mnie znaleźć. Trafowano mnie najpierw pod kątem rzekomo niestusznie pobranych diet z KRS. A jak nic nie znaleziono, to próbowano zrobić ze mnie fałszerza orzeczeń. Nie spocznę, dopóki wszyscy winni niszczenia niezależności polskich sądów nie poniosą za to odpowiedzialności”, mówił Żurek w rozmowie z portalem OKO.press.

Żurek miał też dyscyplinarkę za nieprawomyślną choinkę bożonarodzeniową, którą postawił w holu krakowskiego sądu. Znalazły się na niej ozdoby nawiązujące do wydarzeń społeczno-politycznych: uchodźców, praworządności, praw osób LGBT oraz z flagą Unii Europejskiej i napisem „Konstytucja”. Podpadł też za to, że odmówił orzekania z neosędziami. Pisowskiej władzy nie spodobało się, że Żurek w ramach akcji Tour de Konstytucja PL wyjaśniał dzieciom, jakie mają prawa. Podczas innego

protestu środowisk sędziowskich. Broniąc praworządności, zapłacił wysoką cenę.

Dyscyplinarny recydywista

Za rządów PiS Żurek był najbardziej prześladowanym sędzią. Rzecznicy dyscyplinarni Ziobry wytoczyli mu 23 bezpodstawne postępowania dyscyplinarne. Sędziemu postawiono kilkadziesiąt zarzutów, co miało skompromitować go jako sędziego i wywołać efekt mrozący na innych prawnikach.

W największej dyscyplinarnce Żurek usłyszał 68 zarzutów. Dotyczyły one rzekomego fałszowania orzeczeń. Sprawa była dęta, a poszło o to, że sędzia w latach 2012-2018 wydawał w składach kolegialnych lub jednoosobowych orzeczenia dotyczące



Rozprawa dyscyplinarna sędziego Waldemara Żurka w Sądzie Apelacyjnym w Katowicach, 31 stycznia 2020 r.

spotkania sędzia obraził majestat Zbigniewa Ziobry, bo solidaryzował się z represjonowanymi sędziami, mówił o politycznym przejęciu wymiaru sprawiedliwości i o tym, że sędziowie muszą stać na straży konstytucji. Pozostałe dyscyplinarki dotyczyły m.in.: stosowania prawa europejskiego, krytyki „reform” Ziobry, krytyki Prokuratury Krajowej, kwestionowania statusu neosędziów i neo-KRS, udziału w debacie o wymiarze sprawiedliwości, a także rozmów z dziennikarzami, w tym informowania o szykanach, które spotykały jego i bliskich w związku z działalnością na stanowisku rzecznika legalnej KRS.

Pod ostrzałem hejterów

Żurek był też jedną z ofiar afery hejterskiej w Ministerstwie Sprawiedliwości. Przypomnijmy, Łukasz Piebiak, zaufany Zbigniewa Ziobry, oraz kilku innych sędziów związanych z resortem mieli dostarczać Emilii S. (zwanej „Małą Emi”) materiały o charakterze wrażliwym, uderzające w sędziów niewygodnych dla pisowskiej władzy. Emilia S. zamieszczała uzyskane nielegalnie materiały w mediach społecznościowych lub przekazywała je propisowskim mediom.

Hejterzy wzięli na celownik sprawy rodzinne i majątkowe sędziego. Zarzucano mu ukrywanie majątku oraz to, że nie chciał płacić alimentów na rzecz córek z pierwszego małżeństwa. Na Twitterze na prawnika wylała się fala hejtu. Sędziemu grożono: „Wypierdajaj z Polski, gnido”, „Pamiętaj, śmieciu, patrzymy ci na ręce”. Padaly wyzwiska: „pseudosędzia”, „pseudoczłowiek”, „pseudoojciec” czy „kolekcjoner nieruchomości”.

Za szkalowanie Żurka „Mała Emi” została skazana w marcu br. nieprawomocnie na karę grzywny. „Nie mam satysfakcji, ale cieszę się, że ta sprawa dzisiaj się skończyła, bo widzieliśmy, jak przez szereg lat była sabotowana. Wiem, że »Mała Emi« była wykonawcą brudnej roboty. Chciałbym, by na ławie oskarżonych zasiedli jej mocodawcy”, mówił po ogłoszeniu wyroku sędziego.

W głównym śledztwie dotyczącym afery hejterskiej prokuratora chce postawić kilkadziesiąt zarzutów (m.in. udziału w zorganizowanej grupie przestępczej) współpracownikom Zbigniewa Ziobry. Chodzi o Przemysława Radzika, jednego z trzech głównych rzeczników dyscyplinarnych, Łukasza Piebiaka, byłego wiceministra sprawiedliwości,

sędziów Jakuba Iwańca i Arkadiusza Cichockiego. Sprawa jednak stanęła w martwym punkcie, bo zgodę na uchylenie immunitetów sędziowskich musi wydać Izba Odpowiedzialności Zawodowej w Sądzie Najwyższym (poprzedniczka nielegalnej Izby Dyscyplinarnej), w której zasiadają neosędziowie powołani przez PiS.

Na celowniku władzy

Nienawiść przybrała drastyczniejsze formy niż hejt. Dom Żurka obrzucono jajkami i przebito opony w jego samochodzie. Sędzia był również nękanym licznymi kontrolami Centralnego Biura Antykorupcyjnego i skarbowki. Wzywano go na przesłuchania do CBA i prokuratury. Sprawdzano oświadczenia majątkowe. CBA wysyłało do różnych instytucji – banków, firm ubezpieczeniowych czy biur maklerskich – pytania o ewentualne inwestycje finansowe sędziego. Agenci nachodzili urzędników gminy Cisna, gdzie Żurek 20 lat wcześniej kupił działkę rekreacyjną. Wtargnęli wieczorem do domu sołtysa wsi w Bieszczadach, któremu sędzia sprzedał stary ciągnik do zrywki drewna. Sprawdzano, czy Żurek zapłacił podatek od tej transakcji w wysokości ok. 800 zł. Niczego nie znaleziono.

Niezłomnego obrońcę praworzędności próbowano złapać na czymkolwiek. Gdy w 2018 r. Żurek doznał wypadku w pracy (w sądzie został potrącony przez maszynę do czyszczenia podłóg pchaną przez operatora, wynikiem czego było ciężkie uszkodzenie kolana), prezeska Sądu Okręgowego w Krakowie Dagmara Pawełczyk-Woicka nie chciała podpisać protokołu prac komisji powypadkowej. Najpierw twierdziła, że nie ma zapisu monitoringu, a gdy ten się pojawił (po kilku miesiącach), uznała, że komisja została powołana wadliwie. Utworzono więc nową, która wydała decyzję już po myśli szkolnej koleżanki Zbigniewa Ziobry. Tym razem komisja uznała, że zderzenie Żurka z maszyną nie było wypadkiem. Mało tego! Uznano, że sędzia chce wyłudzić odszkodowanie, a Prokuratura Krajowa wszczęła nawet w tej sprawie postępowanie. ▶

► Podwładni Ziobry wzięli też na celownik Żurka, bo ten z sędzią Wojciechem Maczugą mieli się dopuścić przestępstwa zniewagi, wieszając w krakowskim sądzie plakaty w obronie represjonowanego sędziego Macieja Czajki, karnie przeniesionego do innego wydziału przez prezeskę Pawełczyk-Woicką. Podczas akcji Żurek i Czajka zostali przydybani przez dyrektora sądu Piotra Słabego, który zaczął zrywać obrazoburcze afisze. Między panami doszło do wymiany zdań, a Żurek i Maczuga żartowali, że Słaby zachowuje się niczym ormowiec, bo

Co szokujące – pisowscy sędziowie rozpatrzyli sprawę na posiedzeniu niejawnym, odmawiając Żurkowi i jego pełnomocnikowi uczestnictwa w postępowaniu.

Ofiara reżimu

W 2022 r. Europejski Trybunał Praw Człowieka uznał, że Waldemar Żurek był ofiarą represji. „Na tym tle i mając na uwadze kumulację środków podjętych przez władze, wydaje się, że można je scharakteryzować jako strategię mającą na celu

zawiadomienia do prokuratury, m.in. na rzeczników dyscyplinarnych, szefową neo-KRS Dagmarę Pawełczyk-Woicką, oraz CBA, a w Sądzie Okręgowym w Warszawie precedensowy pozew o ochronę dóbr osobistych przeciwko skarbowi państwa. A dokładnie przeciw najważniejszym instytucjom państwa: Ministrowi Sprawiedliwości, Prokuratorowi Generalnemu, Pierwszemu Prezesowi Sądu Najwyższego, Prezesowi Sądu Okręgowego w Krakowie, Rzecznikowi Dyscyplinarnemu Sędziów Sądów Powszechnych i Szefowi Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Na ponad 300 stronach pozwu Żurek opisał szkany i represje, jakich doznał za czasów rządów PiS. Domaga się miliona złotych za wyrządzone krzywdy i przeprosin w najważniejszych mediach.

Oczekiwania obozu demokratycznego wobec nowego ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego są ogromne. Oprócz rozliczeń pisowskich aferzystów palącym problemem są neosędziowie. Waldemar Żurek będzie musiał poradzić sobie z upolitycznionymi izbami Sądu Najwyższego, tzw. Trybunałem Konstytucyjnym i neo-KRS, czyli de facto przybudówkami PiS. Zadanie wydaje się karkołomne, zważywszy na nowego lokatora Pałacu Prezydenckiego, który zapowiedział konfrontacyjną politykę wobec rządu.

Andrzej Sikorski

Nienawiść przybrała drastyczniejsze formy niż hejt. Dom Żurka obrzucono jajkami, przebito opony w jego samochodzie.

za komuny też ścigano opozycję za podobne wybryki. Akcja została nagrana i trafiła do internetu, co podobno rozwścieczyło Pawełczyk-Woicką.

Ziobro postanowił zemścić się na Żurku, mieszając się w jego prywatne sprawy z byłą żoną. Jako prokurator generalny wniósł w imieniu kobiety trzy skargi nadzwyczajne do powołanej przez PiS nielegalnej Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych w Sądzie Najwyższym. Domagał się skasowania prawomocnych wyroków sądowych, które zapadły na korzyść sędziego. Jeden z nich został zmieniony w ten sposób, że Żurek musiał być żonie wypłacić 100 tys. zł.

zastraszenie (lub nawet ucieszenie) skarżącego w związku z poglądami, jakie wypowiedział w obronie praworządności (...). Trybunał uważa, że kwestionowane środki niewątpliwie miały »efekt mrozący« w tym sensie, że musiały zniechęcać nie tylko skarżącego, ale także innych sędziów, do udziału w debacie publicznej na temat reform sądownictwa”, stwierdził ETPC.

Politycy PiS są wściekli na nominację Żurka na ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego, bo jako ofiara represji ma rozległą wiedzę na temat ich przestępczej działalności. Sędzia złożył liczne

Z głębokim żalem żegnamy

Halinę Krzywdziankę-Wróblewską

Znakomitą liderkę Związku Młodzieży Wiejskiej, naczelną redaktor tygodnika ZMW „Zarzewie”, inicjatorkę niezliczonej ilości krajowych i lokalnych pomysłów. Służyła Polsce sercem, talentem, pracowitością i odpowiedzialnością. Skromna, koleżeńska, zawsze życzliwa i chętna do pomocy osobom potrzebującym.

Najserdeczniejsze wyrazy współczucia

Córcie prof. Krystynie Wróblewskiej-Pawlak i Rodzinie

składają
Przyjaciółki i Przyjaciele
Krajowe Stowarzyszenie Pomocy Szkole

Po długiej i ciężkiej chorobie
odszedł nasz Przyjaciel

WIESŁAW DĘBSKI

Absolwent Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Znakomity dziennikarz i komentator polityczny. Mądry i ideowy człowiek, od lat studenckich zaangażowany w życie społeczno-polityczne. Pozostanie w naszej najlepszej pamięci ze swoją ważną i inspirującą rolą we wspólnej działalności w Socjalistycznym Związku Studentów Polskich.

Córcie i Synowi oraz Bliskim

składamy wyrazy głębokiego współczucia.

Przyjaciele
z Komitetu Wykonawczego Rady Naczelnej SZSP (1980-1982)

Rekonstrukcja: czy premier odzyskał moc?

Jeżeli się nie uda, to koniec. Okręty zostały spalone



Zaprzysiężenie nowych ministrów, Warszawa
24 lipca 2025 r.

Robert Walenciak

Rekonstrukcja rządu była jak przeroszona ciąża. Po raz pierwszy premier Tusk zaczął o niej mówić w lutym. Wtedy zapowiadał, że gdy Rafał Trzaskowski będzie prezydentem (innego wariantu nie dopuszczano), to w tych nowych okolicznościach przeprowadzone zostaną zmiany organizacyjne i legislacyjne. Rekonstrukcję widziano więc jako eksplozję siły Donalda Tuska.

Później premier o rekonstrukcji mówił w czerwcu. I już nie było eksplozji siły, raczej rozpaczliwa próba złapania oddechu. Trwało to tygodniami i budziło szydercze komentarze, że za chwilę trzeba będzie rekonstruować samego premiera. Wydawało się, że koalicja rządowa nie wyszła z powyborczego szoku.

A Konfederacja i PiS triumfowały, jakby za chwilę miały brać władzę.

Wreszcie rekonstrukcja się dokonała. I – przynajmniej – nawet przeciwnicy obecnej władzy – Tusk wychodzi z tej operacji z tarczą. Po raz pierwszy od 1 czerwca to on, a nie jego przeciwnicy, narzuca polityczny ton, ma inicjatywę, przyciąga uwagę publiczności i komentatorów.

Rozpadająca się koalicja, pozbawiony energii premier, sparaliżowani defetyzmem ministrowie – taki obraz rządu budowano przez cały czerwiec i połowę lipca, a wzmacniały go sceny z polskiej granicy zachodniej, z bojówkami Bąkiewiczza, które miały wyręczać niedziałające państwo. Rekonstrukcja ten obraz przecięła. Prawica już nie mówi, że rząd jest słaby i bezwolny. W zasadzie mówi coś innego – że ten rząd jest niebezpieczny. I nie szydzi z ministrów, a niektórych

– tak można wnioskować po wypowiedziach liderów PiS – się boi.

W samej koalicji nikt już nie twierdzi, że warto byłoby rozejrzeć się za nowym premierem. Teraz mówi się, na kogo Tusk postawił i kto będzie nadawał ton. Czyli plan minimum Tusk zrealizował. Znowu skupia uwagę, mówi się o jego działaniach, jego decyzje są komentowane.

A dalsza część planu? Ewidentnie widać, że i kształt rządu, i samo wystąpienie Donalda Tuska oraz wszystkie działania były w dużej mierze ukształtowane przez atmosferę ostatnich tygodni i przez szok, który przeżyli koalicja rządząca oraz jej wyborcy po 1 czerwca. „Są takie momenty w historii każdego kraju, że trzeba ogarnąć się, stanąć twardo na ziemi, powstrzymać emocje i na nowo ruszyć do pracy”, mówił premier. ▶

► I obsadził się w roli generała, który przejmuje armię po klęsce, zaprowadza porządek i daje nadzieję. Bitwa przegrana – wojna trwa! Zresztą w podobnym klimacie utrzymane było ogłoszenie rekonstrukcji. Premier nazwał zrekonstruowany rząd „ekipą komandosów”, a ministrów Żurka i Kierwińskiego (o nich dalej) nowymi, twardymi ludźmi. Nawiązał też do postaci Hernána Cortésa i krwawego podboju Meksyku. „Okrety spalone, zostawiliśmy je na brzegu”, przypomniał legendarne słowa i fakt, że w ten sposób Cortés zmusił swoich żołnierzy do walki z Aztekami, odcinając im drogę powrotu do Europy. Trzeba iść do przodu albo zginąć.

Komu Tusk to mówi? Swojej partii? Na pewno. Ale też koalicjantom. Spory w koalicji były przecież gorszące. Dla postrzegania premiera i jego ministrów wręcz rujnujące. Panowie, jeżeli zginiemy, to wszyscy – tak zdaje się przekonywał sojuszników. Podkreślając, że nie ma szans, by przejść na drugą stronę. Czy to były słowa skuteczne? Zobaczymy w najbliższym czasie, po finalizowaniu spraw wiceministrów i dalszym

W koalicji nikt już nie twierdzi, że warto byłoby rozejrzeć się za nowym premierem.

odchudzaniu rządu. W każdym razie lojalność koalicji jest dla tego rządu najważniejsza. To chyba wciąż sprawa nie do końca przepracowana, bo brakuje zrozumienia, że każdy musi mieć swój sukces i każdemu trzeba go dać. Oddziały walczące muszą mieć swoich bohaterów i medale. Inaczej ducha bojowego brak.

W klimacie wojskowym utrzymane jest też hasło nowego rządu, nowa triada: porządek, bezpieczeństwo, przyszłość. „Chcę podkreślić: ten rząd będzie koncentrował się na zapewnieniu bezpieczeństwa w sposób odważny, kreatywny, we współpracy z sojusznikami, jeśli chodzi o granicę wschodnią, i będziemy także bezwzględnie działać na rzecz ładu i porządku w naszych granicach, w Polsce” – mówił Tusk. Dodał przy tym: „Dziś to wyzwanie, jakie stworzyła

agresywna polityka Rosji, ma też wymiar wewnętrzny – dotyczy dywersji i prób sabotażu, dotyczy wojny migracyjnej, hybrydowej wojny, czyli organizowania nielegalnej migracji”. I puentował: „Są polityczni łajdacy, którzy potrafią z każdego lęku robić polityczne złoto. Oni też stanowią problem dla polskiego bezpieczeństwa i porządku w naszym kraju. Ale my nie będziemy ulegali hysterii”.

Tak oto Tusk w koalicji ogłosił stan wojenny. Spalone okręty, PiS szykuje się do przejścia władzy, a on stoi na czele armii i ogłasza: bój przed nami! Musimy wziąć się w garść!

To przemówienie, mobilizujące bezpośrednio zaplecze władzy, miało też innego adresata. Tusk bowiem zwracał się też do wyborców. Polska jest krajem politycznie podzielonym i to mniej więcej po równo. W wyborach prezydenckich Trzaskowski otrzymał niespełna 370 tys. głosów mniej niż Nawrocki, drobne wahnięcia w jego stronę mogłoby dać mu władzę. Zaznaczmy, że te podziały są stabilne, a przepływy elektoratu z jednej grupy do drugiej nieznaczne.

Gdy wyborcy obrażają się na „swoją” partię, wolą nie iść do urn, niż oddać głos na tych drugich.

Emocjonalne związki mają cenę. Tak właśnie było po 1 czerwca wśród elektoratu Trzaskowskiego. Stan ducha wyborców oddają takie określenia jak szok, zagubienie, poczucie klęski czy chęć migracji wewnętrznej. Tusk stanął więc, nadal zresztą stoi, przed zadaniem odbudowy elektoratu, odzyskania go i włania weń nowego ducha. By ludzie na nowo zyskali poczucie sensu polityki. Próbuje więc znaleźć sposoby na ponowne dotarcie do nich. To też jest cel rekonstrukcji.

Oczywiście możemy zgrzytać zębami, słuchając retoryki wojennej. Ale spójrzmy na to z pewnego dystansu – po prostu takie mamy czasy. Wojna na Wschodzie jest faktem, niestabilne działania Donalda Trumpa

także, no i sam język polskiej polityki również jest wojenny. Tusk określany jest jako Niemiec, niemiecka opcja, oskarża się go o wyprzedaż Polski. Lewica to dla prawicy od zawsze zdrajcy. W podobnych klimatach Tusk odpowiada – a zachowania Konfederacji i Grzegorza Brauna mu w tym pomagają – że wy jesteście ruską opcją. Prymitywne, ale chyba skuteczne.

Obok zapowiedzi ważni są też ludzie. To oni realizują plany i zmagają się z codziennymi wydarzeniami. To na nich koncentruje się uwaga publiczności. I gdyby nie oni, rekonstrukcja została by pominięta i zlekceważona. Oni – czyli kto?

Na pewno osobą, która przyciąga największą uwagę, jest nowy minister sprawiedliwości Waldemar Żurek. Pisze o nim Andrzej Sikorski, więc ograniczmy się do paru zdań. Ta nominacja oznacza, że proces rozliczenia ludzi PiS, ich złodziejstw i działań przestępczych, nie tylko nie zostanie zatrzymany, lecz będzie z całą mocą kontynuowany. Niewinni nie mają się czego obawiać! Winni niech drżą! Tak pewnie brzmi hasło ministra Żurka. A że jego nominacja jest zapowiedzią, że nic nie zostanie odpuszczone, świadczy komentarz do niej Jarosława Kaczyńskiego – z deszczu pod rynnę.

Czy obawy prezesa się spełnią? Przekonamy się za parę miesięcy. Czy Żurkowi uda się wstrząsnąć prokuratorami? Czy zakończy sprawę neosekularistów i znajdzie rozwiązanie dotyczące Trybunału Konstytucyjnego?

W podobnej roli – osoby, która musi wstrząsnąć ministerstwem już szykującym się na przyście PiS – obsadzony został Marcin Kierwiński, nowy szef MSWiA. To jego powrót do resortu. Zastąpił w nim tym, że za jego czasów w Pałacu Prezydenckim zatrzymani zostali Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik. Tusk zapewne liczy, że Kierwiński będzie ministrem skutecznym, dynamicznym, a funkcjonariusze będą chętnie wykonywać jego polecenia.

W ten sposób duet Żurek-Kierwiński dokona tego, o czym marzy twarde elektorat anty-PiS. Czy tak się stanie? Podczas uroczystości w Pałacu

Prezydenckim zaprzysiężenia nowych ministrów i odwołania tych, którzy odchodzą, Donald Tusk szczególnie długo dziękował Adamowi Bodnarowi, podkreślając zaangażowanie w walkę o przywrócenie w Polsce praworządności i jego „delikatność” oraz poszanowanie konstytucji. „Wbrew wszystkim okolicznościom, wbrew temu ponuremu dziedzictwu, które odziedziczył po swoim poprzedniku, wykonał dzieło gigantyczne. Za to chciałbym bardzo podziękować”, mówił premier.

Dlaczego więc uznał, że to za mało? Że ministerstwo nie działa, jak powinno? Czyżby nadmiar „delikatności” Bodnara? A jeżeli tak, czy Waldemar Żurek i Marcin Kierwiński będą mogli więcej? Tak czy inaczej – i przyście do rządu Waldemara Żurka, i powrót Marcina Kierwińskiego, i wywyższenie do roli wicepremiera Radosława Sikorskiego wskazują, że Donald Tusk nie zamierza walki z PiS prowadzić werbalnie. Ale że zaciągnął do tej wojny twardych żołnierzy.

Zapowiedź twardego zwarcia z PiS trzeba jednak traktować szerzej. Politycy prawicy już komentują, że Żurkowi będzie chodziło o zemstę i procesy. Tak może być, działania prokuratury mogą przyspieszyć. Patrząc jednak na rozszady, które wykonał Tusk, chodzi mu też o coś innego. Przykładem jest sprawa granicy

polsko-niemieckiej. Działania służb niemieckich, które zwracały do Polski nielegalnych imigrantów, trwały przecież od miesięcy. Nasze MSWiA to zlekceważyło – imigrantów nie było wielu, poza tym cofano tych, którzy dostali się do Niemiec z terytorium Polski, a oni w następnych dniach znów przedostawali się do Niemiec. Rzecz więc nie wydawała się godna uwagi. Tymczasem Robert Bąkiewicz z PiS i Konfederacją zrobili

Niektórzy koalicjanci mówili, że teraz Tusk tematy gospodarcze uczyni najważniejszymi. Po rekonstrukcji widzimy, że to były marzenia.

z tego polityczne złoto. Zatem – Tusk pewnie na to liczy – teraz takich prezentów władza sprawiać nie będzie, za to ma szybciej reagować.

A gospodarka? Przez całe tygodnie, gdy rozmawiano o rekonstrukcji, przedstawiciele rządu mówili, że chodzi przede wszystkim o odbudowę centrum gospodarczego, żeby przyspieszyć decyzje związane z rozwojem kraju. Niektórzy wręcz twierdzili, że rekonstrukcja ma być przewrotem kopernikańskim w polskiej polityce. Że teraz Tusk tematy gospodarcze uczyni najważniejszymi.

Po rekonstrukcji widzimy, że to były marzenia. Owszem, resort energetyki jest istotny, od tego zależy przyszłość Polski, zwłaszcza w dobie wielkich centrów obliczeniowych,

które zjadać będą całe elektrownie. To są jednak sprawy pasjonujące fachowców. Gospodarka jest w polityce jak tlen – nie widzi się jej, ale się nią oddycha. Ważna staje się tylko wtedy, gdy szwankuje. Kiedy działa, trochę lepiej czy gorzej, politycznym złotem nie jest. Zawsze zresztą na krótką metę da się wytłumaczyć jej różne zatary. Pamiętacie państwo piękne hasło „putininflacji”? Albo losy różnych tarcz, które nas chroniły?

Tusk to wie. Oliwi więc mechanizmy gospodarki, ale nadmiernej wagi do nich nie przywiązuje. Nie tu rozegra się bój, przed którym kazał spalić okręty.

Pisanie o rekonstrukcji rządu w kraju, w którym w ostatnich kilkudziesięciu latach było ich kilkanaście, może wydawać się zajęciem jałowym. Wiadomo, zawsze wszyscy się starają, a potem wychodzi... No właśnie – wychodzi różnie. Bo różne są okoliczności i różni wykonawcy. No i różni przeciwnicy. Sytuacja, w której do rekonstrukcji dochodzi, też z reguły jest niebanalna, ciekawa. Ale teraz jest ciekawa wyjątkowo.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Norwida olbrzym i karzeł

Zastanawiam się, co obecne ruchy narodowe mają do zaoferowania Polsce. Czy to jest Polska, którą one współbudują, czy eskamotują tylko to, czego dokonali inni, wożą się niejako na tym, dzięki czemu jest ona wielka, zasobna w wartości i ciekawa? Bo spójrzmy: jak bogaci są w intelektualistów i ludzi kultury, którymi byli ich poprzednicy, poczynając od Ligi Polskiej (ale też zabili pierwszego prezydenta odrodzonej Polski), jakich młodych pisarzy przyciągała podczas wojny Konfederacja Narodu Włodzimierza Pietrzaka. Ilu pisarzom i intelektualistom Bolesław Piasecki dał możliwość działania swoim Paxem. Nawet Moczar miał publicystę, który stawiał ważne pytania, i reżysera, który wykreował Hubala. A dziś? Symbolem narodowców staje się utaskawiony Bąkiewicz – nie jako żołnierz prawy, tylko jakiś nowy Raufbold („kto ma oczy niepokorne, wnet go wałę pięścią w mordę”) czy Habebald („wali się gościa na śmierć i idzie dalej”). Rozglądam się – i co jeszcze? Bez wywołania i skupienia

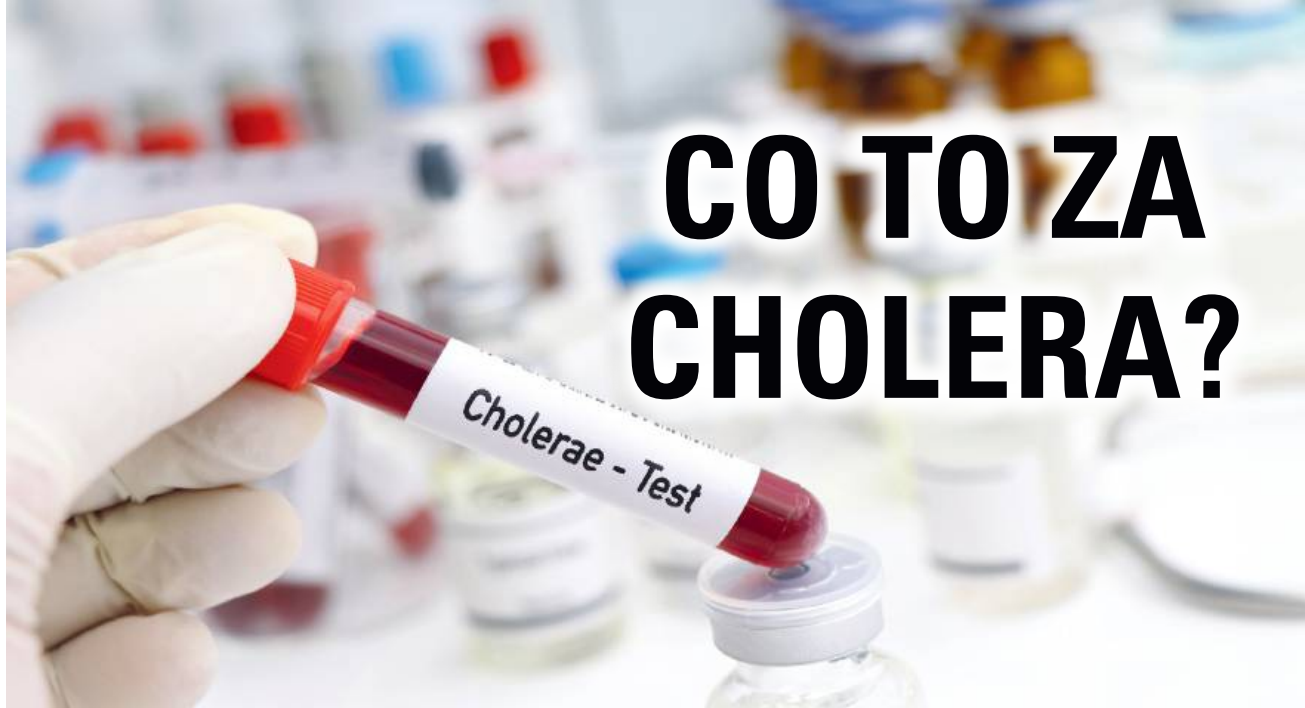
wokół siebie ruchu intelektualistów, pisarzy i artystów, co i PiS się nie udawało, czy Konfederacja zdoła w dziejach Polski się utrwalić, ofiarując krajowi coś innego niż kult siły, budzące nienawiść hasła, a – w potrzebie – rękocyny maskowane lasem chorągwi? Zapis na papierze, płótnie, w zeszycie nutowym? To, co głosi nowy prezydent, też nie wydaje się porażać głębią myśli i wiedzy.

Przeciwstawiając się (wraz z rządem) masowej imigracji, narodowcy upokarzają przy okazji cudzoziemców, którzy znaleźli tu swoje miejsce. Z podobnie fanatycznych pobudek Afroameerykanie, nie wiedząc, co czynią, pokryli bohomasami pomnik Tadeusza Kościuszki w Waszyngtonie.

Tak, chciałbym, żeby przyciągający młodzież polski ruch narodowy był twórczy, Polskę wzbogacający, a w Kościele wspierający niekoniecznie najbardziej zacietrzewionych dostojników. Czy potrafi? Pozostaje sprawą otwartą, kto i czym zdobędzie rząd dusz Polaków, którzy chowają Ojczyznę głęboko w sercu.

Andrzej Lam

CO TO ZA CHOLERA?



Przyczyną pojawiania się choroby są zmiany klimatyczne, a przede wszystkim brudne ręce

Kornel Wawrzyniak

Do szczyńskiego szpitala trafiła pacjentka, u której wykryto bakterię cholery. Obecność bakterii w dwóch różnych próbkach potwierdziły dwa niezależne laboratoria. Służby sanitarne szukają źródła choroby, ponieważ ani pacjentka, ani jej bliscy nie wyjeżdżali do krajów, w których dziś najczęściej można się cholerą zarażać. Specjaliści są w trakcie ustalania toksynotwórczości bakterii wykrytej u pacjentki. Na razie na kwarantannie domowej znalazło się 26 osób, a pod nadzorem epidemiologicznym jest ich łącznie 85. To element procedury, która ma zapobiec ewentualnemu rozprzestrzenieniu się choroby.

To się czasem zdarza

Cholera najczęściej występuje dziś w Afryce i Azji. Jest ostrą i zakaźną chorobą przewodu pokarmowego, wywoływaną przez szczepy przecinkowca wytwarzającego enterotoksynę. Do zakażenia dochodzi po spożyciu skażonego pokarmu lub wody. Leczy się ją antybiotykami oraz płynami przeciwdziałającymi

odwodnieniu i niedoborom elektrolitów. Śmiertelność sięga ok. 1%. Najważniejsze to w odpowiednim momencie wyłapać, z czym ma się do czynienia, ponieważ w razie braku leczenia lub jego małej skuteczności śmiertelność może znacznie wzrosnąć.

Krajowy konsultant ds. chorób zakaźnych prof. Miłosz Parczewski informuje, że nietoksynotwórcze przecinkowce cholery są w Polsce

Właściwe umycie rąk likwiduje do 90% patogenów, które mogą spowodować choroby.

wykrywane raz na kilka lat. Jak się okazuje, bakterie cholery bez toksyny występują m.in. w wodach Bałtyku. W ocenie specjalisty takich przypadków jak w szczyńskim szpitalu będzie więcej ze względu na potencjał badawczy oraz zmieniający się klimat – dłużej jest cieplej, co sprzyja rozwojowi przecinkowców. Poprzedni przypadek cholery w Polsce odnotowano w 2019 r. w Świnoujściu.

Prof. Parczewski zauważa, że przypadek pacjentki z podejrzeniem cholery został potraktowany „z pełną

ostrożnością”. Służby sanitarne obligatoryjnie działają szerszym frontem, decydują o kwarantannie i prowadzą dochodzenie epidemiologiczne, traktując poważnie podejrzenie zakażenia przecinkowcem cholery. Choć jeszcze nie potwierdzono, czy to szczep z toksyną, uznaje się go za potencjalne zagrożenie epidemiczne.

Główny inspektor sanitarny dr Paweł Grzesiowski, który wykażał się wspomnianą ostrożnością,

odniósł się na antenie TVP Info do słów prof. Miłosza Parczewskiego: „Z mojego punktu widzenia nie do końca ma znaczenie na tym etapie, jaka to jest odmiana bakterii. Dla mnie kluczowe jest to, żeby zabezpieczyć otoczenie pacjentki, nie dopuścić do rozprzestrzenienia się zakażenia i znaleźć jego źródło. Bo nie ma wątpliwości, że ta pacjentka jest traktowana jako zakażona cholerą. Dostała antybiotyki w kierunku tej bakterii”.

Sytuację skomentował w Polsat News również wiceminister zdrowia

Wojciech Konieczny: „Zawsze istniały choroby, które z krajów tropikalnych były zaciągane do nas w różny sposób. Tutaj nie wiemy, jakie jest źródło. Nie byłbym bardzo zdziwiony, gdyby to był jednak ktoś z Polski, kto po prostu gdzieś wyjechał”.

Inne zdanie wyraził w rozmowie z portalem Medonet dr Grzesiowski: „Nic nie wskazuje na to, aby był to przypadek zawleczony, czyli przywieziony do Polski, dlatego prowadzimy szerokie dochodzenie, aby wykryć ewentualne źródło choroby”. Grzesiowski dodał, że nie można wykluczyć źródła rodzimego.

Nasza redakcja dotarła również do notatki rozesłanej 22 lipca lekarzom przez Państwowych Powiatowych Inspektorów Sanitarnych. Medycy mają zachowywać szczególną czujność, jeśli chodzi o pacjentów z objawami biegunki, do czasu ustalenia źródła zakażenia szczecińskiej pacjentki. W notatce podkreślany jest fakt, że cholera jest tzw. chorobą brudnych rąk. To potoczne określenie grupy chorób zakaźnych przenoszonych drogą pokarmową, głównie przez kontakt z zanieczyszczonymi rękami. Najczęściej do zakażenia dochodzi poprzez spożycie skażonej żywności lub wody, a także przez kontakt z przedmiotami, które wcześniej dotykała osoba chora, nieprzestrzegająca podstawowych zasad higieny. Do tej grupy chorób zalicza się m.in. wirusowe zapalenie wątroby typu A, czyli tzw. żółtaczkę pokarmową.

Higiena to podstawa

„Sio zarazki z moich dłoni! / Zaraz mydło was przegoni. / Mycia rączek znam zalety / tuż po wyjściu z toalety. / Przed jedzeniem również sam / ręce wkładam wprost pod kran, / by obiadek smaczny był / i bym zawsze w zdrowiu żył” – chociaż to rymowanka dla przedszkolaków, wielu dorosłych w 2025 r. ma problem z zachowaniem podstawowych zasad higieny. Dane Głównego Inspektoratu Sanitarnego wskazują na tendencję wzrostową zarówno wśród zakażeń wenerycznych, jak i tych wynikających z niemycia rąk. Wojskowy Instytut Medyczny podaje, że co ósmy Polak nie myje rąk przed

jedzeniem, a połowa i co czwarta kobieta nie robią tego po wyjściu z toalety.

Co ciekawe, 5 maja w 2005 r. Światowa Organizacja Zdrowia ustanowiła Światowy Dzień Higieny Rąk. „Na naszych rękach znajdują się mogą bakterie, wirusy, grzyby i pasożyty. Właściwe umycie rąk likwiduje do 90% tych patogenów, które mogą spowodować choroby”, mówił na konferencji z okazji tego dnia w 2023 r. Janusz Dzisko, warmińsko-mazurski państwowy wojewódzki inspektor sanitarny.

Według WHO już dwa lata temu wzrosła na świecie liczba zachorowań z powodu cholery, a także liczba zgonów, mimo dostępności skutecznego leczenia. W 2023 r. liczba zachorowań zwiększyła się w stosunku do 2022 r. o 13%, a liczba zgonów aż o 71%. W kwietniu GIS alarmował o drastycznym wzroście zachorowań na WZW typu A. Przypadki śmiertelne to w tym wypadku rzadkość, ale

Od kilku lat rośnie niechęć do szczepień, a to one są jednym ze skutecznych sposobów ochrony społeczeństwa.

liczba zachorowań wyraźny rośnie. Dr Paweł Grzesiowski informował w marcu br., że potwierdzonych przypadków WZW A jest dwukrotnie więcej niż w analogicznym okresie zeszłego roku. Najwięcej odnotowano w województwach podlaskim oraz lubuskim. We wspomnianych regionach wystąpiły dwa ogniska zakażeń.

Specjaliści zwracają uwagę, że ochroną przed chorobami brudnych rąk jest po prostu profilaktyka, a na pierwszym miejscu znajduje się utrzymywanie czystości, czyli mycie rąk oraz dbanie o czystość i świeżość pożywienia, które nie powinno mieć styczności ze zwierzętami. Równie ważne jest dbanie o czystość wody pitnej.

Problemem są również zakażenia przenoszone drogą płciową (STI) – w Polsce widać wyraźny wzrost zachorowań. Według raportu Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego PZH-PIB „Choroby zakaźne i zatrucia w Polsce” liczba nowych

przypadków tych chorób wzrosła od 2020 r. o ponad 300%. Tylko między 2021 a 2022 r. liczba zgłoszonych przypadków rzeżączki wzrosła o 48%, kiły o 34%, a chlamydii o 18%. To istotne wyzwanie dla systemu opieki zdrowotnej. W kwietniu 2024 r. Krajowe Centrum ds. AIDS, we współpracy z Europejskim Centrum ds. Zapobiegania i Kontroli Chorób (ECDC), zainicjowało nową strategię przeciwdziałania zakażeniom przenoszonym drogą płciową. Strategia powstaje przy współpracy z GIS.

Nadmorskie przygody

Od kilku lat widać też rosnącą niechęć do szczepień. Obejmuje to niestety dużą grupę rodziców małych dzieci, którzy uchylają się od obowiązku szczepienia podopiecznych. Obawy przed immunizacją podsycza internetowa dezinformacja. To bardzo niepokojące zjawisko, ponieważ

szczepienia są jednym z najskuteczniejszych sposobów ochrony społeczeństwa. Powrót zapomnianych już – właśnie dzięki szczepieniom – chorób może nastąpić wraz ze spadkiem odporności populacyjnej, czyli kiedy wyszczepiony będzie zbyt mały odsetek społeczeństwa. Bezmyślność stanowi więc istotne zagrożenie społeczne.

Tymczasem w połowie lipca sanepid przeprowadził kontrole nadmorskich lodziarni. Połowa próbek przekroczyła dopuszczalne normy obecności bakterii z grupy *Enterobacteriaceae*. Te mikroorganizmy występują naturalnie w jelicie grubym, jednak ich nadmiar może skutkować dolegliwościami żołądkowo-jelitowymi. Zauważmy tylko, że jednym z najbardziej charakterystycznych objawów cholery jest biegunka. Może jednak warto regularnie myć ręce? Kiedy źle się czujemy, będzie przynajmniej wiadomo, że to lody, a nie cholera.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeklad.pl

Matma to nasze hobby

Młodzi polscy matematycy są najlepsi w Europie.
To przypadek?

Rozmawia Robert Walenciak

Jako pierwszy składał pan gratulacje naszym licealistom, którzy zdobyli czwarte miejsce na międzynarodowej olimpiadzie matematycznej w Australii. Byli najlepsi w Europie! Śledzi pan wyniki tych olimpiad?

– Interesuję się nimi ze względów profesjonalnych. Co roku spisuję dla rankingu „Perspektyw” wszystkich medalistów międzynarodowych olimpiad i ich szkoły. Zajmowałem się tym też w liceum im. Staszica. Informowałem świat, że uczniowie odnieśli sukces. Algorytmy Facebooka to pamiętają.

Ten wspaniały wynik to chwilowy peak, bo trafiła się grupa superzdolnych, czy też trwała tendencja?

– Trudno mówić o tendencji. Nasi tegoroczni matematyczni olimpijczycy to uczniowie z trzech szkół: ze Staszica, z V LO w Krakowie (w tym Magda Pudełko, jedyna dziewczyna) oraz z Akademickiego LO we Wrocławiu. Takich szkół w Polsce jest chyba 10, a w zasadzie jeszcze mniej.

Jak funkcjonują?

– Funkcjonuje tradycja. Koledzy, uczniowie, absolwenci, pewna atmosfera. Jest długoletni dyrektor, który objął tę funkcję w latach 90. zeszłego wieku, kiedy szkoły szukały pomysłu na siebie. Czasem pomysł już był, jak w przypadku warszawskiego liceum Gottwalda, czyli późniejszego Staszica, tylko trzeba go było trochę udoskonalić, przenieść w nowe czasy. Niekiedy ktoś ten pomysł sobie tworzył – to przypadek XIII LO w Szczecinie. Albo rozwijało się pewną tradycję, jak w III LO w Gdyni.

Czyli w Liceum im. Marynarki Wojennej. Renoma szkoły przyciąga?

– Sprawdzałem to niedawno. Okazuje się, że w Staszicu uczy się młodzi ze wszystkich województw, czyli to nie tylko warszawska szkoła.

WŁODZIMIERZ ZIELICZ

– nauczyciel i instruktor harcerski. W latach 90. XX w. wprowadzał w stołecznym LO im. Mikołaja Kopernika program międzynarodowej matury IB. Autor podręczników do fizyki. Wychowawca zwycięzców i laureatów olimpiad: fizycznej, astronomicznej i wiedzy technicznej, także medalistów, w tym złotych, międzynarodowych i europejskiej olimpiady fizycznej oraz z dziedziny astronomii i astrofizyki.

Staszic ma swój internet.

– Ale nie jest ani nie był wspierany przez państwo. W 2014 r. napisaliśmy z żoną w „Przeglądzie” o tym, że na wszystkie olimpiady licealne nasze ministerstwo wydaje tyle, ile Polska wydaje na jednego zawodnika wysyłanego na olimpiadę sportową. Niezależnie od tego, jaki wynik osiągnie! Politycy wolą się spotykać z piłkarkami niż z wybitnymi matematykami. Co gorsza, niektórzy

mają sukcesy, bo nauczyciele gnębią uczniów, ci na nic nie mają czasu itd. I to w mainstreamowych mediach, które miałyby kogo chwalić, bo warszawska oświata dominuje w Polsce.

Dlaczego zatem system olimpiad działa, i to całkiem dobrze?

– To w dużym stopniu spadek po dawnym systemie. W innych byłych demokracjach uczniowie też osiągały świetne wyniki. Drwi się u nas z Białorusi, a oni mają świetnych

Od lat 90. w Polsce w zasadzie nie pojawiły się nowe materiały pomagające w rozwoju tych najzdolniejszych.

próbują kokietować wyborców w sprawie matematyki. Nie chwala się, że im dobrze szło, przeciwnie – że też mieli kłopoty.

Nie za bardzo takim szło z zadaniami, więc swój chłop.

– Tak to działa. A co się dzieje co roku po ogłoszeniu rankingu „Perspektyw”? De facto trzech rankingów: olimpijskiego, maturalnego i generalnego. Otóż pojawiają się hejt i pogłoski, że w szkołach rankingowych typu Staszic uczniowie biegają od korepetytora do psychiatry, a szkoła pozbywa się z klasy maturalnej wszystkich, którzy mogliby źle wypaść na maturze.

Mój syn skończył mateks w Staszicu, więc wiem, że nie jest to prawda.

– Ale pojawiają się takie teorie, dotyczące szkół z pierwszej dziesiątki

informatyków i fizyków, olimpiady na wysokim poziomie i odnoszą międzynarodowe sukcesy. Podobnie Rosjanie. Na Ukrainie do wojny 2014 r. też był wysoki poziom. I docenia się sukcesy. Opowiadał mi kiedyś nasz złoty medalista międzynarodowej olimpiady geograficznej – jest dziś doktorem – że gdy wrócił do kraju, to na lotnisku witali go rodzice. A przed Rumunami, którzy też zdobyli złoty medal, na lotnisku w Bukareszcie rozwinęto czerwony dywan.

Generalnie rzecz biorąc, u nas jest klimat raczej słabo sprzyjający nauce. Od lat 90. w Polsce w zasadzie nie pojawiły się nowe materiały pomagające w rozwoju umiejętności najzdolniejszych uczniów. Jest trochę książek z matematyki, z fizyki mamy tłumaczenia z rosyjskiego. W dużym stopniu jedziemy



Na 66. Międzynarodowej Olimpiadzie Matematycznej w Australii Polska zajęła czwarte miejsce w klasyfikacji krajów. Młodzi matematycy zdobyli trzy złote i trzy srebrne medale. To najlepszy wynik naszej drużyny od 52 lat.

na pozostałościach po Związku Radzieckim, czymś w rodzaju resztek byłej fortuny.

Które są sprzedawane.

– To nie będzie działało na dłuższą metę. Kraje azjatyckie – Chiny, Singapur, Wietnam – poszły w przeciwnym kierunku, rozwinęły systemy nauczania i w zasadzie są już dla nas trudno osiągalne. Dla nas i dla świata. A u nas to właściwie hobby iluś ludzi, którym się chce, ale są coraz starsi, odchodzą na emeryturę. I niewielu, którzy mogą to przejąć. Byłbym w stanie wymienić z 15 osób, na których wszystko się trzyma.

Można to odwrócić?

– Minister Cieszyński miał problem z maseczkami, ale gdy odpowiadał za informatykę, zrobił bardzo dobrą rzecz. Mianowicie w olimpiadzie informatycznej, w przeciwieństwie do wszystkich innych, i nauczyciele, i uczniowie mogą liczyć na wysokie nagrody – do 50 tys. zł. Wiadomo, że aby dostać te pieniądze, trzeba mieć wieloletnie sukcesy. Ale iluś nauczycieli pieniądze dostało, podobnie jak laureaci olimpiad międzynarodowych.

W innych przedmiotach sprawy biegną w przeciwnym kierunku. Środki przeznaczane przez MEN na olimpiady są wydawane na rzeczy absurdalne. Słyszał pan o Olimpiadzie Wiedzy Misyjnej o Afryce? Organizuje ją Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Jakiś czas

temu wyrzucili z nazwy wiedzę misyjną, została sama znajomość Afryki. MEN na to przeznaczają środki, podobnie jak na inne dziwne konkursy. Wyleciała za to Olimpiada Wiedzy Technicznej, która ma 50 lat i paru wybitnych laureatów, m.in. premiera Pawlaka.

W kwestii olimpiad nie mamy systemu krajowego, tylko grupę hobbystów.

Myślę o sukcesie naszych młodych matematyków. Może matematyka staje się modna? Rodzicom zaś zależy, by dzieci matematycznie się rozwijały, i są gotowi w to inwestować.

– Rok temu miałem w Staszicu dwa mateksy, czyli klasy z eksperymentalnym rozszerzonym programem matematyki, które zdawały maturę. Cztery lata byłem z tymi klasami, więc na początku dowiadywałem się, kto jest z jakiej szkoły. Pomijając pewną grupę uczniów, reszta była ze szkoły nr 221.

Czyli podstawówki na warszawskiej Woli, przy ul. Ogrodowej, z klasami matematycznymi. Odbywa się tam specjalna rekrutacja do klas 7-8.

– Jej profil powstał po likwidacji gimnazjów. W Warszawie ratowano naukę matematyki, tworząc takie eksperymentalne klasy.

Uczniowie tej szkoły wygrywają konkursy matematyczne.

– Potem trafiają do Staszica. A poza tą szkołą w zasadzie większość uczniów, którzy trafili do mateksów, stanowią absolwenci szkół katolickich. Jedna to szkoła im. Przymierza Rodzin, w której nad matematyką czuwa Wojciech Guzicki, druga to szkoła im. Piotra Skargi przy

ul. Bema, gdzie uczy Sławomir Jemielity. Placówki te nie są tak mocno wyznaniowe, po prostu mają wysoki poziom.

System ośmioletnich szkół podstawowych spowodował, że szkoły katolickie, społeczne, prywatne, zyskały przewagę nad publicznymi. Nauka trwa dwa lata dłużej.

– W każdym razie coś jest w rekrutacji, że najbardziej uzdolnione dzieciaki chodzą właśnie do tego typu szkół. To coraz szersze zjawisko.

Zależy to także od rodziców.

– Nie chcę powiedzieć, że o sukcesie dzieci decyduje zamożność rodziców. Raczej chodzi o ludzi z kręgów inteligenckich, którzy do wykształcenia przywiązują dużą wagę. No i to są zdolne dzieci, które lubią się uczyć! Jedno z drugim musi być powiązane.

A jak można pomagać tym zdolnym, ale z rodzin niezamożnych?

– Działy w Warszawie międzyszkolne kółka przedmiotowe, organizowane przez takie szkoły jak Staszic, i nauczyciele, którzy to prowadzili. Prezydent Rafał Trzaskowski w zasadzie w pierwszym roku urzędowania te programy zawiesił.

I co zostało?

– Są ludzie, którzy się ogłaszają, że przygotowują do olimpiad, stacjonarnie albo online, za drobne

profitów. Gdy jednak okazało się, że można liczyć na nagrodę, zaczęli szukać. Ostrołęka nie jest daleko od Warszawy, no to wyszukiwali zajęcia w Warszawie. Działo wtedy Mazowieckie Stowarzyszenie na rzecz Uzdolnionych, więc korzystali z pomocy, dzieciaki zaczęły jeździć na obozy naukowe, nawiązywały kontakty z innymi, o podobnych uzdolnieniach. I były efekty, ale na

jak wiele zależy od dyrekcji. Semik był wieloletnim dyrektorem Szóstki, ale w Radomiu zaczęło rządzić PiS, więc musiał odejść. Jego następcą, wcześniej kierujący szkołą podstawową, postanowił pokazać nauczycielom, ile są warci. W efekcie kilku odeszło, jeden aż do Szczecina, z którego zrobił stolicę polskiej fizyki olimpijskiej.

Jest zatem i dobrze, i źle. Zdolnych młodych Polaków nie brakuje, dowodzi tego przykład Ostrołęki. Ale ich gubimy! Bo nie ma systemu ich wyławiania i pracy z nimi.

– Tak to działa. Dlatego odnoszę wrażenie, że nasze państwo nie wie, po co mu oświata. Wiemy, jakie cele w oświacie postawił sobie różne kraje, czy to Chińczycy, czy Amerykanie, którzy po szoku sputnikowym zaczęli kopiować nasz socjalistyczny system olimpiad. Celem było wyłowienie najzdolniejszych ludzi, ponieważ stanowią dobro narodowe. Tymczasem u nas są rodzice i nauczyciele pasjonaci. Jest jakaś Iga Świątek czy Agnieszka Radwańska i rodzice wszystkiego pilnują. A to nie jest system, tylko przypadek.

Nasze państwo nie wie, po co mu oświata.

300 zł za godzinę. Niektórzy rodzice na to idą. W efekcie system pracy z uczniami zdolnymi prywatyzuje się. Są obozy naukowe, na które można pojechać, ale jak się zapłaci. Dla rodziców, którzy mają pieniądze, to oczywiście OK, ale czy jest OK dla pozostałych?

Nauczycieli, którzy mogliby pracować z olimpijczykami, też jest niewiele. To wymaga specjalnych kwalifikacji.

– Trzeba to umieć, ale sporo zależy od zainteresowania nauczycieli. Wiele wyjaśnia doświadczenie z Ostrołęką.

To znaczy?

– Około 2005 r. prezydent Ostrołęki wyznaczył nagrody za sukcesy w olimpiadach przedmiotowych dla uczniów i dla nauczycieli. Za laureata olimpiady ogólnopolskiej, licealnej – 10 tys. zł, trochę mniej za finalistę i za laureatów olimpiad gimnazjalnych. Nie oszukujmy się, Ostrołęka nie jest intelektualną stolicą Polski, a nagle pojawił się tam chłopak, który wygrał olimpiadę fizyczną. Było jeszcze kilku laureatów innych olimpiad, którzy trafili później do szkół w Warszawie. Miałem z nimi do czynienia w Koperniku, w klasach IB, jedna osoba skończyła Oxford i wykłada matematykę w Wielkiej Brytanii, dwie skończyły medycynę w Cambridge i pracują w Cambridge, zajmując się medycyną itd.

Wielki sukces.

– Wcześniej nauczycielom w Ostrołęce zdolny uczeń raczej przeszkadzał. Nie czuli się na siłach, by mu pomóc, a też nie spodziewali się, słusznie zresztą, wielkich

krótko, bo prezydent miasta odszedł i z programu zrezygnowano. Wszystko wróciło do normy.

To pokazuje, jak wiele zależy od nauczyciela.

– O ile w sporcie nikt nie wątpi, że za sukcesem zawodnika stoi trener, o tyle tu zawsze mówi się, że to przypadek, rodzice załatwili korepetycje i w zasadzie nauczycielowi nic się nie należy. A należy się. Nauczyciele pasjonaci prowadzą dodatkowe zajęcia, wskazują lektury, kierują na obozy – pilotują tego ucznia.

System pracy z uczniami zdolnymi prywatyzuje się.

Często tylko dla osobistej satysfakcji. Sam wiele razy słyszałem, jak z dumą opowiadają o sukcesach swoich podopiecznych.

– Jest jeszcze jedna rzecz – rankingi. Jediną motywacją dyrektora szkoły, żeby wspierać nauczyciela, który pracuje z najzdolniejszymi, jest wyższa pozycja szkoły w rankingu, jeśli uczeń wypadnie dobrze w olimpiadzie. A to oznacza lepszy nabór i zdolniejszych uczniów. Ale za ten ranking nie płacą. Kiedyś ileś warszawskich szkół trafiało do pierwszej dziesiątki czy dwudziestki. Prezydentem miasta była wtedy Hanna Gronkiewicz-Waltz, która o te sprawy dbała, i nagrodziła szkoły: każda dostała po 5 tys. zł na pomoce naukowe. W Radomiu podobny ruch wykonał Karol Semik, wiceprezydent miasta, wcześniej dyrektor VI LO im. Jana Kochanowskiego. On przyznawał 50 tys. zł. Jego przykład pokazuje,

I wystarczy, jak było w Radomiu, że w szkole nastąpił dyrektor i wszystko się zmieniło. Spójrzmy na Poznań – sukcesów w olimpiadach matematycznych nie ma żadnych! Żadnych sukcesów w olimpiadach z grupy STEM (Science, Technology, Engineering, Mathematics – przyp. red.)! Chociaż to miasto akademickie z wielkopolską tradycją. A popatrzmy na Białystok – ma swoją tradycję, bo były dwie szkoły, gdzie się komuś chciało, konkretnie dyrektorce, która pracowała przez lata. Tak to w Polsce działa. Przecież nikt nie powie, że mieszkańcy Poznania są matematycznie upośledzeni w stosunku do mieszkańców Warszawy czy Białegostoku. Za to różnice w kwestii olimpijczyków są potężne. Bo nie mamy systemu krajowego, tylko grupę hobbystów.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeklad.pl

Z Galicji



Jan Widacki

Ksiądz Tischner zawsze mówi, że mądre jest tylko to, co się da powiedzieć po góralsku. To prawda. Ale nie wszystko, co jest powiedziane po góralsku, od razu jest mądre. Kupuję oscypka u bacy. A bacia, wiadomo, jest to rodzaj mędrca. Siedzi, do watry drewno dorzuca, zyntycę (zwaną też zimborą) warzy, oscypki pucy i myśli. Oscypek dobrze wypucony i wywędzony dymem z watry. Jak ździebko owczego mleka w nim jest, to 75 zł kosztuje za pół kilo. Za fonta, jak przywiązany do tradycji bacia zwykł mawiać. Siedzi więc bacia, dudki, których się spodziewa, liczy, a że rachunek jest prosty, to i czasu na spytanie o polityce ma dość. No to myśli.

Na razie rozmawiamy o owcach. Bacia się żali, że owiec ma o połowę mniej niż kiedyś, inni bacowie też tak mają. Bo chętnych na juhaskę brakuje. Młodzi się nie garną.

i kłamstw dotyczących rzekomej liczby tych zawracanych przez Niemców, przed którymi udaje, że nas chroni Bąkiewicz ze swoimi bojówkami, a także kłamstw na temat rzekomej przestępczości cudzoziemców. Czarzasty spokojnie podawał liczby i fakty, prostował powtarzane w przestrzeni publicznej kłamstwa. Przestrzegał przed skutkami szczucia. Na Facebooku zawrzało. „Walnij się w łeb zdrajco i zapoznaj się z prawdziwymi faktami”, napisała Hanka z Murzasichla. Nie ma jasności, czy tym zdrajcą i idiotą jest Czarzasty, czy ten, który zamieścił jego wypowiedź. Jedno jest pewne, Hanka z Murzasichla ma dostęp do „prawdziwych danych”, a one są inne niż dane Czarzastego. Jej koleżanka, zdaje się z tego samego koła gospodyń wiejskich, próbuje ją przelicytować. Wali między oczy: „Nie opowiadaj głodnych kawałów idioty,

Pod bacówką i na Facebooku

Bo ciężkie jest życie juhasa. Cały dzień przy owcach, noc w budzie przy owcach, a jeszcze trzeba stado wydoić. Nawet pieniędzy nie chcą, choć dziś to duże pieniądze. Jakie, tego bacia nie powie. Nie dopytuję, niech to będzie tajemnica handlowa. Był kurs na juhásów, nawet dość dużo chętnych się zgłosiło. Ale po kursie nikt na juhaskę nie przyszedł. A „na kurs posli, bo Unia płaciła”, melancholijnie zamyślił się bacia. Ale tu bacia zmitygował się, że może to wyszło tak, jakby Unię chwalił, a naszych chłopaków ganił, więc szybko się poprawił. Najpierw dołożył jeszcze do ognia. „Drogi Unia też buduje”, westchnął. Już pomyślałem, że bacia jakiś nietypowy, Unię chwali. Nie wyczułem, że to była zastawiona na mnie pułapka. „A widzieliście kogo, co daje coś za darmo, bo jo nie!”, przyspilił mnie bacia, spojrzął z btykiem triumfu zwycięzcy w oku i dodał bezlitośnie: „Jak tak dajom, znacy się, odbierom z naddatkiem, przecie nie som gupi!”. „Syćko weznom, Nimcy i Żydzi”. Dopiero jakby teraz zrozumiał tę okropną prawdę, którą wypowiedział, a teraz do końca zrozumiał jej konsekwencje. „Syćko!”, powtórzył i posmutniał nagle. Oczami wyobraźni widział chyba, jak Niemcy wespół z Żydami zabierają mu owce, bańki z krowim mlekiem, które do owczego dolewa, aby wypucyć „cysto owce oscypki”, chyba nawet dojrzał, jak biorą mu psa. Widać było, jak żal go ścisnął, jak posmutniał, a w reakcji złość go zebrała. Złość na Unię. „Syćko by zabrali!”. A więc jest jakaś nadzieja, że chcieliby zabrać, ale nie zabiorą. Nadzieja nazywa się Braun! Jego nadszarpnięty przez wiatry i deszcz baner dopiero teraz dostrzegłem.

Ktoś udostępnił na Facebooku wystąpienie Włodzimierza Czarzastego na temat szczucia na uchodźców

to wy męczyliście patriotów i bohaterów opanuj się idioty”. Najwyraźniej jest przekonana, że Czarzasty ma udział w męczeniu patriotów i bohaterów, a nadto w przeciwieństwie do niej jest idiotą. Taka emocja uwalnia od stosowania interpunkcji. W dyskusję włącza się kolejna dyskusantka. Nikogo nie obraża, tylko cierpliwie oświeca: „Ok. 85 uchodźców to muzułmanie. Oni nie szukają azylu, to planowa inwazja, kolonizacja, rozbicie państwa od środka i finalne przejęcie władzy. Lewica to wspiera”.

Głupota, zaślepienie, nienawiść. To prawda, ale to niczego nie wyjaśnia. Kto czuje się odpowiedzialny za taki stan umysłów i emocji? Czy to tylko wina bacy, Hanki, jej koleżanek? A czy przez całe lata ktoś próbował im wytłumaczyć, na czym polega Unia Europejska i dlaczego Jan Paweł II publicznie opowiadał się za przystąpieniem do niej Polski? Czy odkąd zaczął się problem z uchodźcami (a nie jest to problem ostatnich dni!), ktoś próbował wyjaśnić, na czym ten problem naprawdę polega, jaka jest jego skala, skąd się wziął, a poza tym, czy próbował wyjaśnić, że Polsce, ze względów demograficznych i gospodarczych potrzeba imigrantów do pracy? Może wśród nich bacia znalazłby kandydatów na juhásów, bo wśród naszych znaleźć nie może? Czy takie cierpliwie, nieustannie wyjaśnianie nie jest zadaniem całej klasy politycznej (nie tylko Czarzastego czy Sikorskiego)? Czy nie jest to zadanie rządu, który już ma rzecznika, ale wciąż nie ma polityki informacyjnej? Czy nie jest to zadanie mediów, zwłaszcza publicznych, i szkoły? Wreszcie Kościoła?

Do nich mam nieporównanie większe pretensje niż do bacy, Hanki, jej koleżanek i tych wszystkich, którzy głosowali na Brauna, Mentzena czy Nawrockiego.

Potrzebni, choć niechciani

Postulaty środowisk prawicowych w sprawie ograniczenia imigracji to działanie na szkodę Polski

Grzegorz Rudnik

W nocy z 5 na 6 lipca 2025 r. w miejscowości Nowe w województwie kujawsko-pomorskim doszło do tragicznego incydentu. 29-letni Kolumbijczyk, zatrudniony w Zakładach Mięsnych Nove, podczas bójki śmiertelnie ugodził nożem 41-letniego Polaka. Mimo szybkiej interwencji ofiary nie udało się uratować. Sprawca trafił do aresztu, a zarząd Zakładów Mięsnych Nove podjął decyzję o zwolnieniu wszystkich pracowników pochodzących z Kolumbii.

Pracę straciło 75 osób, niezależnie od ich roli w zdarzeniu. To był krok prewencyjny, mający uspokoić emocje lokalnej społeczności i zapewnić bezpieczeństwo pozostałym zatrudnionym.

W niedzielę 13 lipca 2025 r. przez miasto przeszedł marsz zorganizowany przez Młodzież Wszechpolską. Jego uczestnicy wbili czarny krzyż w ziemię w pobliżu miejsca, w którym został zaatakowany Polak. To zachodnioeuropejski symbol morderstw popełnianych przez migrantów. Na zwolnione przez Kolumbijczyków miejsca pracy zgłosiły się dwie osoby.

Tragedia w Nowem zbiegła się z działaniami narodowców i przedstawicieli środowisk kibicowskich – ogłosili się „obrońcami granicy” z Niemcami, którzy jakoby nielegalnie deportują tysiące migrantów na teren Rzeczypospolitej. „Cała Polska śpiewa z nami w...dalać z migrantami”, skandowali w czasie lipcowych demonstracji wyznawcy myśli Bąkiewicza i Brauna. Wsparcia udzielili im politycy PiS z prezesem Kaczyńskim na czele. Wszak na straszeniu rodaków arabskimi gwałcicielami można było zbić solidny kapitał polityczny.



Największe w Polsce miasteczko pracownicze dla obcokrajowców zbudowano dla zatrudnionych przy budowie flagowej inwestycji Orlenu – Olefiny III. Nz. robotnicy z Filipin. Płock, sierpień 2023 r.

Czyżby ci ludzie nie zdawali sobie sprawy, że bez przedstawicieli 150 narodów, obcokrajowców legalnie pracujących w naszych przedsiębiorstwach, szpitalach, restauracjach, supermarketach i na targowiskach, polska gospodarka funkcjonowałaby znacznie gorzej? Gorsza byłaby też sytuacja budżetu i Funduszu Ubezpieczeń Społecznych (FUS), ze środków którego zasilany jest wypłacający renty i emerytury ZUS.

Pracujący w Polsce Ukraińcy, Białorusini, Turkmeni, Gruzini, Filipińczycy, Kolumbijczycy czy Indonezyjczycy odprowadzili w zeszłym roku do budżetu ponad 4,88 mld zł z tytułu podatków PIT i CIT, a wszyscy legalnie zatrudnieni nad Wisłą obcokrajowcy zasilili w tym samym czasie składkami w wysokości

20,68 mld zł wspomniany FUS. Ekonomiści obliczyli, że gdyby ich zabrakło, nasz PKB byłby każdego roku niższy od 0,3% do 0,6%. Problemy miałyby przedsiębiorstwa budowlane, transportowe i zajmujące się produkcją żywności. Straty ponosiliby restauratorzy, firmy cateringowe oraz handel

Jeśli w 2015 r. liczba cudzoziemców zgłoszonych do ubezpieczenia emerytalnego i rentowego wynosiła 184 188 osób, to w 2024 r. było ich już 1 192 913. I pewne jest, że z każdym kolejnym rokiem w Polsce będzie pracowało coraz więcej obcokrajowców, bo każda rozwijająca się gospodarka potrzebuje rąk do pracy, a Polaków rodzi się coraz mniej. Przedstawiciele wyzów demograficznych z lat 60. i 70. powoli odchodzą

na emeryturę. W miejscach pracy zastępują ich imigranci. Musimy się z tym oswoić.

Wieża Babel nad Wisłą

W dużych miastach, na ulicach, w supermarketach, centrach handlowych, spotykamy ludzi mówiących różnymi językami. Najczęściej słyszymy rosyjski i ukraiński. To konsekwencja wojny w Ukrainie, która sprawiła, że w krótkim czasie do Polski przyjechało prawie 2 mln ludzi.

Przeszło 50-letni Guram, obywatel Gruzji, przyjechał w 2022 r. z Kijowa. W swojej ojczyźnie był oficerem policji, a ponieważ związany był z obozem politycznym przebywającego dziś w więzieniu prezydenta Micheiła Saakaszwilego, najpierw z wilczym biletem został przez nową władzę wyrzucony z pracy, a potem dowiedział się, że może zostać zatrzymany. Wyjechał do Kijowa, gdzie mieszkali jego znajomi, znalazł pracę, chciał się urządzić. Gdy w lutym 2022 r. Rosja zaatakowała Ukrainę, Guram ruszył do Polski. Dziś pracuje w Warszawie jako kierowca Ubera.

Pochodzący z Ukrainy Ołeksander, z wykształcenia lekarz, był chirurgiem w jednym ze szpitali w Doniecku. Kiedy w 2014 r. w Donbasie wybuchł konflikt, wraz z rodziną wyjechał do Melitopola. Tam z żoną rozpoczęli budowę domu, a na świat przyszły ich dwie córki. W lutym 2022 r. wojsko rosyjskie zaatakowało miasto, zapakował więc rodzinę do samochodu i ruszył w stronę granicy z Polską. Dziś, podobnie jak Guram, pracuje w Warszawie jako kierowca Ubera. Od dwóch lat czeka na nostryfikację dyplomu lekarza. Chce się zatrudnić w szpitalu i robić to, co potrafi najlepiej – leczyć pacjentów. Jest bardzo rozgoryczony tym, że proces nostryfikacji się przeciąga.

Olena była nauczycielką w Charłowie. Po wybuchu wojny mąż, inżynier zatrudniony w jednym z tamtejszych przedsiębiorstw, kazał jej wraz córką wyjechać do Polski. Sam został, bo chciał bronić kraju. W zeszłym roku zaginął bez wieści w trakcie ukraińskiej ofensywy w obwodzie kurskim. Olena jest w żałobie. Pracuje w firmie ubezpieczeniowej

i martwi się o przyszłość. Córka w przyszłym roku chce iść na studia.

Azat trafił do Polski z Aszchabadu, stolicy Turkmenistanu, w którym dyktatorskie rządy sprawuje prezydent Berdimuhamedow. Kraj jest niezwykle bogaty w gaz ziemny, lecz obywatele niewiele z tego mają, dlatego ci, którzy mogą, emigrują – najczęściej do Rosji albo na Zachód.

Jakkolwiek dziwnie by to brzmiało, nasze bogactwo to główny powód, dla którego pracy nad Wisłą szukają Hindusi. W Warszawie zatrudniają się przede wszystkim jako dostawcy posiłków w Uber Eats.

Wietnamczycy z kolei od lat specjalizują się w handlu. To oni prowadzą działające na prowincji chińskie centra handlowe. Czasy, w których popularyzowali u nas street food znad Mekongu, dawno minęły. Słynne niegdyś bary z sajgonkami wyparte zostały przez budki z tureckim kebabem i pizzerie.

Bogatsi rodacy coraz częściej zatrudniają filipińskie pomoce domowe płynnie władające językiem angielskim. Taka bona zajmująca się dziećmi jest przy okazji nauczycielką angielskiego. W ubiegłym roku w Polsce legalnie pracowało 14,8 tys. Filipińczyków.

Nasze bogactwo to główny powód, dla którego pracy nad Wisłą szukają Hindusi. W Warszawie zatrudniają się przede wszystkim jako dostawcy posiłków w Uber Eats.

Podobnych przykładów jest wiele. Polska, która przez dekady była krajem jednolitym narodowościowo, staje się powoli wielonarodowościowa. I tego procesu nie powstrzymają fani Brauna i Bąkiewicza.

Dotychczas nie dochodziło do poważnych konfliktów między pracującymi legalnie w Polsce cudzoziemcami a miejscowymi. W latach 2000-2016 w stoczniach w Gdyni, Szczecinie i Policach pracowali nawet robotnicy z Korei Północnej. Wykonywali ciężkie prace spawalnicze i montażowe, otrzymując za to nędzne wynagrodzenie. Szacunki wskazują, że w tym czasie zatrudnionych było w Polsce ok. 800 Koreańczyków z KRLD. Dopiero po

2016 r., w związku z rezolucją Rady Bezpieczeństwa ONZ Polska przestała wydawać im zezwolenia na pracę i rozpoczęła stopniowe wygaszanie kontraktów. Ale nieliczni północnokoreańscy robotnicy pracowali w polskich stoczniach jeszcze w 2018 r.

Biznes był tak opłacalny, że gdyby nie wspomniana rezolucja i polityczne kontrowersje (m.in. dotyczące wspierania północnokoreańskiego reżimu i skandalicznych warunków zatrudnienia), w Polsce mogłyby się znaleźć tysiące robotników z Korei Północnej. Była to tania, a nade wszystko zdyscyplinowana siła robocza, która mogła zastąpić Polaków. Ci bowiem, po wejściu Polski do UE rozjechali się po całej Europie w poszukiwaniu lepszych warunków pracy i wyższych dochodów.

Nie tylko binzes

Najbardziej wiarygodnymi informacjami dotyczącymi zatrudnienia obcokrajowców w Polsce dysponuje ZUS. W kwietniu br. opublikowany został raport „Cudzoziemcy w polskim systemie ubezpieczeń społecznych 2024”. Wynika z niego, że w grudniu ub.r. pracowało u nas 3,4 tys. obywateli Zimbabwe (49 razy

więcej niż w 2015 r.) i 15,2 tys. Kolumbijczyków (140 razy więcej niż w 2015 r.). Najwięcej osób objętych ubezpieczeniem emerytalnym i rentowym (787 468) to Ukraińcy, którzy dobrze odnaleźli się w nowej rzeczywistości. Polscy pracodawcy chętnie zatrudniali ich w budownictwie, przetwórstwie przemysłowym, produkcji mebli, przy produkcji wyrobów spożywczych oraz opakowań wyrobów metalowych. Tysiące znalazły zatrudnienie w logistyce i przy pracach przetadunkowych. Ukraińcy są także cenieni jako kierowcy ciężarówek. W rolnictwie i ogrodnictwie nasi sąsiedzi znaleźli zatrudnienie jako robotnicy sezonowi. W handlu Ukrainki pracują w kasach supermarketów, ▶

► w sklepach jako sprzedawczynie, osoby sprząające itp. Coraz częściej możemy je spotkać w szpitalach, gdzie są pielęgniarkami, w placówkach opiekuńczych pracują jako opiekunki.

W zeszłym roku w Polsce było zarejestrowanych ponad 77,7 tys. jednoosobowych działalności gospodarczych założonych przez obywateli Ukrainy. Oprócz tego otworzyli oni 11,3 tys. spółek z kapitałem ukraińskim. Łącznie w latach 2022-2024 Ukraińcy uruchomili w Polsce prawie 90 tys. firm, głównie w takich branżach jak budownictwo, usługi i sektor IT.

Bogatsi rodacy zatrudniają filipińskie pomoce domowe płynnie władające językiem angielskim.

Są jeszcze Białorusini, którzy w 2024 r. mieli zarejestrowanych ponad 23 tys. przedsiębiorstw. Były to głównie firmy (w tym jednoosobowe) działające w takich sektorach jak komunikacja, IT i produkcja oprogramowania (66%). W budownictwie, tak popularnym wśród Ukraińców, zarejestrowanych jest jedynie 5% jednoosobowych firm białoruskich. Reszta to handel, logistyka

i transport. Dane wskazują na to, że większość białoruskich imigrantów to osoby bardzo dobrze wykształcone, o wysokich kwalifikacjach.

Przeostroga z Japonii

Dlaczego imigranci są cenni na polskim rynku pracy? Głównie ze względu na kurczącą się liczbę Polaków w wieku produkcyjnym. Coraz więcej osób przechodzi na emeryturę i państwo musi zapewnić im utrzymanie. Legalnie zatrudnieni, a więc płacący podatki i składki ubezpieczeniowe imigranci, pomagają utrzymać system świadczeń społecznych.

obywatelstwa japońskiego. Przez dekady byli pozbawieni praw socjalnych i politycznych. Nie mogli głosować, nie mieli dostępu do części świadczeń, np. zasiłków, państwowej służby zdrowia itp. Mieli trudniejszy dostęp do pracy, problemy w zakupie nieruchomości, a ich dzieci były stygmatyzowane w szkołach.

Sytuacja zaczęła się zmieniać pod koniec lat 90. XX w. Formalnie ich status zbliżony jest dziś do pozycji Japończyków, lecz ich prawa polityczne są ograniczone.

Japończycy nie wyobrażają sobie otwarcia kraju dla imigrantów. Dlatego od dekad rozwijali robotykę, zakładając, że ludzi w fabrykach zastąpią maszyny. Nieprzypadkowo zatem pierwszy, wyprodukowany 2000 r. przez Hondę robot ASIMO, poruszający się niemal jak człowiek, wyprodukowany został w Japonii. Miał to być krok w kierunku stworzenia inteligentnego robota, który zajmowałby się osobami starszymi.

Społeczeństwo japońskie bardzo szybko się starzeje. Od lat brakuje rąk do pracy. W supermarketach przy kasach można spotkać pracującą po kilka godzin dziennie ponad 70-letnie kobiety. Pracują także starsi mężczyźni. Mimo to Japończycy nie życzą sobie przybycia z zewnątrz. I są tego konsekwencje. Dług publiczny Japonii jest dziś najwyższy na świecie. To 235-252% japońskiego PKB – 1300 bln jenów! Dla porównania – dług publiczny Polski na koniec I kwartału br. wyniósł 57,4% naszego PKB – 2 123,5 mld zł. Gdyby Japonia wpuściła imigrantów, może jej sytuacja gospodarcza polepszyłaby się. Jendak, zdaniem Japończyków, nie byłaby to już Japonia, jaką znają i kochają.

Czy to Bąkiewiczom i Braunom się podoba, czy nie, Polska przyjmie i będzie przyjmowała imigrantów. To dowód na to, że się bogacimy. A poza wszystkim potrzebujemy rąk do pracy. Jeśli zatem wyznawcy idei narodowych i patriotycznych oraz środowiska kibicowskie chcą powstrzymać napływ obcokrajowców szukających u nas pracy, powinni zająć się płodzeniem dzieci.

Wnoszą nowe spojrzenie, są bardziej kreatywni i przykładają się do pracy. Jeśli zakładają działalność gospodarczą i rozwijają swoje firmy – tym lepiej. Płacą wyższe podatki i przyczyniają się do rozwoju kraju.

Postulaty środowisk prawicowych, określających się jako „patriotyczne” i „narodowe”, zmierzające do ograniczenia imigracji to działanie na szkodę Polski. Ich spełnienie groziłoby załamaniem gospodarczym. Chyba że panowie Braun i Bąkiewicz mają genialny plan, jak uchronić nas przed migrantami, a jednocześnie zapewnić Polsce wzrost gospodarczy.

Jest na świecie kraj, który zrezygnował z imigrantów i mimo niewyobrażalnych nakładów finansowych utknął w pułapce niskiego wzrostu. To Japonia – w latach 70. i 80. champion rozwoju gospodarczego.

Japończycy nigdy nie zdecydowali się na szersze otwarcie granic dla imigrantów. Największą grupę nie-Japończyków w Kraju Kwitnącej Wiśni stanowią Koreańczycy, a właściwie potomkowie osób sprowadzonych na wyspy w latach 1910-1945, kiedy Cesarstwo Wielkiej Japonii okupowało Koreę. Jest ich obecnie ok. 330 tys. Mają status *za-inichi*, co dosłownie oznacza „rezydujący w Japonii”.

Po zakończeniu II wojny światowej Koreańczycy utracili prawo do



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Po kilku dniach od legendarnej nowej tradycji – rekonstrukcji rządu – powoli zapada zmierzch nad tym, co się stało lub nie. Nie ma twardych powodów i przyczyn, żeby takie operacje same się tłumaczyły – są one wypadkiem znoszących się i napierających na siebie sił wewnątrz niespójnej koalicji, próbującej podnieść głowę po przegranych wyborach prezydenckich i sprawić wrażenie, że do kolejnych wyborów parlamentarnych Koalicja 15 Października staje z podniesionym czołem. Trudno powiedzieć, czy taka forma przyciągnięcia uwagi (odwrócenia uwagi?) daje wymierne efekty polityczne i jest w stanie wywołać skutek wzmacniający. Wielu komentujących operację „Rekonstrukcja Lato 2025” szczerze w to wątpi. Dzisiejsza polityka, nie tylko rządowa, a może szczególnie rządowa, jest raczej dynamiczną rozgrywką piarowo-propagandową niż sumienną analizą

W istocie rzeczy, jeśli już polityka potrzebuje, a potrzebuje – metafor, to akurat taka o marszu cały czas do przodu trąci jednak monumentalnie groteskową wojowniczością. No i cóż – tłumy trzeba umieć porwać, a historia ostatnich wyborów prezydenckich niczego takiego nie ujawniła.

Wszyscy wiemy, że wydarzenie „Rekonstrukcja” jest reakcją na nie najlepsze, delikatnie mówiąc, notowania rządu i krążącą nad nim czarną frazą: nic nie robią. Nic nie robili, bo czekali na swojego prezydenta, który jednak w pałacu nie zasiądzie. Czy wymiana tych kilku ministerialnych głów i pozbycie się innych daje nadzieję (jednym) czy budzi grozę (wśród drugich) – zobaczymy. Wybaczenie Państwo, że nie przywołam tu ulubionej kwestii prezydenta Dudy, który z rechetem godnym innej funkcji cytuje Zenka Martyniuka: „Czas pokaże”. W przypadku Andrzeja Dudy czas już pokażał i wstyd pozostanie.

Proszę się cofnąć do przodu

dokonań lub ich braku w pracy ministrów. Niewątpliwie media lubią tego typu operacje, mogą zapowiadać scenariusze zmian personalnych, wachlować się „przeciekami”, potem chwalić, że trafili, jeśli trafili. Co tak naprawdę decyduje o tym, że znika jakieś ministerstwo, które w najlepsze (choć bez spektakularnych osiągnięć) funkcjonowało dwa lata, najpewniej zostanie tajemnicą już na zawsze, bo nawet dla historyków polityki nie będzie to jakoś specjalnie interesujący epizod. Być może któraś ze zmian (sędzieja Żurek w miejsce prof. Bodnara) weźmie na bary wywołanie efektu: „coś dzieje się”.

Przypomnę, że kiedy badano źródła wyborczego sukcesu PiS w 2015 r., ankietując niezdecydowanych, którzy ostatecznie oddali głos na partię Jarosława Kaczyńskiego, powtarzającym się wyjaśnieniem było: „Bo im się coś chce”. Ale co właściwie? A jak? A dlaczego? A po co? – to były pytania zawieszane w próżni. Czy obecna korekta i rekonstrukcja są w mocy wywołać w jakimś zauważalnym społecznie stopniu podobny efekt – nie da się dzisiaj powiedzieć. Teraz będziemy czytać o pierwszych decyzjach, doborze kadr i innych kosmetycznych zabiegach – to znowu zajmie czas.

Wśród bonmotowych chwytów retorycznych, których użył premier Tusk w swojej mowie rekonstrukcyjnej, moim ulubionym jest „Idziemy tylko do przodu”. Może ten nieporywający zwrot nie robi wrażenia, ponieważ wciąż w tyle głowy mam motto do słynnego tekstu Leszka Kołakowskiego „Jak być konserwatywno-liberalnym socjalistą? Katechizm”, które brzmiało: „Proszę się cofnąć do przodu” (wezwanie konduktora w warszawskim tramwaju).

Ale jeśli już o spadających głowach mowa, to bardzo polecam wszystkim lekturę pasjonującej książki Colina Jonesa „Upadek Robespierre’a. Ostatnie 24 godziny terroru”. Na prawie 650 stronach towarzyszymy, minuta po minucie, ostatniej dobie życia „Nieprzekupnego”, który nawołując do „despotyzmu wolności nad tyranią”, sam skończył jako tyran. To była rekonstrukcja rządu! Przez dekapitację na gilotynie. To była jednak dynamika działań rewolucyjnych, które nie mają żadnej analogii do wydarzeń w naszym ciepłym rosolu politycznym. Ponieważ w tle zmian rządowych można usłyszeć, że rozliczenia z ekipą PiS szły za wolno, to warto przypomnieć, o czym zawsze pamiętał Robespierre: najlepszym sposobem na legitymizację polityki terroru prowadzonej przez władzę rewolucyjną byłyby podejmowane z równym zaangażowaniem reformy społeczne mobilizujące naród.

A u nas, cóż – ani terroru, ani reform. Ale gdyby spojrzeć na pewnego typu opresyjność (gdzież jej do terroru) władzy PiS, to widać dobrze, że systemowo była okraszana projektami prospołecznymi. Represjonowana jest zawsze mniejszość, większość będzie milcząco stała z boku, szczególnie jeśli coś jej się dostanie. I to działa. Ale reformy społeczne, żeby nie powiedzieć nawet proste gesty prospołeczne, to nie jest to, co Platforma ceni i poważa. A symbolicznie już podkreśla to decyzja o dymisji ministrowi ds. równości Katarzynie Kotuli. Równość? Jaka znowu równość...

Czyli w końcu jak z tym marszem? Три шага вперед, два шага назад. Jakkolwiek by było, rząd ma zawsze pod górkę. Może i lepiej. ■

Prof. Henryk Skarżyński, pomysłodawca i organizator wydarzenia.



Nagrodzeni wykonawcy



PRZEZ UCHO DO SERCA

ZDJĘCIA KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

– Gdy się urodziłem, nic nie słyszałem. Rodzice zabrali mnie do Kajetan, tam lekarze mnie zbadali i zoperowali. Słyszę! Chodzę do szkoły muzycznej, gram na złotym saksofonie. Ale chciałbym grać na srebrnym. I zagram! Marzenia się spełniają! – mówił dziewięcioletni Tymeek Mosakowski z Włocławka. Na festiwalu „Ślimakowe Rytm”, razem ze swoją nauczycielką, zagrał piękny koncert.

17-letni Juan Pablo Medina z Meksyku urodził się w 28. tygodniu ciąży z niedosłuchem i porażeniem mózgowym spowodowanym sepsą. Dziś gra na fortepianie – jego występ nagrodzony został burzą oklasków.

Niektórzy urodzili się jako osoby niesłyszące, inni słuch utracili jako dorośli. Dzięki medycynie mogą słyszeć najbardziej wyrafinowane dźwięki, cieszyć się pełnią życia, i realizować swoje pasje.

Prof. Henryk Skarżyński już po raz 11. zorganizował Międzynarodowy Festiwal Dzieci, Młodzieży i Dorosłych „Ślimakowe Rytm”. Tym razem pod hasłem: „Przez ucho do serca – przegląd dźwięków odległych”. Mogliśmy posłuchać laureatów z całego świata, m.in. z Turcji, Australii, Meksyku i Włoch. Towarzyszył im kwartet smyczkowy Primuz Chamber Orchestra pod dyrekcją Krzesimira Dębskiego.

Wyjątkowy koncert i niezwykła idea. Marzenia się spełniają.
Robert Walenciak



Stephen Kiely z Australii w porywającym duecie z Krzesimirem Dębskim.



Claudia Mangione, Włochy.



Juan Pablo Medina z Meksyku.



Tymoteusz Mosakowski.



Viktar Marhulets z Białorusi.



Ata Cankir z Turcji.

Mity PiS

W 2005 r. bracia Kaczyńscy wygrali wybory dzięki hasłu walki z mitycznym układem postkomunistycznym, który niczym nowotwór miał trawić ojczyznę

Andrzej Sikorski

Jarosław Kaczyński powiedział kiedyś: „Żadne krzyki i płacze nas nie przekonają, że białe jest białe, a czarne jest czarne”. Zgodnie z tą myślą prezes PiS i jego akolici do perfekcji opanowali zakłamywanie rzeczywistości.

Histeryczne przedstawienie, które PiS odegrało na granicy z Niemcami, można nazwać majstersztykiem. Wykreowanie afery z rzekomym przetrucaniem do Polski przez niemieckie służby tysięcy muzułmańskich migrantów z Afryki spowodowało, że nawet premier Donald Tusk dał się nabrać na tę grę i wprowadził kontrole graniczne, co Robert Bąkiewicz, „komendant” samozwańczego Ruchu Obrony Granic, okrzyknął swoim wielkim sukcesem. Choć potem oznajmił, że Tusk tylko pozoruje walkę z nielegalnie przebywającymi w Polsce imigrantami. Dlatego też on i jego ludzie będą nadal stać na posterunkach, broniąc Polski.

Z sondażu przeprowadzonego przez IBRiS na zlecenie „Rzeczpospolitej” wynika, że 34% społeczeństwa też uwierzyło w kłamstwa o islamskich najeźdźcach i popiera obywatelskie patrole stadionowych chuliganów. Wcale bym się nie dziwił, gdyby 11 listopada, czyli w Narodowe Święto Niepodległości, Bąkiewicz został uhonorowany przez prezydenta Karola Nawrockiego najważniejszym polskim odznaczeniem, Orderem Orła Białego, „w uznaniu za znamienite zasługi dla Polski i Narodu Polskiego, za wierność Polsce niepodległej i suwerennej”. Być może

opis bitwy o polską granicę znajdzie się w kolejnym wydaniu podręcznika do historii i teraźniejszości prof. Wojciecha Roszkowskiego.

W ten sposób Jarosław Kaczyński za pomocą partyjnej propagandy od lat tworzy urojoną rzeczywistość, beczelnie kłamiąc, insynuując lub naginając fakty. Zdumiewające jest, że znaczna część społeczeństwa ślepo w to wierzy.

Kiszczak z Michnikiem wznoszą toast

Zaczął się od zdrady przy Okrągłym Stole, gdzie ludzie Solidarności dogadali się z komunistami i w ten sposób podzielono Polskę między kliki. Zdradę, niczym w mafijnym środowisku, przypieczętowano su- to zakrapianą imprezą. Naczelny ideolog PiS Sławomir Cenckiewicz

PiS i jego akolici do perfekcji opanowali zakłamywanie rzeczywistości.

w tekście „Szokujące kulisy Okrągłego Stołu” („Historia Do Rzeczy” nr 3/2015) pisał: „Leży przede mną nigdy niepublikowany zapis stenograficzny tzw. taśm Kiszczaka (wideo) z zakulisowych rozmów na Zawracie i w Magdalence. Wartość tego dokumentu ma przede wszystkim wymiar symboliczny, bowiem dokumentuje dynamiczny proces fraternizacji elit okrągłostołowych, które wkrótce stanowiąc będą już wspólną elitą III RP. (...) »Wąłęsa rozwiązuje krzyżówkę« – czytamy w stenogramie. I dalej: »Wąłęsa pijący alkohol. Jacek

Kuroń, Stanisław Ciosek, Zbigniew Bujak – rozmawiają i piją wódkę. Adam Michnik pijący wódkę. Czesław Kiszczak i Bronisław Geremek rozmawiający. Ireneusz Sekuła opowiada dowcip. Kiszczak wznosi toast, Michnik odpowiada, że pije za taki rząd, gdzie Lech będzie premierem, a gen. Kiszczak ministrem spraw wewnętrznych«. Było coraz weselej: »Wąłęsa z kieliszkiem wznosi toast za zdrowie generała; kelnerzy dolewają alkohol do kieliszków. Lech Wąłęsa, Adam Michnik, Tadeusz Mazowiecki, Czesław Kiszczak, Romuald Sosnowski stukają się kieliszkami. Sekuła w sposób humorystyczny wznosi toast za zdrowie premiera Mieczysława F. Rakowskiego (śmiech sali). Wąłęsa tłumaczy coś Kiszczakowi. Kuroń rozmawia z Cioskiem i Lechem Kaczyńskim. Sekuła wyciąga cygaro. Geremek pali cygaro. Kuroń z papierosem. Michnik opowiada dowcip o Jezusie i żydowskim przewoźniku po Jeziorze Genezaret«. Były też nietaktowne żarty podkreślające miłą atmosferę: »Michnik śmiejąc się (widoczne ubytki w uzębieniu), wznosi kieliszek. Sekuła opowiada żart o onanizmie i jąkałe. Kuroń opowiada anegdotę o swojej i Michnika przygodzie z tajnikami. Michnik opowiada dowcip o jąkałe i okrągłym stole. Koniec posiłku, uczestnicy negocjacji przechodzą do szatni. Kiszczak żegna się ze wszystkimi uczestnikami obrad i macha na pożegnanie«”.

We wszystkich oficjalnych i zakulisowych rozmowach oraz popijawach z komunistami uczestniczył Lech



Wykreowanie afery na granicy spowodowało, że nawet Donald Tusk dał się nabrać i wprowadził kontrole graniczne. Konferencja prasowa Jarosława Kaczyńskiego na granicy polsko-niemieckiej, Śtubice, 29 marca 2025 r.

Kaczyński, ale jego PiS nie oskarżyło o zdradę. Lech miał inne zdanie na temat Okrągłego Stołu niż jego brat i środowisko PiS. „Niektórzy twierdzą, że był jakiś spisek w Magdalence, że tam po cichu między sobą pewne sprawy uzgodniono. Byłem uczestnikiem wszystkich tych posiedzeń i mówię jasno: nie”, podkreślał w 20. rocznicę Okrągłego Stołu Lech Kaczyński.

Ukryci i jawni wrogowie

Skoro już „doszło do zdrady u zarania III RP”, to PiS wymyśliło ciąg dalszy historii. Tak powstał mityczny układ postkomunistyczny, który niczym nowotwór trawił ojczyznę. W 2005 r. bracia Kaczyńscy wygrali wybory prezydenckie i parlamentarne właśnie dzięki hasłu walki z układem. W programie wyborczym „IV Rzeczpospolita. Sprawiedliwość dla wszystkich” tak opisano ówczesną sytuację: „Dostaliśmy w spadku po PRL stary aparat państwowy oraz

nieformalne układy i grupy interesów, wyrosłe często na wpływach i tajnych powiązaniach peerelowskich służb specjalnych i ich styku ze światem przestępczym. W wyniku tego powstała ustrojowa hybryda, jaką jest postkomunizm. Zamiast powszechnego kapitalizmu otrzymaliśmy postkomunistyczny kapitalizm polityczny. Taki obrót spraw musiał mieć swoje konsekwencje. Jedną z jego ofiar zostało państwo polskie”.

Ponieważ układ postkomunistyczny był pojęciem abstrakcyjnym, trudnym do uchwycenia przez przeciwnego Kowalskiego, Jarosław Kaczyński musiał go z czasem czymś zastąpić. Idealny okazał się Donald Tusk jako zdrajca oczywisty, będący na usługach Rosji. Aby nadać Tusko wi oficjalny charakter zdrajcy, PiS powołało komisję do spraw badania wpływow rosyjskich na bezpieczeństwo Polski, zwaną lex Tusk. Jak wskazywali prawnicy, komisja była nielegalna i miała charakter sądu kapturowego. Mogła np. w ramach

„środków zaradczych” pozbawić osobę, która podpadła środowisku PiS, prawa do pełnienia jakichkolwiek funkcji publicznych nawet na 10 lat lub odebrać jej przymiot „niekazitelnego charakteru”, wymagany m.in. od sędziów. PiS przeforsowało ustawę o powołaniu komisji tuż przed wyborami w 2023 r. Jak można było się spodziewać, komisja w raporcie stwierdziła, że Tusk nie powinien pełnić publicznych funkcji związanych z bezpieczeństwem państwa. Do urzędowego potwierdzenia zdrady PiS dołożyło propagandowy serial „Reset”, emitowany w TVP, mający potwierdzić antypolską działalność Tuska.

W zależności od zapotrzebowania premier jest też agentem Niemiec. Zaczęto się od twierdzenia, że Angela Merkel usadowiła Tuska na stołku przewodniczącego Rady Europejskiej, aby ten posłusznie wykonywał wszystkie jej polecenia. Potem Niemcy ulokowali Tuska na czele polskiego rządu. Przy okazji awantury ▶

z rzekomymi uchodźcami Zbigniew Ziobro napisał na portalu X: „Rozumiecie już, czemu Niemcy tak forsowali Tuska na premiera Polski? Do tego blokada CPK, torpedowanie portu kontenerowego w Świnoujściu, hamowanie polskiego górnictwa, energetyki, w tym atomu. Tusk to lojalny agent niemieckich interesów w Polsce”. Ale czego się spodziewać po człowieku, który miał dziadka w Wehrmachcie... Jak mówił Jacek Kurski: „Ciemny lud to kupi”.

Zamach na rozum

PiS do walki politycznej i budowy mitu postanowiło wykorzystać nawet tragedię narodową, jaką była katastrofa w Smoleńsku. Choć jeszcze w lipcu 2010 r. Jarosław Kaczyński, który kandydował na urząd prezydenta, w spocie wyborczym zwracał się „do przyjaciół Rosjan” i dziękował im za „odruchy współczucia

We wszystkich rozmowach towarzyszących Okrągłemu Stołowi uczestniczył Lech Kaczyński, ale jego PiS nie oskarżyło o zdradę.

i sympatii, za każdą tzę, za każdy znicz”, to narrację zmienił po przegranej. Wkrótce pojawiły się liczne teorie o zamachu (było ich ok. 30), niektóre absurdalne i wzajemnie się wykluczające, a prezes PiS zagrzewał zwolenników do walki „o prawdę” podczas miesięcznic smoleńskich.

Lech Kaczyński i towarzyszący mu oficjele mieli zginąć w wyniku spisku Tuska i Putina (zbrodniczy plan przypieczętowany został na molo w Sopocie, co uchwycili fotoreporterzy). W innej wersji była to samodzielna decyzja prezydenta Rosji (zemsta za opowiedzenie się przez Kaczyńskiego w 2008 r. po stronie Gruzji). W prezydenckim samolocie podłożono jakoby ładunki wybuchowe (na skrzydle, innym razem w prezydenckiej salonce), wokół lotniska rozpylono sztuczną mgłę, smog, a nawet hel. Rosyjscy nawigatorzy doprowadzili do katastrofy, podając pilotom błędne dane lokalizacyjne, samolot został uszkodzony przez Rosjan, którzy go serwisowali.

Pseudospecjaliści wynajęci przez Kaczyńskiego do wyjaśnienia katastrofy opierali swoje teorie na eksperymentach przeprowadzonych na parówkach i puszkach po napoju energetycznym Red Bull – czym z dumą się chwalił. To wszystko brednie, ale i tak badania opinii publicznej wskazują, że w zamach w Smoleńsku wierzy ok. 30% Polaków.

Kult Lecha

Równoległe z mitem o zamachu w Smoleńsku PiS budowało mit Lecha Kaczyńskiego jako wybitnego męża stanu, wizjonera i ukochanego ojca narodu. Abp Marek Jędraszewski stwierdził nawet, że zmarły prezydent (którego pochowano na Wawelu) „w swojej służbie narodowi i państwu, w swym oddaniu prawdzie, w swej trosce o własną wolność i o wolność Polski i Polaków królom był równy”.

Lech Kaczyński został patronem niezliczonej ilości ulic, placów i skwerów. Jego wielkość, oprócz pomników i tablic pamiątkowych, sławią gazoport w Świnoujściu, droga szybkiego ruchu i statek do transportu gazu. Zmarły tragicznie prezydent został nawet patronem Krajowej Szkoły Administracji Publicznej (KSAP), choć niczym uczelni się nie przysłużył.

Wbrew wszystkim zakłębom Lech Kaczyński nie cieszył się szacunkiem Polaków. Tuż przed katastrofą w Smoleńsku (marzec 2010) CBOS opublikowało wyniki badań „Społeczny portret prezydenta Lecha Kaczyńskiego w roku wyborczym”. Suweren nie miał dobrego zdania o głowie państwa. Ankietowani wyrażali zastrzeżenia co do jego walorów intelektualnych. Aż 47% stwierdziło, że Lech Kaczyński nie wyróżnia się inteligencją. Równie negatywnie oceniane były jego kompetencje jako prezydenta. Zdaniem 45% respondentów nie

ma odpowiedniej wiedzy i umiejętności, by sprawować najwyższy urząd. W przekonaniu połowy ankietowanych (51%) jego prezydenturę charakteryzuje niska wrażliwość społeczna i – zdaniem tej grupy – tak naprawdę nie interesują go problemy ani los zwykłych ludzi. Według ponad połowy pytaných (54%) Lech Kaczyński jako prezydent nie cieszy się szacunkiem Polaków. Większość respondentów oceniła, że sprawując urząd prezydencki, kieruje się przede wszystkim własnym interesem politycznym, na dalszym planie stawiając dobro kraju (56%).

Autorzy badania tak podsumowali wyniki ankiety: „W oczach Polaków Lech Kaczyński jest ze wszech miar prezydentem partyjnym – widać to zarówno w ocenie jego działalności, jak i zróżnicowaniu opinii ze względu na sympatie partyjne. W opinii większej części ankietowanych Lech Kaczyński jako prezydent nie starał się utrzymywać pozycji bezstronnego, ponadpartyjnego arbitra, ale bardzo często był stroną angażującą się w bieżącą walkę polityczną po stronie ugrupowania, z którego się wywodzi. Wzmacnia tę opinię przekonanie o jego politycznej niesamodzielności”.

Jak Kaczyńscy obalili Olszewskiego

Innym mitem wykreowanym przez PiS jest gloryfikowanie rządu Jana Olszewskiego, który rzekomo został obalony w wyniku spisku przez siły postkomunistyczne pod wodzą Lecha Wałęsy i Donalda Tuska. Z tej okazji 4 czerwca każdego roku politycy PiS oddają hołd Janowi Olszewskiemu. Byłemu premierowi i jego rządowi przypisywane są liczne zasługi, m.in. sanacja polskiej gospodarki, uporządkowanie polityki finansowej państwa, doprowadzenie do wzrostu produkcji i przełamania recesji.

Prawda była jednak taka, że rząd Olszewskiego niczego nadzwyczajnego nie dokonał, upadł po zaledwie sześciu miesiącach nie przez zdradę Wałęsy i Tuska, ale dlatego, że nie miał poparcia w rozdrobnionym i skłóconym Sejmie. Natomiast

Jarosław Kaczyński nie szanował premiera, traktując go jak marionetkę w swoich politycznych rozgrywkach. Rząd Olszewskiego powstawał w wielkich bólach, przy kłótniach liderów partyjnych o podział tek. Ledwo powstał, a już zapowiadano jego obalenie. Głównym rozgrywającym był Jarosław Kaczyński, który knuł

17 maja 1992 r. (dwa tygodnie przed tzw. nocą teczek) Jarosław Kaczyński zawiązał koalicję z Józefem Śliszem, liderem jednego z chłopskich ugrupowań, i wezwał do obalenia rządu. „Rząd premiera Jana Olszewskiego wobec zaistniałej sytuacji politycznej w naszym kraju jest już nierealny”, oświadczył Kaczyński.

„Ostrzegaliśmy, że taka polityka doprowadzi do upadku rządu”, grzmiał Kaczyński, choć teraz twierdzi, że były premier był dla niego wzorem i autorytetem.

PiS osiągnęło istne mistrzostwo w komponowaniu alternatywnej rzeczywistości z kilku powodów. Przede wszystkim jest partią, która toczy nieustanną wojnę o Polskę, a do tego są potrzebni wrogowie zewnętrzni i wewnętrzni. Ponadto teorie spiskowe upraszczają rzeczywistość i są naiwnymi próbami wyjaśnienia przyczyn zjawisk w świecie. Wielu ludzi (szczególnie o skrajnych poglądach i tych, którzy mają mniejszą umiejętność myślenia analitycznego, a częściej opierają się na swoich intuicjach i automatycznych odruchach) nie analizuje tego, co mówią politycy i propagandiści, tylko przyjmuje ich słowa jako prawdę objawioną.

Andrzej Sikorski

Ponieważ układ postkomunistyczny był pojęciem abstrakcyjnym, Jarosław Kaczyński musiał go czymś zastąpić. Idealny okazał się Donald Tusk – zdrajca ojczyzny na usługach Rosji.

za plecami Olszewskiego, próbując stworzyć nową koalicję. Niecały miesiąc po powołaniu gabinetu Jarosław Kaczyński przewidywał: „Upadek rządu może być początkiem wielkiego zwycięstwa. Rząd szybko upadnie, ale wcześniej wykreuje program, nowy kształt centroprawicy, przywódcę, a później szybko będą nowe wybory i wielkie zwycięstwo”.

5 czerwca 1992 r. rząd został odwołany. Trzy dni później pokłócony z Kaczyńskimi Olszewski wraz z częścią posłów opuścił Porozumienie Centrum i założył klub parlamentarny Ruch dla Rzeczypospolitej. Zaraz po tym Jarosław Kaczyński zaatakował Olszewskiego, zarzucając mu m.in. zdradę własnego zaplecza politycznego i serwilizm wobec Wałęsy.

Twórcza metoda Cenckiewiczza

Michał Ogórek

Prof. Cenckiewicz jest szeroko (choć jeszcze niedostatecznie) znany z napisania przeogromnej biografii Anny Walentynowicz, jednej z przywódczyni strajku w Gdańsku z roku 1980, jaką opublikował pod bombastycznym tytułem „Anna Solidarność”.

Biografia autorstwa Cenckiewiczza idealnie pozoruje pracę naukową, zupełnie nią nie będąc. Napisał ją bowiem, rozmawiając głównie z ludźmi, którzy nie mówili o bohaterce prawdy, a to, czego się nie dowiedział, Cenckiewicz dopowiadał od siebie.

Sprawa by się nie wydała – bo też, prawdę mówiąc, temat i wykonanie nie są tak pasjonujące, aby ktoś po coś takiego sięgnął – gdyby nie to, że dwoje reporterów gdańskich, Dorota Karaś i Marek Sterlingow, zaczęło pracować nad swoją biografią Walentynowicz („Anna szuka raję”), z dużym zdumieniem odkrywając, że Cenckiewicz połowę życiorysu swojej bohaterki zmyślił, zresztą z aktywnym jej udziałem.

Reporterom bez trudu udało się wykazać, że książka zawodowego (?) historyka jest kompletnie zafałszowanym obrazem bohaterki. Wystarczyło bowiem sięgnąć do pokładów jej życiorysu, o których autor pierwszej biografii, wydając ów przeraźliwie opasty tom (tak się składa,

że biografia fałszywa jest obszerniejsza...), w ogóle nie miał pojęcia. Całkowicie zmyślono tam... pierwsze 20 lat życia Walentynowicz, zawierając – bez próby sprawdzenia – mylnym tropom podsuwanym przez nią samą.

Dopiero następnii autorzy odnaleźli prawdziwą, jak najbardziej żyjącą i wszystko pamiętającą ukraińską rodzinę bohaterki, którą ona z jakichś nieznanych powodów ukrywała, przygotowując całkowicie zmyślone wątki swojego pochodzenia, które Cenckiewicz spisał. I tak miał szczęście, że Walentynowicz żyła trochę dłużej niż te 20 lat, bo gdyby pisał w ten sposób biografię krakowskiego studenta Stanisława Pyjasa (ostatnio wyszła, na szczęście zabrał się do tego kto inny), byłby to już przecież koniec książki.

Walentynowicz żyła dłużej, ale trudno powiedzieć, ile dalej nazmyślała Cenckiewiczowi, który najwyraźniej nie ma zwyczaju konfrontować tego, co usłyszy, z rzeczywistością. Karaś i Sterlingow nie zweryfikowali dotąd jednak całej działalności Cenckiewiczza, który napisał niestety o wiele więcej książek i nie wiemy, co w nich jest prawdą.

Krok w krok z nim powinni posuwać się Karaś ze Sterlingowem, weryfikując wszystko, co mu kto nakłamał. Prawdziwi reporterzy historyczni mają tu dużo do zrobienia.

Tekst ukazał się w „Angorze” nr 28/2023, w rubryce „Michał Ogórek przeczyta wszystko”, pod tytułem „Z dokładnością do 20 lat”.

troje na jednego

JEDEN:

WALDEMAR DĄBROWSKI

TROJE:

JAN ORDYŃSKI

ZUZANNA PIWOWAR

PAWEŁ SĘKOWSKI

KULTURA NARODOWA TO SUMA KOMPETENCJI KULTURALNYCH SPOŁECZEŃSTWA

Fragmety rozmowy, która ukazała się w najnowszym numerze „Zdania” (2/2025) – w wersji papierowej do nabycia w Empikach, w wersji elektronicznej na sklep.tygodnikprzeglad.pl.

(...) **PAWEŁ SĘKOWSKI:** Z pana słów wyłania mi się obraz osoby skoncentrowanej na kulturze, zarządzaniu, tak trochę ponad czy też obok politycznych implikacji i zależności. Czy był pan w partii i jak pan odbierał rzeczywistość Polski Ludowej?

WALDEMAR DĄBROWSKI: Wie pan, ja mam z tym bardzo poważny problem, bo byłem w partii, jako jedyny człowiek w swojej rodzinie. Zadzwoniłem do swojego ojca, który był głęboko wierzącym katolikiem i nie akceptował systemu, i powiedziałem: „Tato, jestem w środowisku znakomitych ludzi: Józef Oleksy, Grzegorz Kołodko itd. Tylko ja nie jestem partyjny”. On mówi: „Synu, zrób to, co uważasz za stosowne. Ja nie mam z tym problemu”. To była ta górka Gierkowska, emocjonalna. Wydawało się, że sytuacja może iść w dobrą stronę. Ale szczerze mówiąc, do dzisiaj mam wątpliwości, czy słusznie zrobiłem.

SĘKOWSKI: Czyli wstąpił pan do partii w czasie studiów i w okresie aktywności w ruchu kultury studenckiej.

DĄBROWSKI: Tak, w tym czasie. A później już z partii nie wystąpiłem, bo chodziło o to, żeby chronić Teatr Studio przed represjami.

ZUZANNA PIWOWAR: Można powiedzieć, że wykorzystał pan „technicznie” przynależność do partii?

DĄBROWSKI: Nie chciałem z tego robić wielkiej sprawy. We trzech, bo jeszcze ze Stasiem Brudnym i Józefem Szajną, stanowiliśmy POP (podstawową organizację partyjną – przyp. red.). Utrzymywaliśmy istnienie tej partii po to, żeby móc np. przyjąć do zespołu chłopców ze szkoły teatralnej, którzy wyszli z więzienia.

SĘKOWSKI: I był pan w PZPR do jej rozwiązania?

DĄBROWSKI: Tak. Natomiast nigdy nie byłem działaczem partyjnym.

JAN ORDYŃSKI: Jak to się stało, że gdy Izabella Cywińska zostaje ministrem kultury, ty stajesz się jednym z jej zastępców i szefem Komitetu Kinematografii?

DĄBROWSKI: Ja w czasie Teatru Studio bardzo współpracowałem z Andrzejem Wajdą, z Krzysztofem Kieślowskim, z wieloma innymi. A przecież więzi miałem jeszcze z czasów studenckich. Filip Bajon, Feliks Falk itd. To było środowisko mi bliskie. W latach 80. robiłem w Niemczech festiwal Theater Landschaft Polen, który w całości finansował rząd Nadrenii Północnej-Westfalii. Trzy lata z rzędu robiliśmy wielką prezentację, taką panoramę kultury polskiej, bardzo bogatą, bo to i sztuka, i teatr, i muzyka, i film. Udało mi się wtedy zrobić bardzo wiele rzeczy, które zaznaczyły się w świadomości wybitnych ludzi polskiego kina. Wiesz, w świecie teatru to ja już miałem swoją pozycję. A kino to była dziedzina, z którą ja właściwie tylko poprzez Wajdę i Kieślowskiego, zwłaszcza tych dwóch, miałem osobiste relacje. Przecież



nie angażowałem się w żadne produkcje filmowe. Może poza drobnymi, ale nieznaczącymi. I teraz Iza – to jest zabawna historia.

ORDYŃSKI: Znalście się z Izą Cywińską?

DĄBROWSKI: Tak, znaleźliśmy się dosyć dobrze z czasów Teatru Studio, m.in. w ramach tego festiwalu Theater Landschaft Polen pokazywałem Teatr Nowy w Poznaniu, wprawdzie nie z jej produkcjami, tylko Janusza Wiśniewskiego, ale jednak. W Teatrze Polskim doszło do poważnego konfliktu pomiędzy Izą a Januszem Wiśniewskim, który, co tu dużo gadać, nie był najbardziej aksamitnym charakterem, jaki można sobie wyobrazić. Nawet w świecie sztuki. Zdawało nam się wówczas, że on zajmie jakby pozycję Kantora. Nie wiem, czy pamiętacie te spektakle, „Nowa Europa” i inne. Napisałem wówczas list do Izy, to był 1989 r., że skoro jest ten konflikt dwóch wybitnych osobowości, to żeby się na mnie nie gniewała, ale chcę zaproponować, że przejmę Wiśniewskiego z jego aurą artystyczną do Centrum Sztuki Studio. Czasem myślę o sobie – darujcie brak skromności – że podjąłem się zadania niezwykłego: mając Józefa Szajnę, Jerzego Grzegorzewskiego, Tadeusza Łomnickiego, Adama Hanuszkiewicza i dodatkowo jeszcze Janusza Wiśniewskiego, udało mi się stworzyć harmonijne relacje między innymi.

PIWOWAR: Jeszcze Kantora i Grotowskiego brakowało!

DĄBROWSKI: Znałem jednego i drugiego. Grotowskiego już wtedy nie było w Polsce. A Kantor to osobna historia. Bywałem kierownicą Kantora, jak przyjeżdżał do Warszawy – charakterologicznie bardzo trudny człowiek!

Wielki artysta, ale bardzo trudny człowiek. Niemniej wielkim zaszczytem było nawet być okazjonalnie jego kierownicą.

PIWOWAR: Mielście okazję razem pracować z Kantorem?

DĄBROWSKI: Nie. Ale przyjaźnię się z ludźmi, którzy wykreowali pozycję Kantora w Wielkiej Brytanii, a potem we Włoszech. To właśnie moi przyjaciele z czasów studenckich. To tak się potlo.

SĘKOWSKI: Wracając do Izabelli Cywińskiej i tego, w jaki sposób znalazł się pan w rządzie Tadeusza Mazowieckiego...

DĄBROWSKI: Zastanawiam się, jak to w dużym skrócie opowiedzieć... W rezultacie mojego listu do Cywińskiej Wiśniewski wylądował w Teatrze Studio, ale Iza odczuwała to dość ambiwalentnie. Bo z jednej strony to była ulga, a on przestał stanowić dla niej swoistą konkurencję. Ale z drugiej strony trochę ją to ubodło. I teraz jest wrzesień 1990. Ja po premierze „Tamary” jestem na kolacji u ambasadora Niemiec. Jest nas pięcioro: ambasador z żoną, Andrzej Wajda z Krysią i ja. Następnego dnia rano jestem umówiony u Izy Cywińskiej w gabinecie. Ona już jest ministrem. Wchodzę do tego gabinetu i, ku mojemu zdumieniu, widzę Izę i Andrzeja Wajdę, który poprzedniego wieczoru w ogóle nie wspomniał, że następnego dnia rano się spotkamy. I słyszę od Izy, że oboje składają mi propozycję, żebym został szefem kinematografii i wiceministrem. Formalnie zostałem przewodniczącym Komitetu Kinematografii, ale równocześnie wiceministrem – podsekretarzem stanu ds. zagranicznych w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Od Krzysztofa Zanussiego wiem, że propozycję w tej sprawie podsunął Krzysztof Kieślowski. (...)

Wiedziałem, że trzeba dokonać przełomu wręcz kopernikańskiego, by dla kultury wykreować niezbędne dla niej specjalne miejsca.

2 lipca 2002 r. jestem powołany przez prezydenta Kwaśniewskiego na ministra kultury. Zaglądam do dokumentów akcesyjnych, unijnych, a tam nie ma ani słowa o kulturze. Nawiasem mówiąc, było to dramatyczne zaniedbanie Andrzeja Celińskiego. A przy okazji – wszystkich innych ludzi w rządzie. I co teraz zrobić, czasu jest bardzo mało.

SĘKOWSKI: To był projekt traktatu akcesyjnego?

DĄBROWSKI: To już był prawie traktat akcesyjny do złożenia, do akceptacji. Jadę do premiera Millera i tłumaczę mu, że nieuwzględnienie kultury oznaczałoby pewne środki na ten cel, ale bardzo symboliczne, tysiące euro. A ja chciałem setek milionów. Pojechałem do swoich przyjaciół w Kolonii. Oni mnie umówili z Viviane Reding, unijną komisarz ds. edukacji i kultury i zawieźli samochodem do Brukseli na śniadanie w jakimś majątku. Od bramy jechało się trzy minuty samochodem do pałacu. I z tą Luksemburką umówiliśmy się na śniadaniu, że ja napiszę strategię rozwoju kultury polskiej na 20 lat, a ona włączy polską kulturę do programów strukturalnych. Krótko mówiąc, do tych samych, z których się buduje ▶

Od lewej: Jan Ordyński, Zuzanna Piwowar, Waldemar Dąbrowski i Paweł Sękowski.

► autostrady. Bo przekonałem ją, że patrzę na sferę kultury nie w paśmie wyrazu artystycznego, który zaznaczony jest pięknym obrazem, spektaklem, filmem, tylko jako na czynnik rozwoju cywilizacyjnego. Czyli człowiek kulturalny lepiej pracuje przy obrabiarce, mądrzej wychowuje dzieci, ładniej ma nakryty stół niedzielny, mądrzejsze rozmowy prowadzi z sąsiadami. I spędza wolny czas w zupełnie inny sposób, co go przygotowuje do pracy następnego dnia.

SĘKOWSKI: To pasowało do ministra w rządzie lewicowym.

DĄBROWSKI: W ogóle w ten sposób o tym nie myślałem, bo ja nie znam tych pojęć lewica – prawica. Naprawdę.

SĘKOWSKI: Ale pan był lewicowym ministrem, nie wiedząc o tym.

DĄBROWSKI: Ja byłem chrześcijańskim ministrem. Wracając do tematu, napisałem tę strategię rozwoju z punktu widzenia kultury jako czynnika rozwoju cywilizacyjnego. Co więcej, od razu wam powiem, że dla mnie jako ministra kultury, wbrew temu, co mi sugerowano, wyzwaniem nie był Andrzej Wajda czy Jan Tarasin. Dla mnie wyzwaniem byli wyborcy Samoobrony, te obszary zaniedbania kulturowego ukształtowane kiedyś w naszych dworskich formułach, potem zaniedbane przez II RP i dzisiaj też nieobjęte należycie mecenatem przez młodą demokrację. Więc piszę, tak troszkę na chybcika, tę strategię rozwoju kultury. Reding też się wywiązuje ze zobowiązania. I zaczynamy mówić o setkach milionów euro, a nawet miliardach, na rozwój kultury. Do dzisiaj to jest ponad 800 inwestycji infrastrukturalnych w sferze

To, co mi się przytrafiło, nie odbyło się w obrębie kultury zmiany, tak jak ja ją rozumiem.

kultury w Polsce. Wiedziałem, że trzeba dokonać przełomu wręcz kopernikańskiego, by dla kultury wykreować niezbędne dla niej specjalne miejsca, w których będzie można wykorzystać energię kultury i spełnić pragnienie społeczności lokalnych i społeczeństwa polskiego zanurzania się w aurze kultury. Krzysztof Penderecki kiedyś zauważył: „Mówią, że nie warto budować sal koncertowych, bo nikt nie przyjdzie. A skąd to wiemy?”. I okazało się, że mamy najlepsze sale koncertowe w Europie.

ORDYŃSKI: I przychodzą ludzie.

DĄBROWSKI: Są tłumy.

PIWOWAR: I to jako system instytucjonalny.

DĄBROWSKI: Oczywiście. Do tego jeszcze wybitna realizacja architektoniczna. Jak byście zobaczyli, jak cudownie udało się zmobilizować do różnych projektów wybitne postaci środowisk lokalnych, które towarzyszyły aktom narodzin wspaniałych instytucji kultury, o których



mogli wcześniej tylko marzyć, a właściwie nie mieli prawa nawet marzyć. Wojciech Kilar był cudownym człowiekiem. Henryk Mikołaj Górecki, którego życie nie oszczędzało, otwierał się na te sprawy. Krzysztof Penderecki angażował się niemal w każde przedsięwzięcie, które miało jakiś sens ideowy. To były wielkie rzeczy. (...)

SĘKOWSKI: Jeżeli pan chce i może o tym powiedzieć, pomówmy o tym, że dobiega końca pana 21-letnia misja, a licząc bez przerwy: 17-letnia.

ORDYŃSKI: Uważam, że sposób, w jaki z tobą się rozstało, jest nie do przyjęcia. Zamiast zaprosić cię na rozmowę w cztery oczy, pani minister robi to właściwie przez gazetę.

DĄBROWSKI: Pani minister właściwie zaprosiła mnie na rozmowę w cztery oczy, ale umówiliśmy się, że ona mi przedłuży dyrektorowanie o dwa lata, ja wprowadzę kogoś i odbędzie się takie stopniowe „przekazywanie władzy” w teatrze. Spotkała się z proponowaną przeze mnie osobą, ale zapomniała o wcześniejszych ustaleniach i ogłosiła konkurs. Chciałbym, żebyście wiedzieli, że ja sobie bardzo, ale to bardzo uwewnętrzniłem powiedzenie niezapomnianej Ewy Podleś: „Wolę, żeby mi zadawano pytania, dlaczego już nie śpiewam, niż dlaczego jeszcze śpiewam”. Byłem całkowicie przygotowany do tego momentu domknięcia swojej kariery w Teatrze Wielkim. Domknąć swój czas. I tak byłem umówiony z panią minister. Niestety, zafundowała mi wariant bardzo nieprzyjemny. Natomiast sama energia zmiany wydaje mi się wartościową. Bo jakby nie spojrzeć na to, ten konkurs wygrał Boris Kudlička, którego ja bardzo cenię i lubię. Jakim on będzie dyrektorem, tego nie wiem. Ale jakim jest człowiekiem, wiem dobrze. Ale o tyle się z tobą zgadzam, że jest coś takiego jak kultura zmiany. I to, co mi się przytrafiło, nie odbyło się w obrębie kultury zmiany, tak jak ja ją rozumiem.

ORDYŃSKI: To samo przecież było z Janem Englertem jako dyrektorem artystycznym Teatru Narodowego.

DĄBROWSKI: Z Jankiem było jeszcze gorzej. Janek to idiom, aktor wybitny, reżyser i rektor szkoły teatralnej,

który właściwie został okaleczony. Wracając do mnie, pani minister Hanna Wróblewska zafundowała mi trumieny wariant rozstania się z teatrem. Trumieny, ponieważ do mojego gabinetu z widokiem na plac Teatralny, który jest węzłem losów polskiej historii, do tego ukochanego miejsca, które jakoś tam wyrzeźbiłem i stworzyłem bardzo specjalne relacje – sztuka stara, sztuka nowa, w kącie postawiłem instrument azjatycki, żeby nie ulegać europocentryzmowi, a już w żadnym razie polonocentryzmowi, jedni – większość – wchodzili ze łzami w oczach, drudzy nie wiedzieli gdzie spojrzeć, żeby nie natknąć się na mój wzrok, jeszcze inni – najczęściej z zewnątrz – przychodzili i patrzyli, gdzie ten katafalk, na którym powinienem już leżeć. Mam poczucie, że nie zasłużyłem na to.

SĘKOWSKI: Ale z drugiej strony pierwsza część pańskiej wypowiedzi świadczy o tym, że czuje się pan spełniony. Wypełnił pan swoją misję, zrealizował założone cele.

DĄBROWSKI: Liczyłem na inną formułę domknięcia mojego czasu w Teatrze Wielkim. Pomyliłem się. Ale nie jestem smutny. Jestem wdzięczny losowi za tych 21 lat współpracy ze wspaniałym zespołem i za to uznanie ze strony publiczności, które dla mnie jest najwyższą miarą naszego wspólnego sukcesu. (...)

SĘKOWSKI: Jest pan jednym z ojców założycieli Muzeum Polin?

DĄBROWSKI: Chętnie się zgadzam na ten tytuł. Jestem jednym z nich. Lech Kaczyński też. I Jan Kulczyk, którego 20 mln zł ostatecznie domknęło budżet wystawy głównej.

ORDYŃSKI: Jest na ścianie darczyńców.

DĄBROWSKI: Ale nie tylko na ścianie. Ja zadbałem, by sala koncertowa była jego imienia.

SĘKOWSKI: I Marian Turcki, także Piotr Wiślicki.

DĄBROWSKI: Wiślicki to dużo później, ale z bardzo dużymi zasługami. Bo on jako człowiek biznesu umiał ogarnąć fundusze, które w rękach humanistów nie wydawały się bezpieczne. Natomiast oczywiście Marian Turcki ideowo. Udało nam się stworzyć drużynę. Bo to byli ludzie z całego świata. Jeździłem m.in. po Stanach Zjednoczonych i zbierałem pieniądze na muzeum. Z Tadem Taube, rodem z Krakowa, odwiedziłem najważniejsze miasta na zachodnim wybrzeżu. Ileż ja się naprzemawiałem! Ale w efekcie Tad zebrał 17 mln dol.

SĘKOWSKI: Potem był pan członkiem rady Muzeum Polin.

DĄBROWSKI: Członkiem rady byłem z ramienia Jana Kulczyka jako darczyńcy. W Polin miałem poczucie, że robimy coś bardzo ważnego, ale nawet nie tyle w kategoriach pamięci, bo to jasne. Postanowiliśmy zrobić muzeum prawdy. Przecież tam pracowało ponad 150 naukowców, którzy się zajmowali szczegółowymi dziedzinami. Chodziło o to, żeby nikt nam ze świata szpilki nie wepchnął, że coś nie jest tak jak trzeba. Wiem, że jest antysemityzm, ale jest też

bardzo silny antypolonizm. W szczególności w Izraelu i w szczególności w drugim i trzecim pokoleniu ocalałych z Holokaustu. To jest też doświadczenie rodzinne, że np. ojciec wył całą noc i nie wiedziałeś dlaczego. Te sprawy kumulowałeś w sobie. Jestem na festiwalu w Jerozolimie, a tu kanadyjska Żydówka staje się agresywna w stosunku do mnie, bo dowiaduje się, że jestem Polakiem. Była ze mną Miriam Akavia, pisarka, autorka paru fajnych książek. Notabene przez kilkadziesiąt lat nie mówiła po polsku. A pewnego dnia usiadła, położyła kartkę przed sobą i zaczęła pisać. Po polsku. Z pióra spłynęła jej polszczyzna. I Miriam mówi do tej dziewczyny, zresztą ślicznej, do tej Kanadyjki: „A czy ty w ogóle kiedykolwiek

Oferta kulturalna jest bogata, istnieje świetna infrastruktura kulturalna. Pozostaje tylko kwestia woli.

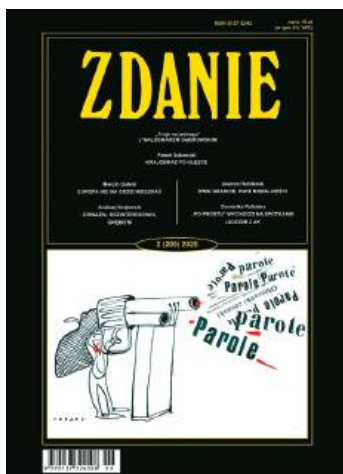
spotkałaś Polaka? Dlaczego tak reagujesz?”. Ta Kanadyjka wściekła, jakby mogła, przegryzłaby mi gardło. „My byliśmy strasznie trudną mniejszością”, mówi Miriam. I przytoczyła jej taką historię, że kiedy młody chłopak, Polak, zakochał się w dziewczynie żydowskiej, to rodzina Polaka była nieszczęśliwa. Ale rodzina żydowska uznawała swoją córkę za zmarłą. Miriam to opowiadała przy mnie tej Kanadyjce, która szeroko otwierała oczy. Ja takich doświadczeń miałem masę. (...)

PIWOWAR: Wspomniał pan o długofalowej wizji. Jak pan widzi, jako człowiek z ogromnym dorobkiem i doświadczeniem, kierunki rozwoju kultury na najbliższą dekadę? Co się wydarzy? Bo jesteśmy w dziwnym momencie. Gdzie ta kultura pójdzie w erze TikToka, YouTube’a, w erze tylu różnych kontrowersji? Ale też chyba szans i potencjałów.

DĄBROWSKI: Wiecie, gdzie pójdzie? Intensywniej niż kiedykolwiek w przeszłości uwewnętrzni ją większość Polek i Polaków. Jestem o tym najgłębiej przekonany. Ponieważ jesteśmy 20. gospodarką świata. Jesteśmy najmniej osiągnięli, nie była pomniejszana przez durnych polityków, tylko otwierała umysły i serca rodaków. Oferta kulturalna jest bogata, istnieje świetna infrastruktura kulturalna. I pozostaje tylko kwestia woli. Nie obawiam się sporu cywilizacyjnego i w wymiarze technologicznym, dlatego że – co już rozważaliśmy wcześniej – człowiek ma przyrodzoną potrzebę uczestniczenia w kulturze. Można to pomniejszyć, można powiększyć, można odpowiedzieć na to w sposób właściwy, można odpowiedzieć powierzchownie. A ja głęboko wierzę w siłę poezji, bez której człowiek żyć nie może.

SĘKOWSKI: To ładna puenta. Dziękujemy za rozmowę.

*Jan Ordyński, Zuzanna Piwowar,
Paweł Sękowski*



Rzeź Woli: nieukarane ludobójstwo

Za podstawę przyjęto 2 kg prochu – jako pozostałość po jednym spalonym trupie

Hitlerowskie zbrodnie dokonane w pierwszych dniach sierpniowego zrywu przerażają skalą bezwzględności. Więść o nich szybko rozniosła się w walczącej Warszawie. Zrozumiałe więc, że po wyzwoleniu to ludobójstwo zaczęła dokumentować Główna Komisja Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce. Zbierano relacje świadków i gromadzono archiwalia. To na ich podstawie powstało opracowanie, którego autorem – wiele na to wskazuje – był prof. Stanisław Płoski, związany przed wojną z ruchem socjalistycznym.

Publikowany poniżej dokument „Dzielnica Wola w powstaniu warszawskim” wraz z mapkami był pierwszym naukowym opracowaniem powstałym w ówczesnej rzeczywistości, pierwszą

udokumentowaną analizą ludobójstwa na mieszkańcach Woli. Choć autor zastrzega, że niektóre dane i opisy wydarzeń wymagają dalszego sprawdzenia czy refleksji, to trudno dokumentowi zarzucić nierzetelność. Jest przy tym niezwykle. Choćby z racji tego, że sporządzany był niemal na gorąco, zaledwie trzy lata od opisywanych wydarzeń, na podstawie zeznań naocznych świadków oraz relacji zdanych niedługo od upadku powstania.

Całość dokumentu w oryginalnej wersji znalazła się w pierwszym z dwóch tomów nowej serii „Zakłamaną historią powstania. Gen. Anders: powstanie to zbrodnia”. Oba tomy zostały opublikowane przez Fundację Oratio Recta, wydawcę „Przeglądu”.

Paweł Dybicz

Dzielnica Wola w powstaniu warszawskim

Z upływem czwartego dnia powstania zamknąć można pierwszy etap wypadków, które rozegrały się na Woli. W tym okresie nie było raczej planowej akcji eksterminacyjnej w stosunku do ludności miasta. Liczne gwałty i zbrodnie popełniane na ludności od świtu 2 sierpnia miały charakter ekscesów ze strony poszczególnych oddziałów niemieckich, znajdujących się na tym terenie. W większości wypadków dokonane zostały w trakcie walki z powstańcami. W walkach tego rodzaju dla nieprzebiegającego w środkach żołnierza armii niemieckiej zacierą się różnica między walczącym powstańcem a niebiorącym w walkach udziału cywilem, zwłaszcza gdy w oddziałach powstańczych znaczny udział biorą kobiety lub też młodzież. Niemcy wiedzieli, że walczą z nimi kobiety, mężczyźni cywile oraz, co nie zaliczało się do rzadkich wypadków, dzieci. Toteż za wroga uważali każdą napotkaną przez siebie osobę cywilną. Widzieli, że strzelano do nich z domów i że rzucono granaty na posuwające się ulicami czołgi

i samochody. Toteż na terenie walk palono domy i mordowano lub też wypędzano ich mieszkańców.

Innego postępowania nie można było się spodziewać od żołnierzy niemieckich, o których zresztą gen. von dem Bach, ich późniejszy dowódca, stwierdził, że „wojska te w wielkiej mierze nie były armią, lecz kupą świń”. Wypadki kampanii wrześniowej 1939 r. wyraźnie już pokazały, że od armii niemieckiej nie można spodziewać się zachowania zgodnego z prawami międzynarodowymi. Istotą sprawy jest wykazanie, iż w pierwszych czterech dniach powstania, oprócz całego szeregu wypadków morderstw i gwałtów związanych z walką z powstaniem, Niemcy nie podjęli jeszcze tej akcji eksterminacyjnej, którą można by było uważać za wykonywanie rozkazu Hitlera-Himmlera (zniszczenie miasta i wymordowanie jego ludności), wydanego pierwszego lub drugiego dnia sierpnia. Nie znamy pełnego i dokładnego tekstu tego rozkazu. Wydany został on ustnie, jak stwierdzają to zeznania generałów niemieckich złożone przed prokuratorem Sawickim w Norymberdze.

5 sierpnia rozgorzały wzdłuż linii ulicy Młynarskiej walki, które trwały bez przerwy przez cały dzień, aż do późnego wieczora. Dzień ten był dniem przełomowym w życiu mieszkańców Woli. Wypadki, które rozegrały się 5 sierpnia na tyłach linii walk, a które swoją rozpiętością objęły cały teren znajdujący się w rękach niemieckich, wysuwają się na pierwsze miejsce spośród całego pasma tragicznych przejść ludności Warszawy w czasie powstania.

Tego dnia Niemcy przystąpili do wielkiej, planowej i zorganizowanej akcji, której celem ostatecznym miało stać się kompletne wymordowanie całej ludności polskiej na opanowanych przez nich terenach. Według rozkazu Hitlera-Himmlera należało zabić każdego mieszkańca Warszawy, nie wolno było brać oddziałom niemieckim żadnego jeńca, miasto całe miało być zrównane z ziemią. Rozkaz ten łamał wszelkie prawa i zwyczaje międzynarodowe, ignorował zupełnie fakt ścisłego zachowywania przez powstańców przepisów międzynarodowych (np. w stosunku do jeńców Niemców), a przez



Cała Wola pokryła się tysiącami trupów. Trupy leżały na podwórkach i w bramach, trupami zastane były ulice.

bezwzględne polecenie zabijania każdego niewalczącego mieszkańca stolicy, bez względu na wiek i płeć, miał stworzyć zastraszający przykład dla całej podbitej Europy, miał pokazać wszystkim, jaki los czeka tych, którzy odważą się wystąpić przeciw raz ustanowionej władzy niemieckiej.

Akcja niemiecka rozpoczęła się późnym rankiem około godziny 9. Silne oddziały SS, policji, wojska oraz formacji cudzoziemskich w służbie niemieckiej, przydzielonych z 9. armii do walki z powstańcami, obstawiły cały teren dzielnicy. Po ulicach krążyły auta, czołgi oraz patrole. Następnie grupy żołnierzy wpadały do domów, obrzucając piwnice, bramy, podwórza i okna granatami, ostrzeliwując je nadto z karabinów. Całą ludność wzywano okrzykami do natychmiastowego opuszczenia domów. Pijani przeważnie żołnierze rozbiegli się po mieszkaniach, grabiąc, rabując, a jednocześnie mordując osoby ociągające się z opuszczeniem domu, próbujące obronić się przed rabunkiem, ukrywające się po różnych zakamarkach strychów, mieszkań czy piwnic. W licznych wypadkach strzelano do wychodzących z domów. Po obrabowaniu mieszkań i sprawdzeniu, czy nikt się nie ukrył, dom podpalano. Ludność zbierała się w międzyczasie na podwórkach domów.

Tu zgromadzonych obrabowywali żołnierze, wrywając z rąk bagaże, zdzierając pierścionki i zegarki, domagając się wydania pieniędzy, złota, kosztowności. Po takim oczyszczeniu z wszelkich wartościowych przedmiotów grupę obrzucano granatami lub też ostrzeliwano z broni maszynowej lub ręcznej. Spędzano też niekiedy ludność do piwnic lub schronów przeciwlotniczych i tam dopiero

Według rozkazu Hitlera-Himmlera należało zabić każdego mieszkańca Warszawy, nie wolno było brać żadnego jeńca.

odbywała się egzekucja, najczęściej przy użyciu granatów. Następnie żołnierze chodzili między trupami, dobijając z rewolwerów jeszcze lub karabinów rannych, zabierając znalezione przy zabitych kosztowności. Cała dzielnica była w ciągu długich godzin miejscem takich egzekucji. Obok tych stosunkowo mniejszych mordów dokonywanych w szeregu punktów dzielnicy, w miejscach specjalnie przygotowanych odbywały się na wielką skalę masowe egzekucje osób spędzonych z okolicznych bloków i ulic. Liczby ofiar sięgały w takich punktach tysięcy. Miejsca te to place po wypalonych domach, obszerne pofabryczne lub też place

przed kościołami czy parkami. Partia za partią, grupa za grupą, rozstrzelano tam sprowadzane rzesze Polaków. Po paru zaledwie godzinach stosy trupów sięgały wysokości paru metrów. Dnia tego nie oszczędzano nikogo. Stosownie do rozkazu mordowano mężczyzn, kobiety, starców i dzieci. Żadne prośby czy błagania, żadne próby wykupu nie były w stanie przejednać rozwścieczonych oprawców. Ginęli wszyscy.

Mordowano księży i zakonników, lekarzy i personel szpitalny ze znakami Czerwonego Krzyża na ramieniu, chorych i rannych. Pod kulami oddziałów egzekucyjnych padały całe rodziny, mieszkańcy całych domów, bloków czy ulic. Cała Wola pokryła się tysiącami trupów. Trupy leżały na podwórkach i w bramach, trupami zastane były ulice (na ulicach strzelano do tych, którzy nie mogli nadążyć w szybkim marszu na miejsce egzekucji). Po trupach ulicami pełnymi dymu dobywającego się z płonących domów pędzono coraz to nowe fale ludności na miejsce egzekucji. Ze wszystkich stron dochodziły odgłosy strzałów, jęki rannych i konających, krzyki mordowanych.

Jednocześnie coraz silniejsze detonacje i wybuchy od strony ulicy Młynarskiej świadczyły o wzmagającym się boju z powstańcami.

Rzeź Woli ciągnęła się przez długie godziny. Dopiero po południu, tj. między godziną 17 a 18, wydany został nagły rozkaz wstrzymujący morderczą akcję. Rzekomo oficer niemiecki miał objeżdżać ulice dzielnicy, polecając wszędzie zaprzestać wykonywania egzekucji. W związku z tym nagłym przerwaniem rzezi mieszkańców Woli wysuwa się ważna kwestia do rozstrzygnięcia: kto wydał rozkaz wstrzymujący morderczą akcję. Istnieją pewne podstawy pozwalające na wysunięcie hipotezy, że rozkaz wstrzymania egzekucji wydany został przez samego gen. von Bacha, a z tego zaś wypytywa fakt, że Bach był w Warszawie już 5. dnia powstania. (...)

► Z chwilą wydania rozkazu ustały wielkie masowe egzekucje. Rozkaz, oczywiście, nie mógł wstrzymać wszystkich morderstw. Żołnierze, najczęściej pijani, podnieceni całodzienną rzezią, żądzą rabunku i gwałtu, nie wszędzie od razu dostosowywali się do nowego rozkazu. Nie wszędzie zresztą rozkaz mógł dotrzeć. Toteż mniejsze egzekucje i poszczególne morderstwa odbywały się nadal. (...)

Po zaprzestaniu masowych egzekucji przystąpiono do uprzątnięcia trupów. W licznych miejscach zwąły ciała płonęły już w trakcie rozstrzelania. Sformowane z mężczyzn Polaków specjalne oddziały przeznaczone do przenoszenia i palenia trupów, tzw. Verbrennungskommando, znosiły ciała pomordowanych na duże stosy, układane bądź to w miejscu egzekucji, bądź na pobliskich placach czy w ogrodach. Zniesione tak zwąły ciała polewano benzyną i podpalano. W szeregu wypadków wrzucano trupy do płonących domów. Prace te trwały przez szereg dni, a śladem ich były potężne paleniska i całe niekiedy tony popiołów, na które napotymano często po wyzwoleniu miasta. (...)

Pod bramę i mury fabryki Ursus spędzano mieszkańców domów położonych przy ulicach

Rzeź Woli ciągnęła się przez długie godziny. Dopiero między godz. 17 a 18 wydano rozkaz wstrzymujący morderczą akcję.

Działdowskiej, Płockiej, Sokółowskiej, Staszica, Wolskiej, Wawelberga, Skierniewickiej i do nich przyległych. Nadciągały coraz to nowe partie, toteż tłum przed fabryką rósł z minuty na minutę.

Między zgromadzonymi kręcili się esesmani i własowcy i rabowali bagaże, odbierali zegarki, zrywali pierścionki, biżuterię, domagali się wydania pieniędzy. Strzały, krzyki, wymyślenia i bicie towarzyszyły wszystkim tym poczynaniom bezustannie. Pod samą bramą ustawiano zgromadzonych w czwórki lub trójki. Co chwila brama się otwierała i coraz to nową partię Polaków wpychano do wnętrza. Wprowadzonym kazano zazwyczaj podnieść ręce do góry.



SS-Gruppenführer Heinz Reinefarth, „kat Woli” (po lewej), wraz z żołnierzami 3. Pułku Kozaków na ul. Wolskiej.

Na obszernym podwórzu fabryki, po obu jego stronach, stały grupki esesmanów i własowców, tworząc jak gdyby szpaler prowadzący od bramy do miejsca straceń. W szpaler ten wpędzano mniejsze grupki, zazwyczaj pięć czwórek. Za każdą czwórką lub trójką szli żołnierze, strzelając z rewolweru lub karabinu w tył głowy idącym przed sobą Polakom.

egzekucję przerwano. Przez dłuższy jeszcze czas dochodziły z terenu fabryki odgłosy pojedynczych strzałów. To Niemcy i własowcy przy akompaniamencie śmiechów i wesółych piosenek dobijali tych, którzy dawali jeszcze słabe oznaki życia. Dnia następnego wpadali na teren fabryki esesmani z psami i sprawdzali, czy kto jeszcze żyje. Odgłosy pojedynczych strzałów świadczyły o znalezieniu rannych Polaków. Pod zwalami trupów ranni leżeli przez kilka dni, nim skonali lub wywlekli się z miejsca kaźni pod osłoną nocy i dotarli do punktów opatrunkowych. Na placu leżały trupy przez kilka dni i dopiero ok. 10 sierpnia zostały spalone. Według relacji świadków zginąć miało na terenie fabryki „Ursus” ok. 6 tys. osób.

Oto jak przedstawia przebieg egzekucji jedna z ofiar, której udało się uratować:

„Przed bramą fabryki czekaliśmy około godziny. Z podwórza fabryki słychać było strzały, błaganie i jęki. Do wnętrza fabryki Niemcy wpuszczali, a raczej wpychali przez bramę od ul. Wolskiej po sto osób. (...) Zostałam wprowadzona w ostatniej grupie. Na podwórku fabryki zobaczyłam zwąły trupów do wysokości jednego metra. Trupy leżały w kilku miejscach, po całej lewej i prawej

stronie pierwszego podwórza. Wśród trupów rozpoznałam zabitych sąsiadów i znajomych. Środkiem podwórza wprowadzono nas w głąb, do przejścia wąskiego na drugie podwórze. Tu »Ukraińcy« i żandarmi ustawili nas czwórkami. Mężczyźni szli z rękoma podniesionymi w górę. W grupie prowadzonej było ok. 20 osób, w tym dużo dzieci lat 10-12, często bez rodziców. (...) Gdy pierwsza czwórka dochodziła do miejsca, gdzie leżały trupy, strzelali Niemcy i »Ukraińcy« w kark od tyłu.

Zabici padali, podchodziła następna czwórka, by tak samo zginąć. (...) Ja byłam w ostatniej czwórce. Błagałam otaczających nas »Ukraińców«, by ratowali dzieci i mnie, któryś z nich zapytał, czy mogę się wykupić. Dałam mu trzy złote pierścienie. Zabrawszy to, chciał mnie wyprowadzić, jednak kierujący egzekucją Niemiec, oficer-żandarm, który to zauważył, nie pozwolił i kazał mnie dołączyć do grupy przeznaczonej na rozstrzelanie. (...)

Podeszłam więc w ostatniej czwórce razem z trójgiem dzieci do miejsca egzekucji, trzymając prawą ręką dwie rączki młodszych dzieci, lewą – rączkę starszego synka. Dzieci szły, płacząc i modląc się. Starszy, widząc zabitych, wołał, że i nas zabiją. W pewnym momencie »Ukraińiec« stojący za nami strzelił najstarszemu synkowi w tył głowy, następnie strzały ugodziły młodsze dzieci i mnie. Przewróciłam się na prawy bok. Strzał oddany do mnie nie był śmiertelny. Kula trafiła w kark z lewej strony i przeszła przez dolną część czaszki, wychodząc przez prawy policzek. Dostałam krwotok ciążowy.

Wrzuciłam kulkę i wypłułam kilka zębów. Czułam odrętwienie lewej części głowy i ciała. Byłam jednak przytomna i leżąc wśród trupów, widziałam prawie wszystko, co się działo dokoła. (...) W przerwach oprawcy chodzili po trupach, kopali, przewracali, dobijali żyjących, rabowali kosztowności. Ciała dotykali przez jakieś specjalne szmatki. Mnie samej zdjęto z ręki zegarek, nie zauważyli przy tym, że jeszcze żyję. W czasie tych okropnych czynności pili wódkę, śpiewali wesołe piosenki, śmiali się”. (...)

Ostatnią grupę materiałów stanowią protokoły ekshumacyjne działu grobownictwa PCK oraz dane dotyczące ekshumacji prochów, przeprowadzonych przez Miejski Zakład Pogrzebowy. Nie mogą one jednak dać pełnego obrazu strat w ludziach, jakie poniosła Wola w powstaniu warszawskim.

Akcja ekshumacji pogrzebanych nie jest jeszcze zakończona, lecz całkowite jej przeprowadzenie nie da odpowiedzi na kwestię ofiar. W zasadzie trupy zamordowanych były palone na potężnych stosach,

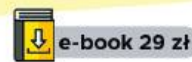
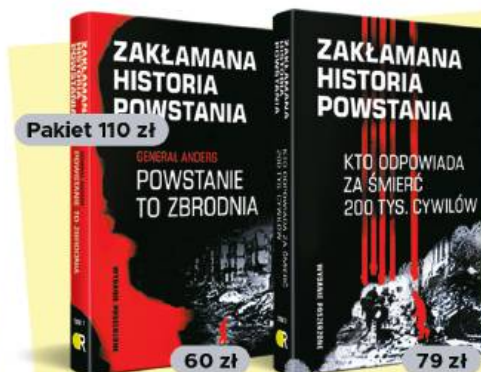
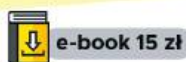
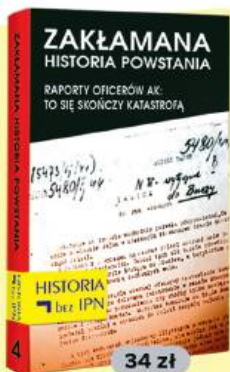
w czasie których dokładnie ważono prochy, dają nam konkretniejszą podstawę do wyciągnięcia pewnych liczb. Że liczby takie należy traktować mocno problematycznie, nie ulega chyba wątpliwości. Prochy leżały bowiem przez przeszło rok na otwartej przestrzeni, ulegając wpływow warunków atmosferycznych oraz poszukiwaniom różnego rodzaju poszukiwaczy złota czy kosztowności. Z prochami ciał ludzkich przemieszane są dalej prochy ubrań czy też materiału drzewnego, na którym niekiedy trupy palono. Niemniej, chcąc

Według relacji świadków na terenie fabryki „Ursus” miało zginąć ok. 6 tys. osób.

wrzucane do płonących domów, w nielicznych wypadkach grzebano ciała zabitych. Od lutego 1945 r. prochy te były zbierane i chowane. Przy sporządzaniu protokołów tych czynności, przy ocenianiu ewentualnej ilości spalonych ciał postępowano się takimi kryteriami jak „na oko” czy też „według informacji okolicznej ludności”, co uniemożliwia nam dziś wyciągnięcie z tych protokołów jakichś bliższych danych cyfrowych. Dopiero ekshumacje, przeprowadzane od jesieni 1945 r.,

w sposób najogólniejszy wykorzystano ten materiał, przyjęto za podstawę 2 kg prochu jako pozostałość po jednym trupie spalonym. Za podstawę do wysunięcia tej liczby wzięto dane dotyczące ilości prochu człowieka spalonego w krematorium, tj. 2,5 kg/2-3% wagi całego ciała. Obliczenie powyższe, ze względu na wymienione wyżej zastrzeżenia, nie służyły nigdzie do ustalenia liczby ofiar, ale używane było do sprawdzenia danych podawanych przez zeznania świadków. ■

Prawdziwa historia powstania warszawskiego BEZ FAŁSZERSTW, ZMYŚLEŃ I MITÓW



Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.



Narkomania w USA bezpośrednio napędza inną, typowo amerykańską epidemię bezdomności, San Francisco, 26 lutego 2024 r.

EPIDEMIA, KTÓRA TRWA

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Pod koniec lutego uwagę Amerykanów całkowicie pochłaniały wyrzut kontrowersyjnych dyrektyw i przyspieszająca reorganizacja amerykańskiej państwowości, fundowane narodowi przez świeżo zaprzysiężonego prezydenta Donalda Trumpa. Informacje na temat sytuacji w innych niż polityka obszarach amerykańskiego życia schodziły na dalszy plan, a czasem w ogóle nie przenikały do szerszej wiadomości publicznej.

Zaskakujący raport

Jedną z takich informacji był opublikowany 25 lutego doroczny raport federalnej agencji CDC (Centrum Kontroli Chorób) na temat epidemii uzależnień. Wieści były zaskakujące. W 2024 r. liczba zgonów z powodu przedawkowania narkotyków, w tym przede wszystkim z powodu

Kryzys narkomanii dotyczy dziś każdego zakątka Ameryki

największego obecnie zabójcy, fentanylu i jego pochodnych, zmniejszyła się o niebywale 24% w skali roku. Czegoś takiego zmagająca się od pół wieku z kryzysem narkomanii Ameryka jeszcze nie widziała.

Wymowny jest fakt, że wieści tych nie świętowano z przytupem nawet w samym środowisku medycznym. Jego uwaga w tym momencie całkowicie skupiona była na Waszyngtonie, a dokładnie na Kapitolu. Mimo wielu prób interwencji ze strony amerykańskich izb i związków lekarskich Senat zatwierdził właśnie kontrowersyjną nominację Roberta Francisa Kennedy'ego jr. (RFK) na nowego sekretarza zdrowia, a DOGE

wystartował z pierwszą rundą masowych zwolnień pracowników agencji federalnych i szokujących, bezprawnych cięć w ich budżetach. Obawy o to, czy kombinacja przywództwa ze strony antyszczepionkowca i promotora teorii spiskowych wraz z topniejącymi zasobami na wydatki zdrowotne nie wymażą z historii Ameryki dekad postępu osiągniętego przez medycynę, przyćmiły więc wszystko inne, w tym powody do radości w związku z raportem CDC.

Pół roku po publikacji raportu przeświadczenie, że zaniechanie toastów było reakcją jak najbardziej właściwą, tylko się pogłębiło. RFK, jak zresztą wielu innych szefów

resortów powołanych przez Trumpa, zdaje się robić wszystko, by udowodnić, że może i stanie się dla Ameryki jeszcze bardziej niebezpieczny, niż wydawało się to w momencie jego nominacji. Choć ze względu na własną przeszłość – sam przez kilkanaście lat był narkomanem – mogło się zdawać, że kryzys ten będzie mu szczególnie leżał na sercu, wygląda na to, że nie tylko nie wypowie narkomanii jakiegokolwiek merytorycznej wojny, lecz wręcz przyłożył już rękę do unicestwienia tej, która trwała i niosła zapowiedź sukcesów.

Narkomania a bezdomność

Ameryka z epidemią narkomanii boryka się od dekad. Świat jest o niej na bieżąco informowany przez lubujący się w temacie Hollywood, a turyści mogą łatwo jej się przyjrzeć z bliska – wystarczy, że przespacerują się po amerykańskich ulicach.

Narkomania w USA bezpośrednio bowiem napędza inną przypadłość, typowo amerykańską i wynikającą z braku adekwatnych w tej mierze rozwiązań, epidemię bezdomności. Wedle najnowszych szacunków badaczy z Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Francisco narkomanami jest obecnie niemal trzech na czterech bezdomnych (UCSF 2025). Handel i zażywanie narkotyków w biały dzień jest więc nieodłącznym atrybutem każdego namiotowego miasteczka, na które można się dziś natknąć dosłownie wszędzie – w centrach metropolii i na najgłębszej prowincji, w miejscach nawet takich jak Rock Springs w zachodniej części Wyoming, najstabilniej zaludnionego stanu w kraju. Powierzchnię wielkości czterech piątych Polski zamieszkuje tu tylko niecałe 600 tys. mieszkańców.

Dwa lata temu, przejeżdżając przez Rock Springs, natknęliśmy się przed supermarketem Walmart na parę Niemców skonfundowanych interakcją z grupką młodych, choć wyglądających na mocno steranych życiem ludzi. Prosilili ich o wsparcie finansowe na organizację wakacyjnej wyprawy pod namiot. Interweniowaliśmy i posłużyliśmy obcokrajowcom za tłumaczy, choć ich angielski był bezbędny. Być może nawet nie

zwrócili uwagi, że przy wjeździe do tego niewielkiego miasta, witał ich billboard przestrzegający przed zażywaniem fenantylu. Takie billboardy, fundowane przez lokalne władze, to dzisiaj część kodu kulturowego Ameryki. Informują, że epidemia uzależnienia od tego syntetycznego opioidu mocno daje się we znaki lokalnej społeczności, i oferują pomoc, wskazując na billboardach numery telefonów.

Opioidy przejęły pałeczkę

Zatrzymajmy się przy wątku opioidów, bo odciskają one na współczesnym krajobrazie narkomanii w USA piętno szczególne. Gdyby nie one, kto wie, czy Ameryka już dawno nie otrąbiłaby w tej wojnie sukcesu lub przynajmniej była na dobrej drodze do jej zakończenia.

Jako niezwykle skuteczne, „cudowne” remedium na silny ból opioidy pojawiły się w amerykańskich aptekach w połowie lat 90.

Bilboardy przestrzegające przed zażywaniem fenantylu, fundowane przez lokalne władze, to dzisiaj część kodu kulturowego Ameryki.

zeszłego wieku, wprowadzone przez koncern Purdue Pharma, rodzinny biznes rodu Sacklerów, którego niechlubną historię opisywałam kilka lat temu („Rodzina, która wywołała epidemię”, „Przeгляд” 41/2021). Moment debiutu ich flagowego produktu o nazwie OxyContin nie był przypadkowy.

W latach 70. i 80. XX w. rynek ubezpieczeń medycznych w USA mocno się skonsolidował i wyznaczył nowe cele. Miejsce pomniejszych, lokalnych ubezpieczycieli zajęli giganci działający jako tzw. HMOs (*Health Maintenance Organizations*), którzy uznali, że priorytetem będzie redukcja kosztów opieki zdrowotnej, w tym poprzez ograniczenie liczby pacjentów leczonych szpitalnie oraz w gabinetach specjalistów. Doprowadziło to do wykształcenia takiego modelu opieki zdrowotnej, w którym większość dolegliwości pacjenta rozwiązuje stosunkowo tani lekarz

rodzinny, dokonując tego poprzez przepisanie odpowiedniej tabletki.

Jak wyjaśnił w rozmowie Lloyd Sederer, były szef stanowego Resortu Zdrowia Psychicznego w stanie Nowy Jork: – Większość pacjentów przychodzi do lekarza, bo skarży się na ból. Najszybciej i najtaniej jest usunąć symptom, czyli tego bólu się pozbyć. Powstrzymuję się od twierdzenia, że amerykańscy lekarze zaczęli być w pewnym momencie historii zachęcani do tego, by „leczyć” za pomocą środków przeciwbólowych, ale z przykrością stwierdzam, że taka praktyka ma w naszym dzisiejszym życiu miejsce, i to na szeroką skalę.

Purdue Pharma przez kilkanaście lat zbijała fortunę, sprzedając lekarzom i pacjentom narrację o tym, że oxycontin nie uzależnia i jest całkowicie bezpieczny, choć prawda była dokładnie odwrotna. Gdy w 2007 r. w sądzie wylądował pierwszy pozew przeciwko firmie o oszustwa marketingowe, było już za późno. Epidemia uzależnienia od opioidów

rozlała się szeroką falą po całym kraju i była nie do zatrzymania. Jej dodatkowym skutkiem ubocznym stał się też ponowny wzrost „narkomanii tradycyjnej”. Tracąc dostęp do recepty, osoby uzależnione masowo zaczęły bowiem zwracać się ku heroinie i kokainie, a od ponad dekady również ku zabójczemu fentanylowi. Produktowi, na którym południowoamerykańskie narkokartele, we współpracy ze światową siecią producentów tej substancji, robią dziś w USA największe pieniądze.

Jak podaje National Institute on Drug Abuse (NIDA), uzależniony staje się nawet co piąty pacjent leczony opioidami, a wśród dzisiejszych heroinistów aż 80% to ludzie, którzy „przygodę” z dragami zaczęli właśnie od oxycontin. Opioidowe fundamenty obecnej odłony kryzysu narkomanii w USA dają jednocześnie wyjaśnienie, dlaczego problem dotyczy dziś absolutnie ▶

► każdego zakątka Ameryki – zarówno jej białej, zamożniejszej części z wypielęgnowanych przedmieść, jak i kolorowych *inner cities* i zlatynizowanego Południa. Stany, w których liczba śmierci z przedawkowania jest najwyższa i przekracza 50 osób na każde 100 tys. mieszkańców, to prowincjonalne: Wirginia Zachodnia, Luizjana, Kentucky, Tennessee i Delaware.

W celu zobrazowania skali problemu warto przytoczyć najnowsze statystyki. Przede wszystkim Ameryka pozostaje światowym liderem, jeśli chodzi o skalę uzależnienia od szkodliwych substancji. Na tzw. SUD, czyli syndrom uzależnienia (*substance use disorder*) cierpi aż 17,1% społeczeństwa (48,5 mln osób) w wieku powyżej 12 lat, z czego u 27,2 mln to uzależnienie od narkotyków, a u 8,9 mln – od opioidów (NIDA, 2023). Problem niebezpiecznie eskalował po 2019 r., w latach pandemii. W okresie między 2020 a 2023 r. śmierć z przedawkowania, w większości fentanylu, poniosło w USA ponad 420 tys. osób. W 2023 r. padł rekord – 114 tys. tego rodzaju śmierci – i był to 50-procentowy wzrost w porównaniu z rokiem 2019 (CDC, 2024). Wreszcie, o czym również informują raporty CDC, „złoty strzał” pozostaje wiodącą przyczyną śmierci wśród Amerykanów w wieku 18-44 lat.

Interwencje, które zadziały

Przyglądając się tym danym, łatwiej zrozumieć dlaczego informacja o tym, że w 2024 r. z przedawkowania zmarło „tylko” 87 tys. Amerykanów, mogła ucieszyć, a w innych okolicznościach politycznych nawet stać się uzasadnioną medyczną sensacją roku. Tym bardziej że lekarze i badacze nie mają wątpliwości, że za ten spadek odpowiadają wprowadzone w życie konkretne inicjatywy i programy interwencyjne.

– Przede wszystkim poszerzenie dostępu do leku Narcan, który odwraca działanie opioidów – wyjaśnia Miriam Delphin-Rittmon, była wice-sekretarz federalnej agencji SAMHSA (Substance Abuse and Mental Health Services Administration), zajmującej się m.in. dystrybuowaniem rządowych grantów wśród instytucji

i ośrodków dostarczających pomoc narkomanom w kryzysie.

Zmiany stały się możliwe dzięki dwóm decyzjom. Pierwszą było zasadnicze zwiększenie przez administrację Bidena środków na walkę z narkomanią. Biden przeznaczył na ten cel 167,2 mld dol. do wydania w latach 2020-2024 – ponad 30 mld więcej niż poprzednie administracje. Budżet ten umożliwił całkowitą refundację narcanu, a także zainicjowanie programu szczegółowego monitoringu epidemii w całym kraju i szeroką dystrybucję wspomnianych grantów z agencji SAMHSA.

Drugą było usunięcie w 2023 r. narcanu z listy leków na receptę, przez co ośrodki pomocy i osoby indywidualne mogły do niego dotrzeć szybciej i łatwiej, a ośrodki pomocy

W 2024 r. z przedawkowania zmarło „tylko” 87 tys. Amerykanów.

mogły w końcu się organizować również na głębokiej prowincji. Rzeczą absolutnie kluczową, gdyż na amerykańskiej prowincji, tragicznie pozabawionej komunikacji publicznej, odległość od szpitala bardzo często bywa dla osób w kryzysie barierą nie do pokonania.

O tym, jak ważny z kolei okazał się program monitoringu epidemii i możliwości alokowania funduszy oraz zasobów adekwatnie do specyficznych potrzeb lokalnych społeczności świadczy fakt, że w Zachodniej Wirginii śmiertelność z przedawkowania spadła w 2024 r. aż o 40-50%. Ekspert ds. zdrowia psychicznego z Uniwersytetu Centralnego Missouri, Adriatik Likcani, stwierdził, że modus operandi administracji Bidena był „jak tódż ratunkowa” („How cuts to the nation’s main health agency could impact Americans”, NPR, 1 czerwca 2025 r.).

Niszczycielska ręka Trumpa i RFK

A jakie kroki podjął w związku z kryzysem narkomanii RFK? Człowiek, który szumnie zapowiadał, że wchodzi do rządu z misją „uczynienia Ameryki zdrowszą” – „Make America Healthy Again”. Człowiek, który o uzależnieniach i ich diabolicznej

sile niszczenia ludzkiego życia i tkanki społecznej powinien wiedzieć dużo więcej niż statystyczny zjadacz chleba. Który w kwietniu 2025 r., na konferencji dotyczącej epidemii uzależnień w Nashville w stanie Tennessee, z przejściem przekonywał audytorium: „Narkomania to źródło nieszczęść. To także symptom nieszczęścia”.

Odpowiedź brzmi: nie zrobił nic, a nawet udało mu się już zniszczyć część tego, co działało. Dokonał tego, likwidując już w pierwszych tygodniach urzędowania istniejącą od ponad 30 lat agencję SAMHSA, choć woli mówić, że jej wcielenie w nowe, powołane przez niego do życia ciało administracyjne o nazwie AHA (Administration for a Healthy America) niczego nie zmienia. Fakty jednak

mówią co innego. Wypowiedzenie dostał już co dziesiąty były pracownik SAMHSA, a zważywszy na to, że Sąd Najwyższy zezwolił Trumpowi na masowe trzebienie kadry federalnej (orzeczenie z 8 lipca 2025 r.), zwolnień na pewno będzie więcej.

Rzecz druga: w ostatnim roku rządów Bidena SAMHSA dysponowała budżetem wartym 7,5 mld dol. AHA, która ma się zajmować administracją i koordynacją wszystkich rządowych programów medycznych, ma łączny, proponowany obecnie budżet w wysokości 19 mld dol. Gdy cięcia wydatków na zdrowie zawarte w przegłosowanej 4 lipca ustawie budżetowej Trumpa „One Big Beautiful Bill” (OB BB) zaczną wchodzić w życie, może się okazać, że 19 mld też było szacunkiem zawyżonym.

Wreszcie sprawa, za którą RFK nie odpowiada osobiście, ale odpowiada jako szef resortu zdrowia: los federalnej ubezpieczalni Medicaid, obsługującej w USA grupę ludzi najuboższych i niektórych osób z niepełnosprawnościami. RFK, mimo nacisku ze strony lekarzy, a i samych wyborców, nie zrobił nic, by przeciwstawić się planom drakońskiej reorganizacji, a w niektórych obszarach także demontażu tej federalnej ubezpieczalni,

które na nią spadną za sprawą OBBB. Ustawa wprowadza duże obostrzenia w dostępie do Medicaid – w tym wymóg zatrudnienia dla osób niepełnosprawnych. Jednocześnie drastycznie obniża budżet operacyjny programu, tym samym przesuując odpowiedzialność za jego finansowanie na barki władz lokalnych. Mówimy o cięciach rzędu biliona dolarów przez najbliższą dekadę, czyli 100 mld dol. rocznie – sum, o których z góry wiadomo, że są zbyt wysokie, by poszczególne stany zdołały wygenerować w swoich budżetach ich równowartość.

– Kolorado straci od 500 mln do 1 mld dol. federalnych pieniędzy na działanie Medicaid. Podniesienie podatków do poziomu, na jaki zgodziliby się mieszkańcy stanu, nie wystarczy. Rzesze ludzi stracą więc ubezpieczenie, pod nóż pójdą też rozmaite programy pomocy, i to dla grup najbardziej potrzebujących, jak dzieci, seniorzy i narkomani – mówi Robert Preuhs, szef wydziału nauk politycznych z Metropolitan University w Denver.

Zbędni, wyrzuceni za nawias

W lipcu, kilka dni po podpisaniu przez Trumpa OBBB, redakcja branżowego magazynu „Health Affairs” tak zdiagnozowała przyszłość walki o zdrowie Amerykanów, w tym dostęp do odwyku i leczenia dla osób uzależnionych: „Prezydencka komisja »Make America Healthy Again« (MAHA) została powołana po to, by

osób, którym można pomóc metodą długofalowych zmian systemowych, kosztem tych, których można uratować jedynie poprzez krótkoterminowe interwencje. Tym samym to traktowanie osób ponoszących najcięższe konsekwencje uzależnień jako zbędnych społecznie. (...) Takie podejście może prowadzić do katastrofalnych skutków dla grup społecznych dotkniętych tą epidemią”

Epidemia uzależnienia od opioidów rozlała się po całym kraju i była nie do zatrzymania.

z badać i znaleźć rozwiązania narastających kryzysów zdrowotnych w Stanach Zjednoczonych. Cięcia w programie Narcan wpisują się w szerszy schemat depriorytetyzacji interwencji, nie zawierają niestety żadnych konkretnych informacji o tym, jak mają wyglądać jakiegokolwiek działania naprawcze (...). To zasadniczo błędne rozumienie priorytetów. Strategia faworyzująca alokację środków zdrowia publicznego na ochronę

(Proposed Budget Cuts To Narcan Programs Dangerously Misunderstand Public Health Aims, „Health Affairs”, lipiec 2025).

Tego, co przyniesie przyszłoroczny raport CDC na temat śmiertelnego żniwa, jakie narkomania zbiera w Ameryce, nie przewidzimy. Trudno jednak w tym momencie żywić nadzieję, że będzie powód do świętowania.

Eliza Sarnacka-Mahoney



W bieżącym numerze także:

- ▶ Rémy Carayol
Senegal na drodze do transformacji
- ▶ Hashim Bin Rashid
Kaszmir czeka na następny raz
- ▶ Vincent Ortiz
Ekwador wraca na drogę zależności
- ▶ Didier Ortolland
Amerykański kanał pod amerykańską kontrolą
- ▶ George Monbiot, Peter Hutchison
„Czynsz” i inne niejasności

Do nabycia w salonach prasowych empiku
Roczna prenumerata (6 numerów): 92 zł
Konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000
Santander Bank Polska
Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa”
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl
www.monde-diplomatique.pl

PORTUGALIA

zaostrza przepisy imigracyjne

Premier Luís Montenegro zapowiada kres polityki otwartych drzwi

Tomasz Skowronek

W całej Unii Europejskiej docho- dzi do głosu skrajna prawica, napę- dzana lękiem przed nielegalną imi- gracją. Te nastroje dotarły także do Portugalii, która jeszcze parę lat temu uchodziła za kraj najbardziej otwar- ty na imigrantów. Centroprawicowy premier Luís Montenegro właśnie złożył w parlamencie propozycję, aby ograniczyć możliwości uzyskania portugalskiego obywatelstwa.

700 tys. osób czeka na obywatelstwo

Niedziela, 29 czerwca. Wieczo- rem dziesiątki osób przygotowują się do spędzenia nocy przed Cen- tralnym Urzędem Stanu Cywilnego w Lizbonie.

Niektóre kobiety leżą z dziećmi na materacach, pod ręką mają niewielkie ilości jedzenia. Większość pochodzi z byłych kolonii Portugalii, takich jak Angola, Republika Zielonego Przy- lądka, Gwinea, Mozambik i Brazylia, choć są też przybysze z Azji Połu- dniowej. Ich cel to zdobycie cennego biletu (każdego dnia jest ich rozdawa- nych 25), umożliwiającego uzyskanie obywatelstwa portugalskiego.

W ostatnich dniach patrole po- licyjne zostały wzmocnione w celu poradzenia sobie z „chaosem” kole- jek, które się wydłużyły, gdy rząd ogłosił zamiar zaostżenia przepisów imigracyjnych. Jest ich tak wiele, że nawet sporządzono listę.

Zainteresowanie jest ogromne: nawet przed wprowadzeniem prze- pisów zaproponowanych przez rząd

wydawanie wniosków o obywatel- stwo już było opóźnione. W zeszłym roku na rozpatrzenie oczekiwało ok. 420 tys. wniosków. W tym, a jest dopiero połowa roku, jest ich już 700 tys.

Propozycja, która zostanie podda- na debacie i głosowaniu w Zgroma- dzeniu Republiki, przewiduje wydłu- żenie minimalnego okresu legalnego pobytu potrzebnego do naturalizacji z pięciu do 10 lat, z wyjątkiem oby- wateli Wspólnoty Państw Portugal- skojęzycznych (CPLP), dla których proponuje się wymóg siedmiu lat. Ta zmiana oddala Portugalie od śred- niej europejskiej, która waha się mię- dzy pięcioma a siedzioma latami. Na przykład Francja, Belgia, Finlandia, Irlandia i Szwecja utrzymują mi- nimalny wymóg wynoszący pięć lat, podczas gdy Niemcy, po niedawnej reformie, zezwalają na naturalizację po pięciu lub nawet trzech latach,

Obecnie liczba cudzoziemców w Portugalii przekracza 1,6 mln – to ok. 15% całkowitej populacji.

jeśli istnieją mocne dowody integra- cji. Hiszpania wymaga 10 lat, chociaż okres ten jest skrócony do dwóch w przypadku obywateli krajów Ame- ryki Łacińskiej.

„Obywatelstwo portugalskie sta- je się jednym z najtrudniejszych do uzyskania w Europie”, komentuje po- myśl rządu tygodnik „Sol”. W wywia- dzie dla serwisu Invest News praw- nik i profesor prawa imigracyjnego Wilson Bicalho zaleca pilne działa- nia tym, którzy zamierzają się ubie- gać o obywatelstwo portugalskie

ze względu na pochodzenie. „Ko- nieczne jest zebranie dokumentacji tak szybko, jak to możliwe, należy zwrócić szczególną uwagę na linię sukcesji, apostyle (poświadczenie dokumentu, które umożliwia je- go użycie za granicą) i spójność danych”, radzi specjalista.

1,6 mln imigrantów

Zaostrzenie przepisów jest reakcją na znaczny wzrost populacji cudzo- ziemców w Portugalii. W ciągu ostat- niego siedmiu lat doszło do jednego z największych wstrząsów demogra- ficznych w historii kraju. Obecnie lic- ba cudzoziemców przekracza 1,6 mln – to ok. 15% całkowitej populacji. Jak wskazują dane portugalskiej Agencji ds. Integracji, Migracji i Azy- lu, od 2019 r. liczba ta potroiła się. Dla porównania w 2017 r. było nieco ponad 400 tys. imigrantów.

Największa społeczność obcokra- jowców w kraju to Brazylijczycy – li- czy ona nieco ponad 500 tys. Jednak wciąż liczba Brazylijczyków, którzy starają się o legalizację swoich do- kumentów, aby w Portugalii miesza- kać na stałe, jest znacząca. Według danych portugalskiego rządu do czerwca 2025 r. przeanalizowano 73 tys. wniosków o pobyt złożonych przez Brazylijczyków – ok. 68 tys. zostało zatwierdzonych. 5368 wni- sków odrzucono, a składający je otrzymali nakaz opuszczenia kraju.



Imigranci w centrum Lizbony, 12 stycznia 2025 r.

„Oznacza to, że wielu imigrantów, którzy już mieszkają w Portugalii i przyczyniają się do jej rozwoju, będzie musiało rozpocząć odliczanie od nowa, od momentu, w którym faktycznie otrzymali zgodę. W przypadku osób, które już rozpoczęły proces składania wniosku i złożyły go przed 19 czerwca 2025 r., będą miały zastosowanie poprzednie przepisy. Jednak w przypadku osób, które jeszcze nie sformalizowały wniosku, zastosowanie będą miały – jeśli zostaną zatwierdzone – już nowe przepisy, nawet jeśli dana osoba mieszka w kraju od lat. Taka sytuacja może powodować niepewność prawną i frustrację u osób, które już uważały się za zintegrowane z portugalskim społeczeństwem”, wyjaśnia Bicalho.

Ustawa proponowana przez rząd w Lizbonie nie tylko wydłuża czas oczekiwania na obywatelstwo. Każdy, kto chce zostać obywatelem, musi teraz zdać test z języka portugalskiego oraz z portugalskiego prawa i wiedzy o społeczeństwie.

Dzieci zagranicznych rodziców urodzone w Portugalii nie będą już automatycznie otrzymywać obywatelstwa. Przynajmniej jedno z rodziców musi legalnie mieszkać w kraju przez trzy lata przed narodzinami dziecka. Obywatelstwa nie otrzyma także osoba odnotowana w kartotece kryminalnej za poważne przestępstwa. Rząd może również odebrać obywatelstwo osobom, które popełniły poważne przestępstwa w ciągu 10 lat od uzyskania obywatelstwa.

Zasady uzyskania obywatelstwa z racji portugalskich przodków są również bardziej rygorystyczne. Mogą się o nie ubiegać tylko prawnukowie lub osoby bliższe. Rząd wycofał się także ze specjalnego programu dla osób o sefardyjskim pochodzeniu żydowskim. Trudniejsze będzie sprowadzenie członków rodziny do Portugalii. Zanim imigranci rozpoczną taki proces, muszą mieszkać w Portugalii przez dwa lata. Kolejna zasada: tylko dzieci mogą aplikować o obywatelstwo z Portugalii;

wszyscy inni muszą aplikować spoza kraju. Imigranci muszą też wykazać, że mają wystarczająco dużo pieniędzy i mają gdzie mieszkać.

Portugalia utworzyła także nową jednostkę policji, która ma sprawdzać przestrzeganie tych zasad i kontrolować granice kraju. Zmiany te oznaczają, że zarówno osoby prywatne, jak i przedsiębiorcy muszą ostrożnie planować przeprowadzkę do Portugalii i z dużą starannością zatrudnić pracowników z zagranicy.

Ratują emerytury, a rząd zamyka drzwi

Portugalia od lat uchodziła za najbardziej otwarty w Europie kraj dla emigrantów. Sami Portugalczycy masowo emigrują. Szacuje się, że co piąty obywatel tego kraju przebywa na emigracji. Ogromny exodus młodych ludzi spowodował, że w samej Portugalii brakowało rąk do pracy. I to nie tylko wykwalifikowanych specjalistów, ale także ludzi wykonujących mniej wymagające prace: ▶

► w hotelach, restauracjach czy w rolnictwie i budownictwie.

Dziennik „Público” przedstawił dane rządowe, wskazujące jak imigranci przyczyniają się do poprawy gospodarki kraju. W raporcie napisano: „Rząd informuje o czterokrotnym wzroście liczby imigrantów wpłacających składki na ubezpieczenia społeczne: z 244 773 do 1 036 290. Oprócz wsparcia systemu emerytalnego wzrost ten spowodował

klimat polityczny w ostatnim czasie się zmienił. Codziennie pojawiają się wiadomości o atakach, mowie nienawiści i skrajnie prawicowych ruchach. 10 czerwca członek domniemanej grupy neonazistowskiej zaatakował aktora przed teatrem w Lizbonie. Kilka godzin później w Porto dwóch mężczyzn zaatakowało wolontariuszy, którzy pomagali bezdomnym cudzoziemcom. Podejrzani mieli wykonać nazistowski salut.

stały wzrost poparcia, a w zeszłorocznych wyborach awansowała na trzecie miejsce. Przetom ten zakończył wyjątkowy status Portugalii na mapie Europy jako jednego z niewielu krajów (obok Irlandii i Malty) bez radykalnej partii prawicowej.

Przed wyborami parlamentarnymi także premier Montenegro zajął stanowcze stanowisko w sprawie imigrantów – ogłosił, że ok. 18 tys. osób przebywających nielegalnie na terenie Portugalii otrzyma nakaz opuszczenia kraju.

Rząd mówi o humanizacji imigracji, ale tak naprawdę chodzi o ograniczenie napływu cudzoziemców. Montenegro stawia na to, by pakiet antyimigracyjny został zatwierdzony do końca lipca. „Potrzebujemy w Portugalii ludzi chętnych pomóc nam w budowaniu sprawiedliwszego i bardziej dostatniego społeczeństwa”, powiedział. „Ale nie możemy popaść w drugą skrajność i wciąż trzymać szeroko otwartych drzwi”, stwierdził, uzasadniając decyzję.

Tomasz Skowronek

Niemal 18 tys. osób przebywających nielegalnie na terenie Portugalii otrzyma nakaz opuszczenia kraju.

również wyższe wydatki. Liczba zagranicznych uczniów w szkołach podstawowych wzrosła z 42 129 do 172 279. W sektorze opieki zdrowotnej liczba pacjentów podwoiła się z 405 385 do 944 143. Całkowita liczba konsultacji udzielonych przez osoby niebędące obywatelami wzrosła z 326 439 do 1 408 683”.

Przez długi czas Portugalczycy ciepło przyjmowali imigrantów, ale

Wzrost znaczenia skrajnej prawicy odnotowuje się również na płaszczyźnie politycznej. W wyniku ostatnich wyborów parlamentarnych, które odbyły się 18 maja, skrajnie prawicowa partia Chega stała się drugą siłą polityczną w parlamencie, wyprzedzając historyczną Partię Socjalistyczną. Wrogość wobec imigracji i Romów to hasła przewodnie tej partii. Od 2022 r. Chega notuje

**DOMOWE ZASADY
EKRAŃOWE**

**DLA DOBRA DZIECKA
I CAŁEJ RODZINY**

FUNDACJA DOKUMENTACJA I SZKOLENIE

Dofinansowane przez Unię Europejską

saferinternet.pl

Partner strategiczny
Fundacja

Okno w oko



Tomasz Jastrun

Czekanie na barbarzyńców

Wiadomość o śmierci sędziwej Urszuli Kozioł. Znałem ją, można powiedzieć, od dziecka. Odwiedzała na lwickiej rodziców ze swoim Felkiem. W dzienniku w roku 1969 zapisałem: „Odwiedziła nas młoda poetka Urszula Kozioł”. Najdziwniejsze z nią spotkanie bodaj w roku 1988. Pojechałem małym fiatem z moim niedorostłym synkiem do Paryża. Co za odwaga! Wspięliśmy się na wzgórze Montmartre, na którym stoi bazylika Sacré-Cœur. I przed świątynią spotkaliśmy Urszulę Kozioł, przyjechała z wycieczką autokarową. Jakies 20 lat temu odwiedziłem ją w jej małym wrocławskim mieszkanku. Siedziała w fotelu, za nią piętrzyła się góra książek. To wszystko groziło katastrofą. „Pan widzi, co się dzieje z książkami”, powiedziała zrezygnowana. W mojej „Trąbie powietrznej” jest opowiadanie inspirowane tym spotkaniem, poetkę zabija lawina książek, które nagle się osunęły. Miałem z nią stały kontakt telefoniczny, drukowałem w „Odrze” wiersze i opowiadania, była tam redaktorką. Teraz wszędzie piszą, że odeszła „wybitna poetka”, ja bym napisał po prostu: dobra poetka.

Poruszająca rozmowa w TVP Info z Moniką Braun, siostrą Grzegorza Brauna. Inteligentna, wrażliwa, o liberalnych poglądach, przerażona i zgorziona bratem. Kolejny dowód na to, że chociaż wychowanie bywa bardzo ważne, geny czasami szaleją. Siostra Hitlera, gdyby taką miał, mogłaby być porządną osobą, a prawie na pewno nie miałyby zbrodniczych skłonności. Zaraz potem rozmowa z Jarosławem Kurskim, szefem „Gazety Wyborczej”, bratem Jacka Kurskiego – taki sam przypadek. Jarosław – mądry i szlachetny, Jacek – odrażający cynik i łajdak. W obu przypadkach to wszystko wypisane jest na twarzy. Robert Bąkiewicz, przyszły poseł PiS, znakomicie mógłby grać zwyrodnialców w filmach grozy.

Jak w słynnym wierszu Kawafisa – zaczęliśmy czekać na przyście barbarzyńców, mogą się zjawić w każdej chwili, ale najbardziej prawdopodobne, że przyjdą za dwa lata. Uderza nasza bezradność i bierność, jakbyśmy z tym się pogodzili.

Wielkie i powszechne wyrzekanie na koalicję i Tuska – słuszne, ale przesadne. W tym wytykaniu porażek rządu zapomina się, że Polska dynamicznie rozwija się ekonomicznie, jak gdyby to nie było ważne. I jakby trudną do zarządzania spuścizną nie były zbiorniki ksenofobii i głupoty napelnione u nas przez fatalne stulecia. Dotyczy to głównie dawnej Polski pańszczyźnianej, bo przecież miała zdecydowanie głosować na opcję liberalną.

Nasza prawica gra na tym, co w Polakach, w ogóle w ludziach, najgorsze i najgłupsze, również na głębinowych lękach przed obcymi i przed nowym. Czytam: „Zamieszanie w Wałbrzychu wybuchło w poniedziałek 14 lipca, gdy pojawiła się informacja, że cudzoziemiec miał filmować dzieci na placu zabaw. Zanim na miejsce dotarli funkcjonariusze, ojciec jednego z maluchów uderzył mężczyznę w twarz. Na miejsce natychmiast wysłano patrol, który wylegitymował osobę opisaną w zgłoszeniu, która dobrowolnie udostępniła funkcjonariuszom swój telefon. Mundurowi sprawdzili jego zawartość pod kątem niepokojących nagrań i zdjęć – nic takiego nie ujawnili na urządzeniu mężczyzny”, informuje portal. Policjanci ustalili, że 40-letni Paragwajczyk przebywa w Polsce legalnie i jest zatrudniony w miejscowej firmie. Mimo to nastroje nie ostygły

Nasza prawica gra na tym, co w Polakach najgorsze i najgłupsze.

i jeszcze tego samego dnia mężczyzna został zaatakowany, a tłum osiłków ruszył na hotel robotniczy, gdzie nieszczęśnik mieszkał. To zupełnie jak z pogłoską w Kielcach, że zaginął siedmioletni chłopiec, porwany przez Żydów na mord rytualny. I stał się pogrom kielecki: zabijano kobiety i dzieci, mordowano cudem ocalałych z Holocaustu. A chłopiec jak gdyby nigdy nic wrócił do domu.

Braun wierzy w takie mordy rytualne na macę. Mówi, że nie było komór gazowych, za to mordy rytualne – tak. Nawet prezes krytykuje Brauna za jego niewiarę w Holocaust. Poucza, że antysemityzm jest szkodliwy politycznie, bo Trump, chociaż nie jest Żydem, ma Żydów w rodzinie. Co za idiotyczna argumentacja, jakby ta cała sprawa nie miała wymiaru moralnego. Prezes zamiast sumienia ma kij od miotyły.

Jak wynika z najnowszego badania opinii publicznej, przeprowadzonego przez pracownię Opinia24, ponad połowa Polaków ma pozytywne zdanie na temat „obywatelskich patroli” na granicy polsko-niemieckiej zainicjowanych przez ruch Roberta Bąkiewicza. To znak, że prawicowa propaganda odnosi sukcesy, rośnie lęk przed obcymi, a Polacy nie ufają Straży Granicznej, czyli państwu, i nie przeszkadza im, że na ogół członkowie tych „obywatelskich patroli” to elita gangów kibolskich: przestępcy, kołki i osły. A cała sprawa nie ma sensu i jest polityczna hucpą. Ludzie z pogranicznych terenów nie widzą żadnych uchodźców i boją się, że to szcucie popsuje im interesy. ■

Powrót do Europy

Nigdy dotąd nasza pozycja w rankingu ligowym UEFA nie była tak wysoka

Wojciech Kuczok

Ekstraklasa rośnie w siłę. W ciągu pierwszych trzech tygodni okienka transferowego nasze kluby wydały na transfery więcej niż w całym ubiegłym – rekordowym pod tym względem – sezonie. Zbroją się wszyscy, nie tylko czołówka, także ligowi średniacy ściągnają piłkarzy z coraz poważniejszym CV, a nawet trenerów z ligowego TOP 5 (Luka Elsner przejął Cracovię po trzech sezonach spę-

narodowej twierdzy, że awans do pucharów to pocatunek śmierci, bo to skraca wakacje, demoluje plan przygotowań przed sezonem, kluby zaliczają letni falstart i nic z tego nie mają poza spadkiem morale. A jeśli jakimś cudem przebrną dalej, to zaliczają katastrofalny sezon, bo Polaków nie stać kadrowo na grę równocześnie w lidze i w Europie. Zatem, wedle złotej polskiej myśli szkoleniowej spod znaku młócki i paździerzka, olewamy puchary i „skupiamy się na lidze”. Nie ma co się pchać na salony,

zwycięstw i jeden remis przy więcej niż przyzwoitym stosunku bramek 16-3. Tym samym wspieiliśmy się już na 13. miejsce w rankingu UEFA, co – gdyby je utrzymać – sprawi, że za dwa lata mistrz Polski rozpocznie eliminacje do Champions League w ostatniej rundzie, a w razie niepowodzenia będzie miał zagwarantowany start w Lidze Europy.

Na razie jest po staremu, czyli nasz majster musi się przedzierać przez rywali już od rundy drugiej, ale przejście choć jednego z przeciwników gwarantuje w najgorszym razie jesień w Lidze Konferencji.

Przed meczem Lecha Poznań z mistrzem Islandii nie byliśmy wolni od niepokojów, chociażby za sprawą żywego wciąż w pamięci kibiców Kolejorza niesławnego dwumeczu w 2014 r. z islandzkim Stjarnanem, kiedy Lechici w eliminacjach Ligi Europy przegrali na wyspie wulkanów, a w rewanżu nie byli w stanie odrobić nawet minimalnej straty. Dodatkowo napawała trwogą fatalna inauguracja sezonu w Poznaniu, bo zarówno w przegranym 1:2 meczu o superpuchar z Legią, zwłaszcza zaś w pierwszej kolejce przeciw Cracovii, Lechici zaprezentowali się bardzo kiepsko. Ktoś jeszcze straszył, że Islandczycy tydzień wcześniej pokonali mistrza Albanii 5:0 i u siebie, na sztucznej murawie, potrafili być bardzo groźni. Na szczęście to nie miało znaczenia; Lech rozjechał Breiðablik w rekordowych rozmiarach 7:1 (najwyższa wygrana w historii występów w europejskich pucharach).

Mistrz Polski uczynił swą powinność – klubowa Islandia to wciąż piłkarska egzotyka, mecz przebiegał dokładnie tak, jak powinien, jeśli wziąć pod uwagę budżet klubu i wartość zawodników, Lech pożarł rywali bez popitki i zorganizował sobie jesień w jednej z lig europejskich w ciągu

Sukcesy Legii i Jagiellonii sprawiły, że polskie kluby przestały o europejskich pucharach „myśleć Probiezmem”.

dzonych w Le Havre i Stade Reims). Kibole Legii wiedzeni dziecinną ządzością i odwiecznym przerostem ambicji urządzili wręcz bojkot swojej drużyny – „Zyleta” opustoszała na znak protestu przeciw zbyt skromnym zakupom w stosunku do rywali.

W pierwszej kolejce ligowi potentaci zostali okrutnie potraktowani przez przeciwników – Jagiellonię sprawą na kwaśne jabłko beniaminek ze wsi Nieciecza (0:4), Lecha boleśnie obita Cracovia (1:4), a Pogoń została znokautowana przez Radomiaka (5:1). Nie widzę w tym przypadku, lecz zapowiedź najbardziej wyrównanego sezonu od niepamiętnych czasów. Legiocentryczna teoria o tym, że aby mieć silną ekipę w Europie, jeden klub musi być w kraju bezkonkurencyjny, zupełnie się nie sprawdza – nigdy dotąd nasza pozycja w rankingu ligowym UEFA nie była tak wysoka. Sukcesy Legii i Jagiellonii (ćwierćfinały Ligi Konferencji w zeszłym sezonie) sprawiły, że polskie kluby przestały o europejskich pucharach „myśleć Probiezmem”. Szczęśliwie były już selekcjoner naszej kadry

w ekstraklasie człowiek się nie namęczy, a przynajmniej dobrze zarobi.

Teraz, gdy UEFA uszyła Ligę Konferencji na naszą miarę, nagle okazuje się, że można wojować w Europie skutecznie, a i zarobić znacznie lepiej niż na rodzimych murawach. Oto więc nasze zespoły wykazują zaangażowanie wystarczające do uniknięcia wstydliwych potknięć, a i z lepszymi od siebie radzą sobie niezgorzej. Choć trzeba uczciwie przyznać, że kłątwa Probiezma dotknęła w ubiegłym sezonie połowę naszej klubowej reprezentacji – Śląsk Wrocław nic w Europie nie zwojował, a i tak nie wygrzebał się z falstartu i spadł z ekstraklasy, Wista Kraków zaś dzielnie dotrwała do czwartej rundy eliminacji, punktów rankingowych nam nazbierała, ale do ekstraklasy trzeci sezon z rzędu nie udało jej się wrócić.

Należy zatem dodać zastrzeżenie: puchary są dobre dla najbogatszych – i w tym sezonie szczęśliwie reprezentują nas czołowi ligowcy z budżetami na europejskim poziomie. W efekcie na sześć rozegranych dotąd spotkań Polacy odnieśli pięć

Cracovia w I kolejce PKO BP Ekstraklasy pokonała Lecha Poznań aż 4:1. Trener Luka Elsner podkreślił, że zespół nie zamierza spocząć na laurach. 18 lipca 2025 r.



pierwszych 45 minut. Tak właśnie powinno się załatwić sprawę, jeśli rywal na własne życzenie gra przez godzinę w dziesiątkę. Z wydatną pomocą VAR, bo wyjątkowo rozkojarzony sędzia robił wszystko, żeby wikingów oszczędzać – najpierw dał im karnego z kapelusza, potem wlepił żółtą zamiast czerwonej za faul stopera na wychodzącym na czystą pozycję Ishaku, wreszcie nie chciał przyznać nam ewidentnego karnego – mecz wedle scenariusza arbitra miał się najwyraźniej potoczyć zgoła inaczej, na szczęście za każdym razem został skorygowany. Pierwszego hat-tricka w poznańskiej karierze ustrzelili największy gwiazdor Lecha Mikael Ishak – nietypowo, bo wszystkie bramki zdobył z rzutów karnych. W atmosferze piłkarskiego festynu Lech całkowicie rozbroił przeciwników, a należy dodać, że z trzech właśnie zakontraktowanych kozaków z silnych lig (transfery z Lecce, Celticu Glasgow i Slavii Praga) na razie na boisko wbiegł tylko, i to w drugiej połowie, Kenijczyk Ouma.

W czwartek zaprezentowali się trzej pozostali pucharowicze – z równie dobrej strony. Najtrudniejsze zadanie miała Legia, bo liga czeska jest od naszej wyraźnie mocniejsza, a Banik Ostrava w ubiegłym sezonie

był słabszy tylko od praskich potentatów. Z Ostrawą skończyło się na remisie 2:2, ale także warszawianie nie zgłosili do rozgrywek swoich nowych nabytków, co było nader widoczne, zwłaszcza w ataku. Ściągnięty za rekordowe 3 mln euro Mileta Rajović na razie mógł się tylko przyglądać,

Puchary są dobre dla najbogatszych – i w tym sezonie szczęśliwie reprezentują nas czołowi ligowcy z budżetami na europejskim poziomie.

jak niemrawo wygląda w napadzie Ilya Shkurin, jak z dwóch metrów posyła piłkę wysoko nad bramką Kacper Chodyna i jak mozolnie składa się do strzałów Kameruńczyk Nsamenang. Przy czym ten ostatni uratował Legii remis w końcówce, więc psów na nim wieszać nie wolno – idealnie, intuicyjnie wyprzedził obrońców, wbiegł do centry i trącił piłkę głową. Z przebiegu gry remis należy uznać za wynik sprawiedliwy, choć Banik był bliżej wygranej, bo trafił w ostatnich chwilach na 3:2, ale VAR wyłapał mikrosalonego.

To pierwszy mecz Legii pod wodzą nowego trenera, Edwarda Iordănescu, którego warszawianom

nie udało się wygrać, ale Wojskowi sprawiali wrażenie ekipy dojrzałszej, strzelali dwakroć częściej od gospodarzy, a wedle rumuńskiego coacha kontrolowali 80% gry. W rewanżu Legia będzie faworytem, zwłaszcza jeśli kibolstwo warszawskie przeprósi się z zarządkiem i wróci do dopingowania.

Jagiellonia w lipcu dostawała ciężkie baty w sparingach, spartaczyła pierwszy mecz ligowy z Bruk-Betem i zanośliło się na ciężką próbę w upalnej Serbii. A jednak, tamtejsza liga w Europie się nie liczy oprócz Crvene zvezdy z Belgradu, z którą lada tydzień przyjdzie się zmierzyć Lechowi; kluby serbskie są jak najbardziej w zasięgu naszych ekip. Jaga zaczęła dobrze i skutecznie, ale z czasem słabła, rywale z Novego Pazaru wyrównali, a potem przycisnęli, aby zaspokoić swoich rozjuszonych fanatyków. I kiedy wszystko zmierzało do remisu, który powinniśmy szanować, trener Siemieniec wyciągnął asa z rękawa – na boisko wszedł Afimico Pululu i załatwił sprawę klepką z kolegą i cudownym technicznym uderzeniem w ostatniej akcji meczu.

Raków przez pierwszą część meczu z Żilina grał klasyczny „męczeester”, oglądać się tego nie dało, a wszelkie opinie o tym, że drużyna Marka

Papszuna gra najbrzydszy futbol w Polsce, znajdowały potwierdzenie na boisku. Po przerwie Słowacy sami się jednak posypali, najpierw zdobywając „półsamobójczą” bramkę w zamieszaniu na linii własnej bramki, potem prokurując karny, wreszcie ostabiając skład czerwoną kartką w końcówce. Raków mimo przeciętnego występu wygrał 3:0 i trudno sobie wyobrazić, by w rewanżu tę przewagę postradał, zwłaszcza ze względu na defensywne usposobienie – ospali z przodu, Częstochowanie potrafią pilnować tyłów jak mało kto.

Mamy zatem realną szansę, że nasza czwórka przejdzie do dalszej rundy w komplecie. ■

Czwarty akt „Wesela”

Zapomniane powstanie narodowe 1905 roku w teatrze

Tomasz Mitkowski

Mija 120 lat od wydarzeń rewolucji 1905 r. Na ziemiach polskich miała ona przebieg dramatyczny, obierając rozmaite formy. Od wieców i marszów protestacyjnych po strajki i zgłaszane władzom żądania. Powszechne wrzenie, nawiązujące do buntu robotników rosyjskich, przybierało formę walki o autonomię narodową, ścierały się postulaty ekonomiczne, społeczne, klasowe, feministyczne z narodowymi. Część protestów kończyła się brutalnymi atakami wojska, były ofiary śmiertelne, lecz były też nieprzejednane żądania. Opornie, bo opornie, ale osłabiony reżim carski musiał trochę ustąpić. Erozja jego władzy rozpoczęła się na dobre.

O tym potężnym wybuchu i jego obecności w polskim teatrze, przed wiekiem z okładem, ale i dzisiaj, traktuje imponująca księga (779 stron!) „Czwarty akt »Wesela«” prof. Anny Kuligowskiej-Korzeniewskiej. Tytuł zaskakuje, bo jak czytelnicy „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego wiedzą, ten genialny dramat, będący syntezą stosunków polskich, marzeń, nadziei i zaniechań, składa się z trzech aktów. Wyspiański czwartego aktu nie dopisał, choć dostrzegał znaczenie rewolucji 1905 r. Co więcej, po rewolucji nie zgadzał się na wystawianie „Wesela” w Królestwie Polskim, bo uważał, że naród – wbrew jego diagnozie – w obliczu rewolucji zdał egzamin.

Pani profesor tytuł swojej książki przejęła – co sama przypomina – od satyry napisanej przez Franciszka Czajki, działacza socjalistycznego, zapowiadającego powstanie takiego dzieła, krytykującego marazm społeczeństwa. Dopisać czwartego aktu do „Wesela” się nie poważył, ale nakreślił pożądaną jego treść,

domniemane streszczenie nieistniejącego fragmentu. Oto zmożeni opilstwem weselnicy śpią w Bronowicach snem twardym, a kiedy koło południa zaczynają się budzić, „od warszawskiego gościńca słychać tętent koni i strzały karabinowe”. Wszczęto bunt, nie czekając na panów krakowskich, pół miliona robotników woła „Precz z caratem”. Ale miastowi powstrzymują rwących się do boju chłopów, zwłaszcza gdy widać łuny pożarów z Warszawy. Nakłaniają, żeby patrzeć na Wawel, a nie Warszawę, wodę leją w stronę łun, a gdy wody rozlano tyle, że zrobiło się już bagno, cała wiara idzie do karczmy pić i tańczyć, jak jej Chochół zagra. I już nikt nie słyszy strzałów dobiegających z warszawskiego gościńca.

Rok 1905 stanowił ważną cezurę nie tylko w historii politycznej, także w dziejach kultury.

Widać, że młody działacz socjalistyczny nie podzielał optymistycznej opinii Wyspiańskiego, że naród zdał egzamin z rewolucji. Raczej ją przesłępił. Zwłaszcza w Galicji.

Pewnie to ocena niesprawiedliwa, ale sprawiedliwie byłoby powiedzieć, że rewolucji 1905 r. nie doceniła zbiorowa polska świadomość, że zepchnięta została ona na pobocze przez wypadki o mniejszym znaczeniu. Książka Anny Kuligowskiej-Korzeniewskiej powstała z potrzeby zmiany tego stanu rzeczy. Takiej zmiany, aby nasza wiedza o tym wydarzeniu (i jego wpływie na bieg historii), które zyskało miano czwartego powstania narodowego, stała się co najmniej dostateczna. Autorka próbuje naprawić tę dotkliwą lukę w świadomości polskiej, choć nie daje systematycznego wykładu porządkującego historyczne wypadki

ani ich teatralnego zwierciadła. Analizuje obecność tematyki rewolucji 1905 w polskim teatrze i dramacie sposobem mozaikowym, wybierając utwory i fakty najdonioślejsze, skupiając uwagę na tym, co nadal może okazać się w odbiorze żywe i inspirujące.

O taką obecność rewolucji 1905 r. apelował Marek Beylin, kiedy 10 lat temu pisał na łamach „Dialogu”: „O 1905 roku nie ma filmów, seriali ani sztuk w teatrze. Chlubny wyjątkiem pozostaje świetna »Gorączka« Agnieszki Holland. (...) A przecież właśnie wtedy dokonał się skok cywilizacyjny: w strajkowych bojach lud zyskał polityczną podmiotowość, której już nie porzucił. Nie tylko robotnicy walczyli o prawa socjalne, a w owym czasie Łódź przypominała

Manchester z »Kapitału« Marksa. Burzyli się robotnicy rolni, uczniowie, inteligencja, wszak był to powszechny zryw niepodległościowy. Także kobiety zaczęły się intensywnie domagać praw. (...) Ale 1905 r. to również fascynujący czas zimnej i gorącej wojny domowej lewicy z endecją. Wykuwała się wtedy świadomość narodowa warstw ludowych”.

Wszystkie wątki, o których napomknął Beylin, znalazły rozwinięcie w „Czwartym akcie »Wesela«”. Przy czym autorka wiernie odtwarza uporczywą walkę artystów o obecność – ich spory z cenzurą, obojętnością odbiorców, zabiegi o dotarcie z diagnozami do odbiorców. Wprawdzie nie powstało jedno tak wyraziste dzieło jak „Wesele”, które mogłoby uchodzić za biblię rewolucji 1905 r., ale wypadki rewolucyjne inspirowały autorów do tworzenia potężnych

obrazów rewolucyjnych zdarzeń i bohaterów. Autorka wskazuje ich wiele, najwięcej uwagi poświęcając utworom: „Eros i Psyche” Jerzego Żuławskiego, „Róża” Stefana Żeromskiego, „Z dymem pożarów” Stanisława Brzozowskiego, „Rewolucja” Kazimierza Przerwy-Tetmajera i „Kniaziowi Patiomkinowi” Tadeusza Micińskiego. Żaden z tych tekstów nie zadomowił się w polskim teatrze, choć większość doczekała się kilku wystawień, a „Eros i Psyche” stał się hitem teatralnym, choć od lat nikt po ten utwór już nie sięga (bywa czasem wystawiany w wersji operowej Ludomira Różyckiego).

Dlaczego tak się stało, nietrudno wyjaśnić. Tematyka tych dzieł – rewolucyjna – z zasady była zwalczana przez carską (i nie tylko) cenzurę. W okresie międzywojennym inscenizacje o tematyce rewolucyjnej też nie miały łatwo. Dość przypomnieć, jakie skutki przyniosła Schillerowska inscenizacja antyrewolucyjnej sztuki Micińskiego „Kniaź Patiomkin” (1925) w warszawskim Teatrze Bogusławskiego. Schillera oskarżono o bolszewizm, a Teatr Bogusławskiego prawicowe władze stolicy rozwiązały (1926) i założyły w tym miejscu kino.

Trudności nie zniknęły po zmianie ustroju, choć na pozór wydawałoby się, że władza ludowa powinna sprzyjać takim utworom jak „Róża” Żeromskiego. Tymczasem legendarny dramat – uważany przez Stanisława Brzozowskiego za arcydzieło, o którym pisał: „To jest wieść z dna polskiego piekła” – od 1964 r. nie był grany w Warszawie, a walkę o jego wystawienie w Teatrze Dramatycznym z pasją opisuje reżyser niedopuszczonej do eksploatacji wersji scenicznej Maciej Wojtyszko. Wspomnienia z walki o premierę opatruje wyznaniem: „To prawdopodobnie najważniejsze wydarzenie teatralne w moim życiu”.

Jeszcze dramatyczniej przedstawia się dzieje recepcji (a właściwie jej braku) dramatu Brzozowskiego „Z dymem pożarów”, z tytułem nawiązującym do sławnego „Chorału” Konrada Ujejskiego („Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej”). To rzecz o rewolucji 1905 r., ale ukazanej od strony

konfliktu rosyjsko-żydowskiego, szczególnie zaś pogromów rozpętanym przez rosyjską czarną sotnię, ochronę i antysemitów. Brzozowski zamierzał nawet nazwać swój dramat „Pogrom”, prawdopodobnie pod wpływem pogromu w Białymstoku (w czerwcu 1906 r.), w którym śmierć poniosło ponad 80 Żydów, a drugie tyle zostało rannych. Brzozowski był tym wstrząśnięty, czego wymownym świadectwem pozostał dramat „Z dymem pożarów”, bodaj



jedynie w literaturze polskiej świadectwo tego haniebnego wydarzenia. Utwór wykielkował jako projekt w głowie autora wiosną 1906 r., a już w czerwcu gotowy dramat wylądował u wydawcy, Albina Staudachera w Stanisławowie. Ten jednak rękopis Brzozowskiemu odesłał bez słowa wyjaśnienia. Autor nie zrezygnował i niebawem wystąpił go nowemu wydawcy. W kwietniu 1907 r. ukazała się zapowiedź, że dramat wkrótce ujrzy światło dzienne, ale tak się nie stało. Co więcej, mimo że zachował się rękopis i kilka odpisów, nie znalazł też miejsca w przygotowywanym w międzywojniu pośmiertnym wydaniu „Dzieł wszystkich” Brzozowskiego – wybuch wojny udaremnił te plany. Po wojnie długo nie mogło dojść do publikacji, mimo że egzemplarz do druku został starannie opracowany przez Ludwika Kamykowskiego. W rezultacie pierwodruku podjął się miesięcznik „Dialog”, na którego łamach „Z dymem pożarów” ukazało

się w numerze 9 w 2015 r., a więc niemal 110 lat od napisania.

Takich opowieści o trudnych dziejach dramatów o rewolucji można znaleźć w książce Anny Kuligowskiej-Korzeniewskiej więcej, a to zaledwie fragment zgromadzonej dokumentacji ze starannie dobraną ikonografią, argumentacją i interpretacjami. Badaczka, od lat interesująca się rolą rewolucji 1905 r. w świadomości polskiej, zwłaszcza w teatrze, ze szczególnym uwzględnieniem Łodzi, zgromadziła potężny materiał dowodowy, potwierdzający siłę tej rewolucji-powstania narodowego. Wielkie wrażenie sprawia opowieść o łódzkich strajkach i walce o godność teatru w tym robotniczym mieście, a także relacja o strajku aktorów Teatru Narodowego i walce o uzyskanie większej autonomii i swobody w doborze repertuaru.

Lektura przynosi niemało odkryć, bo autorka sięga po teksty i twórczość pisarzy często zapomnianych i dziś w kulturze nieobecnych. W rezultacie zyskujemy bogaty materiał potwierdzający główną tezę badaczki, że „rok 1905 stanowił ważną cezurę nie tylko w historii politycznej”. Także w dziejach kultury i teatru. „Młoda Polska posiwała w jedną noc”, jak komentował przenikliwie Karol Irzykowski. A badaczka dodaje w konkluzji swojego dzieła: „Ten zasadniczy przełom dokonał się podczas »czwartego powstania narodowego«, jak się określa rewolucję 1905 r. Jej szpadą był »Czerwony sztandar« – powszechnie śpiewany podczas wielu spektakli, a przede wszystkim podczas robotniczych wieców i ulicznych pochodów. Pieśń, która słowami Bolesława Czerwińskiego zapowiadała groźnie: »Nadejdzie jednak dzień zapłaty«”.

A jednak, jak zauważa Anna Kuligowska-Korzeniewska, podczas świąt państwowych, upamiętniających tych, którzy o wolność Polski walczyli, o bojownikach rewolucji 1905 r., wciąż głucho. Książka się o nich upomina.

Anna Kuligowska-Korzeniewska, Czwarty akt „Wesela”. Teatr polski wobec rewolucji 1905 roku, Instytut Teatralny, Warszawa 2023

31. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce

Francesca Tandoi Trio

Włoska pianistka jazzowa i wokalistka w ciągu zaledwie kilku lat zdobyła międzynarodowe uznanie. Występowała z najlepszymi muzykami, koncertowała na wielu prestiżowych festiwalach i w klubach jazzowych na całym świecie. „Ma wyrafinowany głos i potrafi komponować niezapomniane melodie i aranżować je w niezwykle wyrafinowany sposób”, podkreśla pianista Monty Alexander, bo Tandoi jest również utalentowaną kompozytorką i dynamiczną liderką zespołu, przy czym trio fortepianowe to jej ulubiony skład. Zdaniem dziennikarza muzycznego Davida Alstona Włoszka „nie tylko gra, ale i opowiada historie. To artystka, która potrafi wciągnąć słuchacza w swój świat, gdzie swing spotyka się z liryzmem”. (ap)

Więcej na: www.jazznastarowce.pl, www.facebook.com/festiwaljazznastarowce

Warszawa, Rynek Starego Miasta, 2 sierpnia, godz. 19



NA EKRANACH



Superman,

reż. James Gunn, prod. USA/Kanada/Australia/Nowa Zelandia, już w kinach

Najpopularniejszy heros współczesnej popkultury powraca – tym razem w nowych szatach i w bardzo komiksowych barwach. James Gunn, reżyser odpowiedzialny m.in. za trylogię „Strażnicy Galaktyki”, został zwolniony przez Marvela, ale zatrudniony przez DC Studios. Dostał od nich pełne wsparcie i zadanie do wykonania: wskresić filmowe uniwersum nowego pracodawcy. W ten sposób powstał najnowszy „Superman”, rozpoczynający kolejną erę ekranizacji komiksów. Nowa jakość to i nowe nazwiska: w Clarka Kenta wciela się nieznany mainstreamowej widowni David Corenswet (z czasem aktor daje się lubić). To nie jest film idealny, ale doskonale sprawdza się jako oddech świeżości dla superbohaterowszczyzny, której wszyscy mamy dosyć. Gunn w tym szaleństwie odnajduje się doskonale, ale wiele elementów wciąż kuleje: chemia między Louis Lane i Clarkiem nie przekonuje, a choć sceny rozrywkowe u Gunna są jak zwykle mistrzowskie, to cała reszta nie do końca wybrzmiewa. Niemniej seans wprawia widza w dobre samopoczucie – a to w dzisiejszych czasach rzadkość.

Jan Tracz

NA POWAŻNIE

Obrazy zagłady

Wyreżyserowany przez Agnieszkę Smoczyńską „Głos potwora” w kompozycji Alka Nowaka to efektownie zainscenizowana, poruszająca opowieść o strachu, przemocy i rozpaczliwym pragnieniu przetrwania.

Spektakl inspirowany filmem „Europa, Europa” Agnieszki Holland wyprodukowały wspólnie Opera Bałtycka, Narodowe Centrum Kultury, Festiwal Malta oraz Baltic Opera Festival. Smoczyńska i Nowak oraz autor libretta Robert Bolesto przenoszą historię Żyda Samulea Perela, który w czasie wojny ukrywał się w Hitlerjugend, w świat antycznych mitów – opowiadając o Meduzie pragnącej umknąć śmierci z rąk żołnierzy Hadesa. Opowieść tę poznajemy dzięki kustoszowi muzeum, który przygotowuje wystawę o zagładzie Meduz – w tej roli świetny wokalista i oszczędny aktorsko Jan Jakub Monowid. Ta z pozoru odległa metafora okazuje się zaskakująco trafna – celnie obrazuje proces systematycznego zohydzenia i demonizowania ofiar, jakiego dokonywali naziści. Szkatułkowa kompozycja dzieła, choć na pozór skomplikowana, okazuje się czytelna i sugestywna. Także dzięki pełnej dramaturgii kompozycji Nowaka, w którą autor wplata motywy marszowe oraz cytaty z muzyki żydowskiej.

Monumentalna, a zarazem minimalistyczna scenografia wraz ze światłem tworzą kliniczną przestrzeń muzeum, w której za sprawą kolejnych obiektów ożywają dantejskie wizje świata przemocy i nienawiści. Niepokojąco bliskie i dobrze znane.

Michał Centkowski



„Głos potwora”, muzyka Aleksander Nowak, reżyseria Agnieszka Smoczyńska, libretto Robert Bolesto, Opera Bałtycka w Gdańsku, premiera 12 lipca 2025

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Puszcza Warszawa

Mieszkałem w centrum Warszawy prawie dekadę, dla człowieka dzicy to było wyzwanie, to jakbym aerofobię chciał przełamać lotem do Nowej Zelandii. Los sobie ze mnie – żarliwego i nieprzejednanego wroga wielkomiejskości – okrutnie zdrwił. Wżeniłem się w Warszawę. Wyprowadzałem się na wieś, a wylądowałem na Wiejskiej. Spokojnie, nie popadajmy w pułapki metonimii – wylądowałem jak najbezpieczniej jako cywil, w części szlachetniejszej niżli sektor parlamentarny. Przez terytorium sejmowe przemykałem jedynie skrótem w stronę Myśliwieckiej, dopóki nie został zamknięty dla postronnych. Pasaż między Sejmem i Senatem podobał mi się nie tylko architektonicznie, ale ze względu na tę swoją otwartość. Postowie ćmili sobie papieroski przed budynkiem sejmowym, obgadywali jakieś sprawy wagi państwowej na świeżym powietrzu, a każdy człowiek bez właściwości mógł przechodzić mimo i zachwycać swój chłopski rozum transparentnością polityki. BOR-owców nie było wokół wcale albo byli bardzo dyskretni, bo choć mój krótkowzroczny kundel na długiej smyczy gotów był pomylić nogawkę poselską z drzewkiem, mury sejmowe zaś wyjątkowo gęsto opatrywał psimi postami na piss-booku – nigdy nikt mi wstrętów nie czynił. Kiedyś politycy czuli się bezpiecznie, widocznie nie mieli nic na sumieniu, bo rządili zamiast knuć.

A potem przyszło PiS i zanim zaczęło demolować państwo prawa, już wiedziałem, że będzie źle, bo Kuchciński od razu nakazał zamknąć tereny sejmowe dla ludności. Odgrazanie jest zaraźliwe, potem zaczęła się epidemia płotów, nowych grodzień – jakby z Wiejskiej chcieli zrobić przedłużenie Nowogrodzkiej. W tym samym czasie po drugiej stronie ulicy zaczęło przyrastać wielkie gmaszysko nowego hotelu sejmowego, przez co zupełnie mi się odechciało chodzić z psem na Jazdów, bo trzeba teraz omijać łukiem plac budowy. Ukradli mi najbliższy skwerek na psie kupki i zrobili z tej Wiejskiej jakiś ponury kanion. Za czasów PiS wszędzie robiło się ciasno. Tu Między Frascati i Prusa chodziłem na skwerek, w dole za Teatrem Buffo miałem ulubiony kawałek łączki niekoszonej, gdzie sobie chadzałem wiosennymi wieczorami oglądając jeże, a tuż za nim, między willą Pniewskiego a Białym Pałacem, wysypisko głazów narzutowych – to jedne z ostatnich kamieni w mieście, których jeszcze nikomu nie poświęcono.

Próbowałem uciekać z tego zgiełku i pędu metropolitalnego w chaszczę i odludzia, a najdziwniejsze, że wcale nie trzeba mi było daleko szukać, znajdowałem je w granicach

miasta. Przez taką dżunglę jak w nadwiślańskich łągach w życiu się nie przedzierałem, takiego spokoju jak na wiślańskich łąkach nie znalazłem na żadnej z dzikich plaż, takiej gęstwy pomnikowych drzew jak po drugiej stronie Jeziora Wilanowskiego nie spotkałem w żadnym rezerwacie, przez taką Amazonię jak na mokradłach Zakola Wawerskiego w życiu nie brodziłem. Albo takie Bagno Jacka w Wesołej, gdzie brzezina z wody wystaje, czermienie się bielą w błotach, wełnianki się ścielą, irysy żółte bukiętami z wody wystają, młode dziecięcy piszczą z głodu w dziuplach, łoś się tapla w trzęsawisku.

Warszawa jest przedziwną kombinacją przeludnionej, hałaśliwej, pogrążonej w deweloperskim chaosie metropolii i radykalnie dzikiej przyrody bezpośrednio z nią sąsiadującej. Z tym większą przyjemnością czytam właśnie „Drugie życie Czarnego Kota” Staszka Łubieńskiego, choć właściwie to Stacha, a nawet pana Stanisława, bo to już

Warszawa jest przedziwną kombinacją przeludnionej, pogrążonej w deweloperskim chaosie metropolii i radykalnie dzikiej przyrody.

pisarz absolutnie znakomity, wyspecjalizowany w opisach przyrody, cała jego literatura jest przyrody opisywaniem, a nawet przyrodopisaniem. Tym razem Łubieński odkrywa w swoim eseju miasto jako bez mała serce mazowieckiego matecznika – nie tylko przedpotopowego, ale całkiem współczesnego. Porzucą antropocentryzm, opisuje miejsce nazwane przez ludzi Warszawą i odczytuje ślady jego przeszłości dawniejszej niż ludzkość. Jak choćby kości słonia leśnego, które wykopali niegdyś robotnicy wymieniający rury na Woli i „myśleli, że to kuń”. Słonie żyły sobie na tych terenach w niezmałonym spokoju, zanim jeszcze pojawił się pierwszy człowiek na Mazowszu. Takie warsawiana to ja lubię – dość już naczytałem się o mieście niepokonanym, jego bliźnach, cmentarzach, kanałach, miejscach pamięci, architektonicznych ekscesach; Łubieński łączy po wysypiskach, zarośniętych ruinach, ruderach i zaroślach, tam czytając miasto, a pisać już chłop tak dobrze umie, że wróżę mu kolejne nominacje i laury.

Rok 2025 jest wydawniczo nadzwyczaj dla Warszawy szczęśliwy – obok świetnego „Ronda Wiatraczna” Marka Bieńczyka, pośmiertnego „Kamionka” Marcina Wichy, książka najmłodszego pisarza z klanu Łubieńskich jest kolejną rewelacją literacką, która przygląda się zgoła niecentralnym miejscom stolicy. ■

Fascynujący świat owadów

Opanowały wszystkie środowiska z wyjątkiem oceanów

Stefan Niesiołowski

Owady pojawiły się na ziemi kilkaset milionów lat temu. Dla porównania gatunek *Homo sapiens* żyje ok. 300 tys. lat, a gatunek, który jest naszym przodkiem (*Pithecanthropus erectus*) i umiał rozpalić ogień – czyli wyróżniał się ze świata zwierząt, bo nie znamy przypadku rozpalania ognia przez inne gatunki niż nasi przodkowie – żył ok. 2 mln lat temu. Owady są więc jednymi z najstarszych żyjących obecnie zwierząt na ziemi.

Wiele gatunków owadów wykazało zdumiewającą odporność na zmieniające się warunki. Przetrwały prawie niezmiennie od setek milionów lat, np. owady bezskrzydłe – skoczogony (*Collembola*), ważki, jętki czy widelnice. W bursztynie, który formował się ok. 40 mln lat temu, zachowało się bardzo wiele gatunków owadów prawie identycznych jak żyjące obecnie.

Owady to jedyne bezkręgowce zdolne do lotu, wykształciły też najliczniejszą liczbę gatunków na Ziemi i stanowią ok. 75% istniejących gatunków. Opanowały też wszystkie, z wyjątkiem oceanów, środowiska, co doprowadziło do ich dużej różnorodności. Obok mikroskopijnych błeskok wielkości setnych części milimetra mamy największe na świecie chrząszcze, motyle i patyczaki, dochodzące do 30 cm długości.

Związki łączące owady z innymi organizmami są różnorodne i często skomplikowane, a ich wpływ na równowagę biologiczną na planecie oraz obieg materii i energii w przyrodzie

jest bardzo duży. Panuje opinia, że bez owadów nie przetrwałoby życie na Ziemi. Odpowiadają one także za produkcję żywności, poprzez włączanie wielu związków organicznych do obiegu materii, a przede wszystkim dzięki zapylaniu kwiatów.

Świat owadów poznany jest w niewielkim stopniu. O wielu gatunkach wiemy bardzo mało, nie znamy ich biologii, warunków życia ani rozwoju, zwłaszcza stadiów larwalnych. Mamy trudności z ich taksonomią i identyfikacją. Zwykle kojarzymy tylko najłatwiejsze do poznania stadia uskrzydłone, które często żyją krótko, nie pobierają pokarmu, a mają na celu w zasadzie jedynie przekazanie życia kolejnej generacji. Tak jest

nie tylko u ostatecznej jętki jednodziówki, która nie pobiera pokarmu, wylatuje z wody (czasami w gigantycznych ilościach, co robi takie wrażenie, jakby nad rzeką czy jeziorem w środku lata spadł śnieg), odbywa lot godowy, składa jaja i ginie. Tak dzieje się u bardzo wielu gatunków ważek, chrząszczy, motyli i chruścików, u których stadia larwalne żyją ponad rok, czasami nawet kilka lat, a stadium imaginalne (uskrzydłone) kilka dni.

Wpływ owadów na ludzi jest w wielu regionach ogromny, często negatywny. Przenoszony przez komara widliszka (*Anopheles maculipennis*) pierwotniak – zarodek malaryczny (*Plasmodium vivax*) w krajach tropikalnych i subtropikalnych, z uwagi na ocieplenie klimatyczne żyjący coraz bliżej naszych granic, wywołuje malarię. Umiera na nią więcej ludzi, niż ginie we wszystkich wojnach i konfliktach.



Do historii polskiego leśnictwa przeszły zniszczenia setek hektarów lasów przez strzygonię chojnowką.



Rozpowszechniona w Afryce i Azji szarańcza (*Locusta migratoria*) powoduje tak wielkie straty w uprawach, że prowadzą one do śmierci głodowej i niedożywienia tysięcy ludzi. Wielkie straty wywoływane są przez termity i wiele gatunków mrówek, a takie owady jak gzy, meszki, moskity, bąki, wszy, pchły, komary, pluskwy, przynoszą wiele groźnych, a czasami śmiertelnych chorób ludzi i zwierząt.

Wymienianie nawet w przybliżeniu strat i generalnie wpływu owadów na rolnictwo, leśnictwo, hodowlę i gospodarkę przekracza rozmiary nawet najbardziej pobieżnego omówienia. Warto jednak podkreślić, że każda roślina – dzika, a zwłaszcza uprawiana przez człowieka, czemu sprzyja monokultura i łatwa dostępność szkodników – jest atakowana przez określone gatunki owadów. Na przykład masa żywych mszyc żyjących na plantacji buraka cukrowego o powierzchni 1 ara wynosi 45 kg. Słodyszek rzepakowy (*Meligethes aeneus*), niewielki chrząszcz żerujący na pądkach kwiatowych rzepaku, powoduje straty wynoszące ok. 15% upraw, a na południu Polski 50%, czyli bardzo duże szkody.

Do historii polskiego leśnictwa przeszły zniszczenia setek hektarów lasów przez takie motyle jak strzygonia chojnowka (*Panolis flammea*), brudnica nieparka (*Lymantria dispar*) czy przez chrząszcza kornika drukarza (*Ips typographus*).

Bardzo znaną, i to nawet w jakimś sensie także od strony politycznej, jest stonka ziemniaczana (*Leptinotarsa decemlineata*), zawleczona w XIX w. z Ameryki Północnej do Europy, gdzie stała się w XX w. przyczyną masowych zniszczeń upraw ziemniaków. W latach 50. zeszłego wieku w Polsce i innych krajach podległych Związkowi Radzieckiemu odbywały się akcje zbierania stonki rzekomo zrzucanej u nas na spadochronach przez wrogie siły z Zachodu. Także prasa i radio apelowały do młodzieży na letnich obozach i mieszkańców osad nadmorskich, aby zbierali imperialistyczną stonkę na plażach i w ich pobliżu.



Straty w uprawach spowodowane przez szarańczę prowadzą do niedożywienia tysięcy ludzi.



Rzadki gatunek – pływak szerokobrzeżek.

Fascynacja światem owadów wynika moim zdaniem z ich złożoności. Mamy owady społeczne, jak pszczoły, mrówki, osy, termity, które budują wielkie konstrukcje, termitiery i mrowiska, będące arcydziełami wentylacji, ogrzewania zimą i chłodzenia latem, gromadzenia zapasów, organizacji życia, obrony, przekazywania informacji, opieki nad potomstwem. Fenomenem pod względem konstrukcji i oszczędności materiału jest plaster miodu. Osy grzebaczce (*Sphecidae*) paraliżują swoją ofiarę ukłuciem w układ nerwowy, co powoduje, że ta (najczęściej gąsienica) żyje, ale jest nieruchoma i stanowi pokarm dla larw osy. Mamy przykłady współpracy mrówek z motylami modraszka (opisany w „Przeglądzie”). Motyl monarchy leci tysiące kilometrów z USA do lasów Meksyku, gdzie zimuje i następnie wraca, będąc w drodze przez kilka pokoleń, nie traci orientacji i celu podróży.

Do dziś niewyjaśniona jest orientacja i utrzymanie kierunku lotu owadów, a zupełnie ostatnio pojawiają się próby wyjaśnienia orientacji przestrzennej lecących ptaków.

Owady bywają też niebezpieczne – podobno siedem ukąszeń szerszenia może zabić człowieka. Ale nie są tak niebezpieczne jak pajęczaki, nie mówiąc o kręgowcach. Niektóre muchówki (wodarkowate – *Ephydriidae*) żyją w bardzo zasolonych jeziorach, inne (bzygowate – *Syrphidae* i ochotkowate – *Chironomidae*) są odporne na wysokie zanieczyszczenia, ścieki i fekalia. Owadom zawdzięczamy miód, jedwab i bardzo wiele owoców. Z kolei wędkarze często za sprawą larw chrząszczy mączniaków i muchówek mogą się chwalić udanymi połowami.

Na naszych oczach dramatycznie spada liczba owadów – zarówno gatunków, jak i osobników. Istnieje bardzo długa lista gatunków chronionych i zagrożonych. Jest to spowodowane dewastacją przyrody. Uważa się, że w ciągu ostatnich kilkunastu lat zniszczonych zostało ok. 80% owadów w Europie. Te dane dotyczą także Polski. Dramatycznie zmniejszyła się liczba pszczoł, motyli, ważek oraz chrząszczy. Od dawna nie widziałem w Łodzi pięknego motyla – pazia królowej, tymczasem kiedyś każdego lata widywałem ich co najmniej kilka.

Przyczyny są takie same jak w odniesieniu do innych zwierząt: wyniszczenie środowisk, monokultury rolnicze, używanie pestycydów, środków ochrony roślin, zatrucie rzek, stawów, jezior i źródeł, gigantyczna produkcja ścieków, spalin zanieczyszczeń, ocieplenie klimatu i susza. To wszystko powoduje, że owady tracą swoje tradycyjne siedliska i źródła pokarmu, nie mają gdzie się rozmnażać. Coraz rzadszy jest

bezkręgowce, wśród nich takie rzadkie gatunki jak kałużnica czarna (*Hydrophilus aterrimus*) i pływak szerokobrzeżek (*Dytiscus latissimus*), a nawet sporo kręgowców: traszki, żaby, kumaki, które przynosiłem do domu i hodowałem. Dziś ten staw jest błotnistą mętną kałużą. Doprowadziło do tego bezmyślne szlamowanie i coroczne „czyszczenie”, skutkujące całkowitym wyniszczeniem fauny i flory. Na środku rośnie za to

sprzątanina, czyszczenia, hałasowania i grabienia parku, co pozbawia zwierzęta możliwości swobodnego życia i rozwoju. Ściółka, kora, połamane gałęzie, wiatrołomy itp. stanowią naturalne środowisko życia, a ich brak skutkuje zubożeniem gatunkowym.

Proces degradacji przyrody, zanieczyszczenia i zubożenia środowiska – wielokrotnie opisywany jako jeden z efektów głupiego działania motywowanego także politycznie przez nieuków i matofów niewierzących w takie mity jako globalne ocieplenie i broniących za wszelką cenę naszego „narodowego skarbu” jakim jest węgiel – postępuje nie tylko w Polsce. Ale nasz kraj niestety pod tym względem należy do niechlubnej czołówki. Uroczy był widok wybitnego intelektualisty doktora Nawrockiego, który zwracał się do swoich wielbicieli słowami, że nie można wierzyć w żadne bajki o ociepleniu klimatycznym, naszą siłą jest węgiel i „trzeba fedrować, fedrować i fedrować dla dobra Polski”. Powiedział znawca przyrody i środowiska.

Pewną pociechą i nadzieją jest coraz większe zrozumienie znaczenia ochrony przyrody i badania jej złożoności oraz bogactwa ze strony instytucji europejskich, świata nauki i intelektualistów. Znajduje to wyraz w obsiewaniu miejskich trawników niekoszoną ustawicznie trawą, ale roślinami tworzącymi środowisko, takimi jak żmijowiec, dziewanny, chabry, maki, podróżniki, jaskry i wiele innych. Gatunki nie dzielą się na pożyteczne, jak pszczoły, świetnie zorganizowane i dające bardzo wiele ludziom, oraz podstępne i niepotrzebne, jak turkuć podjadek (*Gryllotalpa gryllotalpa*) czy okrutne, jak modliszka pożerająca biednego, bezbronny samca. Nie dzielą się też na pracowite jak mrówki oraz próżnujące i bez troski jak koniki polne, za co przyszło im płacić wysoką cenę zimą.

Przyroda jest absolutną jednością, nie ma zbędnych organizmów, a człowiek bardzo dużo może od zwierząt się nauczyć. Także od drobnych, wydaje się czasami, że zbytecznych i uprzykrzonych, ale zawsze potrzebnych owadów.

Stefan Niesiołowski

Każda roślina – dzika, a zwłaszcza uprawiana przez człowieka – jest atakowana przez określone gatunki owadów.

widok łąki z kwiatami, gdzie można spotykać różnorodne motyle. Jeszcze kilkanaście lat temu nocna jazda samochodem powodowała konieczność wycierania szyb, lamp i lusterek z grubej warstwy owadów (głównie drobnych muchówek i motyli). Obecnie takiego „zagrożenia” w zasadzie nie ma. Dla ptaków, nietoperzy i wielu innych zwierząt oznacza to zdecydowanie mniej pokarmu, niemożność wykarmienia potomstwa, a w efekcie spadek liczebności.

Wychowałem się w pobliżu parku 3 Maja w Łodzi, gdzie w małym stawie miałem okazję schwycić praktycznie wszystkie wodne

kępa lilii wodnych, z pewnością dekoracyjna, ale nie może ona zastąpić podwodnej moczarki kanadyjskiej czy rogatka, stanowiących środowisko życia wodnej fauny. W tym parku miałem okazję poznać bardzo wiele gatunków motyli, których gąsienice łapałem i hodowałem z nich formy uskrzydłone, które wypuszczaliśmy z bratem. Dziś znalezienie tam i w innych miejscach gąsienicy jest trudne. To samo dotyczy sporej liczby gatunków, które w tym i w innych parkach zostały wyniszczone. Jest to efekt także zupełnie bezmyślnego wygrabiania liści, usuwania gałęzi, koszenia trawników, ustawicznego



Rozmawia Robert Dobrotowicz

Ile rozmów w telefonie zaufania ma pani za sobą?

– Nigdy nie liczyłam, ale pewnie kilkanaście tysięcy, może nawet kilkadziesiąt. Przez większą część doby telefony się urywają. Cisza zdarza się tylko w nocy.

Zauważyła pani jakieś schematy?

– W telefonie zaufania nie ma scenariuszy. Scenariusze są tylko w filmach. Wyobraźmy sobie, że dzwoni do mnie dziewczyna, która rozstała się z chłopakiem. Nie mogę z góry założyć, jaki ona ma cel. Muszę dowiedzieć się, czego konkretnie oczekuje od naszej rozmowy, np. ustalić, że dzwoni, by poradzić sobie w nowej, trudnej dla niej sytuacji. I będę rozmawiać z nią w taki sposób, by znaleźć rozwiązanie. Potem może zadzwonić druga dziewczyna, która też rozstała się z chłopakiem. Nie mogę przecież poprowadzić tej rozmowy w taki sam sposób jak poprzedniej, bo nie wiem, jaki jest jej cel, rozmawiam przecież z kimś zupełnie innym. Może być tak, że kolejna dzwoniąca będzie chciała zniszczyć swojego chłopaka.

Rozmowa ma pomóc dzwoniącej osobie znaleźć w sobie odpowiedź, co zrobić, by przezwyciężyć kryzys.

Co wtedy może zrobić pracownik telefonu zaufania?

– Znaleźć rozwiązanie problemu akceptowane w cywilizowanych warunkach, czyli tak poprowadzić rozmowę, by pomogła dzwoniącej, sprawiła, że poczuje się lepiej bez opracowywania i wcielania w życie planu niszczenia drugiej osoby. Konsultant nie może wspierać zagrażających komuś działań, a dzwoniący niestety czasami zmirają w tę stronę.

Na przykład?

– Ktoś dzwoni i mówi: „Palę marihuanę, bo to najlepszy sposób na rozładowanie emocji”. Rolą konsultanta jest rozszerzenie tej perspektywy, pokazanie jej minusów i bezpiecznych alternatyw, które prowadzą do rozładowania emocji.

Każda rozmowa jest niewiadomą

W telefonie zaufania nie ma scenariuszy

LUCYNA KICIŃSKA

– koordynatorka strefy pomocy serwisu Życie Warto Jest Rozmowy (www.zwj.r.pl), ekspertka Biura ds. Zapobiegania Zachowaniom Samobójczym działającego w Instytucie Psychiatrii i Neurologii

A przede wszystkim zrozumienie, co wywołuje te emocje, i tym się zająć. Nie zawsze musimy iść za komunikowanym celem, ale cel trzeba rozpoznać, żeby wspólnie odkryć, czego potrzebuje rozmówca. Jeżeli ktoś mówi o autodestrukcji, pyta, jak odebrać sobie życie, to jesteśmy od tego, by go lepiej poznać i rozszerzyć

obok siebie kogoś, komu ufa, a nie założyć, że mama czy tata na pewno pomogą, bo mamy może nie być albo wcale dziecka nie wspiera. Nie można działać schematycznie. Każda rozmowa to inny człowiek i wobec tego inny świat przeżyć. Trzeba pytać, a nie dawać sobie prawo do prowadzenia rozmowy zgodnie z własnymi założeniami.

Czy jest jeszcze coś, czego nie należy mówić?

– Nie należy mówić, że coś się wydarzy na pewno. Nie mogę dać gwarancji. Nie wiem, czy mama zrozumie, gdy usłyszysz, z czym mierzy się jej dziecko. Jeśli ktoś zdecyduje się na rozmowę z mamą, to mogę pomóc się do niej przygotować i zaproponować, żeby ta osoba zadzwoniła jeszcze raz, jeśli mama nie zrozumie problemu, i wtedy wspólnie poszukamy innego rozwiązania. Nie należy mówić: „zawsze”, „wszyscy”, „każdy”, „na pewno”, a takie sformułowania niestety często goszczą w codziennym języku. To wielkie kwantyfikatory, błędy komunikacyjne, manifestacje zniekształceń poznawczych. Nawet absolwenci studiów psychologicznych często nie mają pomysłu, co mówić zamiast wielkich kwantyfikatorów. Niby wiedzą, że źle je powtarzać, bo tyle razy o tym słyszeli na studiach, a jednak powtarzają – z braku alternatywy. ▶

► Pamiętam rozmowę, której słuchałam jako opiekun dyżuru, gdy konsultant zwrócił się do dziecka: „Jeśli koledzy cię wyzywają, to powiedz im, że sobie tego nie życzysz”. Wtedy się włączyłam, sugerując zmianę kierunku rozmowy. Konsultant od razu to podchwycił i samodzielnie doprowadził ją do końca. Ale kiedy omawialiśmy tę rozmowę, wyznał, że jest zdziwiony moją interwencją, skoro on świetnie radził sobie sam. Wtedy zaproponowałam mu sytuację treningową. Oznajmiłam: „Mam dla ciebie ważny komunikat: nie życzę sobie, żebyś tak mówił do dzieci”. On dopiero wtedy usłyszał swoje słowa w ich prawdziwym, bardzo trudnym znaczeniu. Zrozumiał, że sugerował dziecku, że ma pójść do sprawców przemocy, do swoich oprawców, i powiedzieć, że sobie nie życzy takiego zachowania. Przywołuję tę sytuację, by pokazać, że ta praca wymaga absolutnego skupienia, maksymalnej uważności. Żeby nic przypadkowo nam się nie wymknęło, gdy jesteśmy prywatnie czymś oburzeni, na przykład niesprawiedliwością albo tym, że sprawcy przemocy czują się bezkarni. W każdej rozmowie trzeba się zaktualizować i skoncentrować na rozmówcy.

Zaktualizować, czyli co konkretnie zrobić?

– Zobaczyć, co dzieje się w rozmowie. Objąć ją autorefleksją. Wtedy konsultant tłumaczył, że dziecko wielokrotnie dopytywało, co powinno zrobić, jak się zwrócić do sprawców przemocy. Prosiło o radę i konsultant niestety jej udzielił. A można było poszukać innego rozwiązania, powiedzieć: „Rozumiem, że chcesz się skonfrontować z kolegami, którzy cię wyzywają, samodzielnie sobie poradzić. Słyszę jednak, że to zabrnęło za daleko i żadne słowa, które wypowiesz, prawdopodobnie nie zatrzymają sprawców. Porozmawiajmy o tym, co można zrobić, komu bezpiecznie powiedzieć o tym problemie, gdzie poszukać wsparcia. Wiem, że chcesz zmiany na lepsze. Wiem też, że jest to trudne, i nie chcę, żebyś był z tym wszystkim sam”. Nie chodzi o to, żeby zaognić



już i tak trudną sytuację. Nie możemy narazić dziecka na kolejny atak. Rozwiązaniem w sytuacji przemocy rówieśniczej nie jest motywowanie ofiary, by samotnie przeciwstawiła się oprawcom.

Jak skończyła się ta rozmowa? Udało się znaleźć kogoś dorosłego, kto mógł zareagować?

– Tak, rozmowa bardzo szybko poszła w stronę poszukiwania wsparcia wśród bliskich. Przekierowanie tematu dało dziecku ulgę i motywację do bezpiecznego działania na miarę jego możliwości. Moja interwencja była naprawdę drobna, zarówno konsultant, jak i dziecko wskoczyli na

z dzwoniącymi na ty, a nawet spotkaniach twarzą w twarz z osobą, z którą konsultant wiele razy rozmawiał. W moim rozumieniu pomoc telefonu zaufania nie na tym polega. Takie tendencje powinny być wyłapanie przez opiekunów dyżurów, innych konsultantów na dyżurze, na superwizji. Trzeba pamiętać, że towarzysko rozmawiamy ze znajomymi i przyjaciółmi, a nie z ludźmi, którzy potrzebują pomocy. Rozmowa towarzyska w telefonie zaufania to wyjście ze swojej roli.

Może część dzwoniących właśnie tego potrzebuje? Może dzwonią, bo szukają przyjaciela?

Dzielimy się z rozmówcami doświadczeniem, ale tym zawodowym, naszą wiedzą psychologiczną, a nie przekonaniem czy przeżyciami.

właściwe tory i rozmowa toczyła się dalej bez mojego aktywnego udziału. Ten przykład to również argument za tym, by podczas dyżurów w call center był opiekun, czyli ktoś, kto może pomóc odnaleźć się w rozmowie, a także, by dyżury w telefonie zaufania nie trwały zbyt długo. W rozmowach niezbędne jest refleksyjne podejście.

A czasami bywa towarzyskie?

– Słyszałam o takim towarzyskim rozmawianiu, przechodzeniu

– Część na pewno tak. Jednak my nie możemy protezować przyjaźni. Ale możemy porozmawiać o tym, co sprawia, że oni tych przyjaciół nie mają. Są osoby trwale samotne, pozbawione zasobów, w tym siły, by ruszyć do przodu. Zamiast udawać ich przyjaciół, możemy im pomóc zmierzyć się z problemami.

Co może zrobić wtedy konsultant?

– Pokazać, że potrzeba kontaktu z bliskim człowiekiem jest całkowicie naturalna, ale telefon zaufania

nie jest miejscem, gdzie nawiązuje się nić przyjaźni. Ja nie mogę być dla dzwoniącego przyjacielem, choćby dlatego, że mam już wystarczającą liczbę przyjaciół, a telefon zaufania to moja praca. Tak samo nie jestem w stanie być dla dzwoniącego jego matką, siostrą lub córką. Jestem tylko głosem w telefonie. I muszę zadbąć o to, by ktoś nie interpretował naszej rozmowy jako czegoś innego niż przestrzeni do rozwiązywania problemu. Warto mieć to wpisane w zasady, przegadać w zespole, inaczej konsultant może czuć się zagubiony.

Wyobrażam sobie, że rozmówca wywiera na konsultancie dużą presję.

Nie można działać schematycznie. Każda rozmowa to inny człowiek i wobec tego inny świat przeżyć.

– To prawda. Osoby samotne często podkreślają, że z nikim innym tak dobrze im się nie rozmawiało, że czują, że możemy się przyjaźnić, że właśnie takich rozmów potrzebują. My możemy w takim momencie odczuć satysfakcję, ale pojawia się też pytanie o to, kim jestem – przyjacielem czy profesjonalistą? (...)

Czy dzwoniący pytają, kim pani jest?

– Czasami pytają o to, gdzie jestem, skąd pochodzę. Jedni chcą być uprzejmi i myślą, że skoro ich wysłuchałam, to może chcę opowiedzieć teraz o sobie. Drudzy pytają, bo chcą się zbliżyć emocjonalnie, zaprzyjaźnić. Czasami wypytyują o prywatne sprawy jeszcze z innego powodu. Świadomie lub nieświadomie grają w grę „I tak mnie pani nie zrozumie”.

Jak to działa?

– Pada pytanie: „Ma pani dzieci?”. Jeśli konsultantka odpowie twierdząco, to dostaje pytanie dodatkowe o wiek potomstwa. Potem zapewne usłyszy, że dalsza rozmowa nie ma sensu, bo dziecko rozmówcy jest w innym wieku, więc „Na pewno pani nie zrozumie mojej sytuacji”. Inny przykład tego, co dzieje się w rozmowie, w której dochodzi do ujawnienia faktów ze swojego życia czy emocji przez konsultantkę: „A zostawił panią mąż?”. Jeśli konsultantka

odpowie, że mąż nie, ale za to porzucił ją narzeczony, to może usłyszeć: „Dziękuję za rozmowę, nie zamierzam zwierzać się osobie, którą ktoś porzucił, bo mi chodzi o to, żeby mnie mąż nie porzucił”. W rozmowie w telefonie zaufania nie ma miejsca na ujawnianie siebie, to często komunikacyjna pułapka. Wbrew temu, co wiele osób myśli, wcale nie muszą mieć wspólnych przeżyć z rozmówcami, żeby zrozumieć, z czym się mierzą. Potrafią stworzyć atmosferę, w której poczują się zrozumiani. Jeśli tylko na to pozwolą. A nawet gdybym miała przeżycia podobne do przeżyć moich rozmówców, nie

muszą o tym wiedzieć. Bo moje osobiste doświadczenie może (a nie powinno) wpłynąć na bieg naszej rozmowy. (...)

Czy pomoc psychologiczna nie polega na dzieleniu się swoim doświadczeniem? Osobiste doświadczenie nie ma znaczenia?

– Ależ my się dzielimy z rozmówcami doświadczeniem, ale tym zawodowym, naszą wiedzą psychologiczną, a nie przekonaniem czy przeżyciami. Wiele lat temu na pierwszym poziomie rekrutacji do telefonu zaufania pytaliśmy kandydatów, jak chcą rozwijać się zawodowo. Większość deklarowała, że chce być psychoterapeutami. Pytaliśmy studentów piątego roku, jaki nurt psychoterapeutyczny ich interesuje. Tu zaczynały się schody, wątpliwości, jakie istnieją nurty. Były trzy osoby rekrutujące, wśród nich ja. Jedna z kandydatek powiedziała, że ma świetną intuicję i ona wie, jaki nurt psychoterapeutyczny reprezentuje każda z osób w komisji. Pomyliła się zupełnie. Ta historia pokazuje, jak duże szkody mogą wyrządzić błędne założenia. Dlatego, gdy ktoś robi założenie, czy mu pomogę, czy mu nie pomogę, mówię tylko: „Proszę dać mi szansę”. Gdy jesteśmy w kryzysie, wydaje nam się, że inni mają lepiej. Nawet gdybym jako konsultantka w telefonie zaufania opowiedziała

o sobie i swoich problemach, dzwoniący by nie uwierzyli, że mogę mieć gorzej. A zajmowanie czasu, jaki mamy na rozmowę, opowieścią o moim życiu nie byłoby dla nich w najmniejszym stopniu pomocne. (...)

Czy zna pani przypadki pracowników telefonu zaufania, którzy szukają wsparcia i dzwonią anonimowo do telefonu zaufania?

– Chyba częściej rozmawiamy z kolegami i koleżankami z pracy, ale pracując w serwisie Życie Warto Jest Rozmowy, odpisuję na wiadomości od psychologów potrzebujących wsparcia, ze szkolnymi specjalistami rozmawiam na wideokonsultacjach. Szewc przecież nie może bez butów chodzić.

A pani jak sobie z tym wszystkim radzi?

– Staram się pamiętać, po co jest rozmowa, skupiam się na tym, jaki cel mają dzwoniący. Przecież ludzie nie po to dzwonią, by posłuchać o naszych trudach dnia codziennego. Dzwonią, by porozmawiać o pomysłach na ich życie, o ich problemach. Aby nie wkraczać w rozmowę ze swoim życiem, warto pamiętać, że to, co ja przeżyłam, nie jest ważne, że jestem jak płatek śniegu kompletnie inny niż płatek mojego rozmówcy. Nie mogę powiedzieć: „Byłam w podobnej sytuacji. Proszę zadzwonić do Y i zrobić X”, bo zrobiłaby się z tego rozmowa o mnie i moich doświadczeniach, a nie osoby, która dzwoni.

Czyli wracamy do zasady: to, co mnie wydaje się słuszne i właściwe w tej sytuacji, wcale nie musi być rozwiązaniem problemu dzwoniącego.

– Tak, ale do tego wniosku dojdziemy, dopiero gdy otworzymy się na rozmówcę. Rozmowa ma pomóc dzwoniącej osobie znaleźć w sobie odpowiedź, co zrobić, by przetrwać kryzys.



Fragmenty książki
Lucyny Kicińskiej
i Roberta Dobrowolowicza
*Słucham. Rozmowy
o telefonie zaufania,*
Prószyński i S-ka,
Warszawa 2025

Przymusowe adopcje

Jak Kościół handlował dziećmi niezamężnych kobiet

Maria Laurino

Turyń, 1963

Piękne miasto, które już od dworca kolejowego przywitało Francescę eleganckimi łukowatymi portykami i szerokimi, olśniewającymi bogactwem bulwarami, powinno było rozbudzić tę ładną ciemnowłosą dwudziestotrzylatkę. Przyjechała przecież z niewielkiego, prowincjonalnego miasta na południu Włoch. W innym momencie życia Franceski lśniący złotym blaskiem w pełnym słońcu Pad kusiłby, żeby pospacerowała wzdłuż jego brzegów. W innym czasie Francesca weszłaby do jednej ze słynnych starych kawiarni, wyłożonych złotymi lustrami i z marmurową posadzką. Napawałaby się tym doświadczeniem, oddychając głęboko i z walącym sercem, radośnie korzystając z młodości i odkrywając świat. Ale gdy tamtej wiosny Francesca przybyła do Turynu, rozpoczął się całkiem inny okres. To był czas jej znikania.

Poprzedniej jesieni pracowała jako zbieraczka oliwek w Apulii – kontynuowała tradycję długiej linii swoich przodków, uprawiających oliwki i tłoczących z nich oliwę. Delikatnie potrząsała gałęziami niewielkich drzew, a pulchne, dojrzałe owoce spadały na plandekę u jej stóp. Była to ciężka praca, dni długie i gorące, ale pewnej nocy otrzymała małą nagrodę. Jej szef, w którym się podkochiwała, zaproponował, że podwiezie ją do domu. Francesca była zachwycona, choć nie przewidziała, że szef wybierze trasę prowadzącą nad lazurowe morze i zatrzyma ją przy pokrytym strzechą *trullo*, typowym dla regionu domku zbudowanym z wapienia. W tym konkretnym *trullo* mieściły się bar i zajazd, który miał swoją tradycję wśród miejscowych mężczyzn.

Na początku próbowała ukryć przed matką zmieniające się powoli ciało, wyparcie było jedyną strategią radzenia sobie z tym, co wydarzyło się tamtej nocy. Jednak po czterech miesiącach ich domek, wybruszony i pęczniejący od krzyków i oskarżeń, znalazł się na krawędzi wybuchu. Francesca słyszała, ale już nie słuchała, zamknięta we własnych myślach i pragnieniach. Jedna kwestia była jasna: nie miała wyboru, musiała opuścić wioskę.

Podróż pociągiem do Turynu okazała się męcząca – ponad 15 godzin w dusznym wagonie pędzącym na północ. W ciasnej przestrzeni zamkniętego przedziału Francesca siedziała naprzeciwko swojego starszego brata, karabiniera stacjonującego właśnie na północy – wrócić do domu zdeteminowany, aby zmyć plamę, która zbrukała jego rodzinę. (...)

zmuszone odpokutować za swoje grzechy, podczas gdy mężczyźni nie ponosili żadnej odpowiedzialności.

Dzień rozpoczynał się od pięciokrotnego odmówienia różańca, a kończył się tą samą szepetaną litanią, każdy z paciorków oznaczał kolejne 150 powtórzeń modlitwy o łaskę Dziewicy. Jeśli Francesca uciekła, choćby na chwilę, przed codziennymi wyrzutami swojej rodziny, teraz szukała rozgrzeszenia przed znacznie większym autorytetem, tym wiecznym. Czas spędzony w tym domu klasztorze przypominał obudzenie się w świecie pokrytym pajęczyną – zasłona wstydu przysłaniała wszystko, wraz z całym ciałem dziewczyny, które ją zdradziło.

Podczas apatycznego oczekiwania, aż organizm będzie gotowy do porodu, zakonnice przygotowywały kobiety do ich wkrótce bezdzietnego

Zakonnice przygotowywały kobiety do ich wkrótce bezdzietnego świata, szkoląc je w pracach domowych.

Carabiniere zabrał Francescę do domu ich siostry, która mieszkała w Turynie. Francesca klóciła się z nimi obojgiem. Desperacko pragnęła zatrzymać dziecko. Nie chciała zniknąć. Ale wystali ją do domu dla niezamężnych matek, prowadzonego przez zakonnice, w którym zarabiała na swoje utrzymanie, sprząając, i poznała inne kobiety w podobnej sytuacji. Kobiety, które zostały kiedyś zgwałcone, uwiedzione i porzucone, naiwnie nieświadome w sprawach seksu i ciąży, lub kochanki mężczyzn wykształconych w sztuce moralnej manipulacji. Powstanie tego domu było możliwe dzięki charytatywnym wpłatom turyńskiej klasy wyższej, w tym żony słynnego dyrektora Fiata. Przebywały w nim kobiety z północy i południa Włoch, odizolowane,

świata, szkoląc je w pracach domowych. Niegdyś niezgrabne palce uczyły się szyc jedwabnymi niciami oraz zawiązać pastelowe włóczki wokół drutów. Potem zakonnice zabierały podopieczne do niewielkiego sklepu w centrum miasta, a zyski ze sprzedaży rękodzieła pomagały utrzymywać dom. Podczas jednej z bardziej okrutnych życiowych lekcji nauczyły Francescę, jak wydzierać dziecięce buciki.

Kiedy nastąpiła jesień, Francescę wysłano do turyńskiego szpitala położniczego na specjalny oddział przeznaczony dla grzesznic. Kobieta, która nosiła swoje dziecko przez dziewięć miesięcy, która w męczarniach urodziła syna Piera, bo takie imię wybrała dla niego już wcześniej, która karmiła go przez kilka bezcennych



Włoskie instytucje dla nieślubnych dzieci nazywano *brefotrofia*, a słowo to, ukute w XIX w. i zaczerpnięte z greckiego, wiązało się z wychowywaniem i karmieniem noworodków. Nz. jeden z takich ośrodków w Turynie.



dni i rozpaczliwie chciała go zatrzymać, miała zostać wymazana. Na oddziale położniczym miała nazwisko oraz dziecko, ale cztery dni później nie posiadała już ani jednego, ani drugiego. (...) We włoskim akcie urodzenia jej syna, zapieczętowanym przed wścibskimi spojrzeciami na kolejny wiek – co uniemożliwiało matce zdobycie informacji o synu, a zarazem zapewniało, że syn nigdy

nie znajdzie matki – zapisano: *nato di donna che non consente di essere nominata*, urodzony przez kobietę, która nie wyraziła zgody na podanie swojego nazwiska.

Nie miało znaczenia, że Francesca pozostała w Turynie przez kolejne trzy lata, aby być blisko dziecka. Pracowała jako niania u zamożnej rodziny i w rysach małego chłopca, którym się zajmowała, wyobrażała

sobie Piera. Nie miało znaczenia, że Francesca wielokrotnie wracała pod bramy sierocińca, chcąc odzyskać synka.

– Daj spokój, kobieto – powiedziała w końcu matka przełożona, zdecydowana położyć kres jej wizytom. – Twoje dziecko zostało wysłane do Ameryki. Jest w dobrej rodzinie.

Nie miało znaczenia, że słowa zakonniczki były kłamstwem – Piero został „zarezerwowany” dla konkretnej amerykańskiej pary, przez dwa kolejne lata mieszkał w sterylnym pokoju wypełnionym łóżeczkami płaczących dzieci, czekając, aż formalności zostaną załatwione, a wiza uzyskana, aby umożliwić międzynarodową adopcję. Nic nie miało znaczenia, ponieważ Francesca była już duchem. W oczach Kościoła bezimienna i bezdzietna, oficjalnie zniknęła.

Francesca dorastała w czasach, gdy Kościół rzymskokatolicki wyznaczał nie tylko kalendarz pór roku, ale także rytm życia kobiet. W nie tak odległym okresie, kiedy młode kobiety, naiwne, niedoświadczone przez życie zawziętości i sprzeczności, wpadały w tarapaty lub były zmuszone do zapłodnienia za złą decyzję, która została podjęta i będzie podejmowana niezliczoną ilość razy w historii ludzkości. Kobiety stłoczone niczym słoneczniki na polach rozciągających się daleko poza zasięg wzroku, z głowami pochylonymi w cichym wstydzie.

Ich istnienia pojawiają się jako cyfry w krajowych statystykach: dziesiątki tysięcy włoskich kobiet, które oddały swoje dzieci; pod koniec lat 50. ponad 200 tys. z tych dzieci korzystało z pomocy społecznej; te, którym się udało uciec przed dzieciństwem spędzonym w placówkach opiekuńczych dzięki adopcji przez włoskie pary; niemal 4 tys. innych, takich jak syn Franceski, wystanych komercyjnymi liniami lotniczymi do Ameryki. (...) Z historią, która przydarzyła się Francesce i podobnym do niej, każda kobieta może się utożsamić, a w skrytości ducha też się jej lękać: bać się koszmaru życia w społeczeństwie, w którym potężna religia i przychylny jej rząd dyktują bieg twoich dni.

► Kościół rzymskokatolicki nadał tym tysiącom dzieci wysłanych do Ameryki najpierw status „sierot wojennych”, a następnie po prostu „sierot” i umieszczał je u bezdziejnych par, które witały je z otwartymi ramionami. Głównym wymogiem wobec tych par było pobożne praktykowanie wiary katolickiej. Kościół realizował cały program, mimo że naruszał on włoskie prawo, na co agendy rządowe wielokrotnie zwracały uwagę watykańskim urzędnikom. Mimo to program działał w najlepsze. Dzieci otrzymywały wizy dzięki specjalnej klauzuli dodanej w 1950 r. do amerykańskiej ustawy o przesiedleńcach [Displaced Persons Act], w zamierzeniu będącej aktem hojności wobec dzieci, które

Urodził się we Włoszech. Został adoptowany przez siostrzenicę mojego ojca, pielęgniarkę, oraz jej męża lekarza, mieszkających w małym miasteczku w Ohio. Kuzyn przybył do Ameryki 16 kwietnia 1959 r., w wieku dziewięciu miesięcy, na tydzień przed moimi urodzinami. W tamtych czasach rodziny nie rozmawiały o szczegółach adopcji, a moi rodzice założyli, że zawarto umowę z włoskim lekarzem, w ramach zawodowej uprzejmości, i połączono potrzebujące domu dziecko we Włoszech z lekarzem i pielęgniarką w Ameryce, którzy mogli mu go zapewnić. Zgodnie z nieco plemiennym podejściem, typowym dla wielu rodzin, korzenie mojego kuzyna były mile widzianym dodatkiem.

sposobów traktowania matek biologicznych i ich dzieci. Przetwarzałam te informacje, próbując znaleźć w nich sens, ale po chwili całe akapity zostały skondensowane do pojedynczych zdań, a następnie do skupisk słów, które unosiły się w mojej głowie: Kościół rzymskokatolicki. Tajemnice. Księża. Tysiące. Fałszowane dokumenty. Martwe dzieci. Zakonnice. Przymusowe adopcje. Kłamstwa.

– Wyobrażasz to sobie? Być może moja biologiczna matka wciąż żyje i nawet nie wie o moim istnieniu. Czy tym internetowym plotkom towarzyszyła gra w głuchy telefon między adoptowanymi, w której fakty szepcane do ucha mutowały w szokujące opowieści? Czy może te historie stanowiły część większej zagadki, którą należałoby rozwiązać? Czy niektórym młodym kobietom powiedziano, że ich dziecko zmarło, by ułatwić proces adopcji? (...)

– Facet, który prowadzi tę grupę, nazywa się John Campitelli. Mogę spróbować cię z nim skontaktować. Mieszka we Włoszech i opowiedział mi o sierocińcu w Turynie. Zapropozował nawet, że mnie tam zabierze. Hej, naprawdę muszę już kończyć.

Kuzyn doleciał do Mediolanu następnego dnia, był 2017 r., a on zaczął swoją miesięczną samotną wyprawę rowerową po Włoszech. Odrzucił ofertę Johna Campitellego, by zobaczyć nieczynne już *brefotrofio* w Turynie. Nazywano tak włoskie instytucje dla nieślubnych dzieci, a słowo to, ukute w XIX w. i zaczerpnięte z greckiego, wiązało się znaczeniowo z wychowywaniem i karmieniem noworodków. Mój kuzyn od początku obawiał się otwarcia drzwi, przez które ostatecznie postanowił tylko zerknąć. Ja jednak weszłam, a to, czego się dowiedziałam, było znacznie gorsze od tego, co sobie wyobraziłam owego dnia: głosy matek i dzieci, ból całego pokolenia, zawsze przemawiają głośniejszy niż zdystansowany zbiór faktów i liczb.

Zgodnie z obietnicą mój kuzyn napisał do Johna Campitellego i wkrótce nawiązaliśmy kontakt, by rozpocząć serię długich rozmów telefonicznych oraz wymianę mejli i SMS-ów. John przekazał mi mnóstwo informacji, które wcześniej

Tysiącom dzieci wysłanych do Ameryki Kościół nadawał status „sierot wojennych”, a następnie po prostu „sierot” i umieszczał je u bezdziejnych par.

straciły rodziców podczas II wojny światowej. W rzeczywistości jednak poprawka zapewniała stały napływ nieślubnych dzieci do adopcji – od 1951 r. aż do końca lat 60.

Odkryłam tę przerażającą historię przypadkiem, podczas rozmowy telefonicznej. Kończyłam kawę i dojadłam jogurt, jak zwykle opóźniając wyjście na siłownię, gdy nagle zadzwoniła moja komórka.

– *Buon giorno, cugina!*

Natychmiast rozpoznałam głos kuzyna. Wychowany w Ohio i mieszkający na południu Florydy, nie mówi po włosku – nie inaczej niż pozostali członkowie naszej rodziny – a swoje powitanie wygłosił z przesadnym akcentem i płaskimi samogłoskami rodem z amerykańskiego Środkowego Zachodu.

Kuzyn szukał porady w sprawie podróży, próbując poruszać się po labiryncie bliźniaczych lotnisk w Nowym Jorku, gdzie mieszkam, aby wyruszyć w drogę do Mediolanu. Od miesięcy skrupulatnie planował samotną przejażdżkę rowerową po Włoszech, mierzył sakwy, ważył sprzęt na swoją liczącą ponad 3 tys. km podróż i nie chciał stracić ani jednego dnia. (...)

Moi dziadkowie z obu stron przybyli do wybrzeży Ameryki z Avellino i Basilicaty na początku XX w., kuzyn był więc prawdziwszym Włochem niż ktokolwiek z nas. Podczas tamtej sobotniej rozmowy, kiedy mój mąż sprawdzał w aplikacji, czy korki pozwolą dotrzeć o wyznaczonej godzinie z lotniska LaGuardia, krajowego węzła komunikacyjnego, na lotnisko Kennedy'ego i lot do Mediolanu, kuzyn podzielił się intrygującą informacją. Niedawno dołączył do zamkniętej grupy na Facebooku składającej się z setek osób, obecnie głównie w średnim wieku, wszystkich urodzonych we Włoszech i adoptowanych przez amerykańskie pary w ramach tego samego programu prowadzonego przez Kościół katolicki.

– Rozmawiałem z administratorem tej grupy i powiedział mi coś niesamowitego: wiedział, jakim lotem przyleciałem jako dziecko! – Mój kuzyn, z natury entuzjastyczny, mówił szybko, bo był pod presją czasu. Rozmawiał też z innymi członkami grupy. Jeden z nich (jak się okazało, wychowany w tym samym co kuzyn małym miasteczku w Ohio) wyrzucił z siebie strumień niepokojących historii, jakie usłyszał na temat ówczesnych

zebrał i skatalogował. Dowiedziałam się, z jak niezwykłą determinacją, cierpliwością oraz wytrwałością szukał swojej matki – od dzieciństwa przez całe dziesięciolecie. Przekazał mi istotną wskazówkę, jak odblokować sekrety programu: wiele archiwalnych dokumentów zmagazynowano w pudłach w Nowym Jorku, kilka kilometrów od miejsca, w którym mieszkałam.

Nie mogłam uwierzyć w ten geograficzny zbieg okoliczności. Całe lato spędziłam wtedy, czytając i fotografując sterty korespondencji między dwoma amerykańskimi księżmi: Andrew P. Landim, prowadzącym program w Rzymie, oraz Emilem N. Komorą, który ze swojego nowojorskiego biura znajdował domy dla dzieci w całym kraju. Dowiedziałam się, że ks. Landi odpowiadał przed prałatem Ferdinandem Baldellim w Watykanie, bliskim współpracownikiem papieża Piusa XII.

Baldelli miał kluczowe znaczenie dla dużego zasięgu całego programu z racji wpływu, jaki wywierał na różne kręgi – począwszy od duchownych, a skończywszy na ministrach w rządzie. Pośród tych akt znalazłam nawet notatkę o planowanym przybyciu mojego kuzyna (sprawa 21048) do Stanów Zjednoczonych. Następnym krokiem było spotkanie z Johnem Pierre'em Battersbym Campitellim i podróż do miejsca będącego emocjonalnym centrum tej historii. Akt urodzenia Johna mówi, że przyszedł na świat 23 września 1963 r. jako Piero Davi. Jest synem Franceski. Po tym, jak dwa lata spędził w turyńskim *brefotrofio*, adoptowała go amerykańska para z Nowego Jorku – Russell Campitelli i Barbara Battersby Campitelli, którzy dali mu na imię John. Barbara i Russell adoptowali także troje innych dzieci: bliźniaków, starszych braci Johna, oraz dziewczynkę, jego młodszą siostrę, wszystkie z tej samej turyńskiej instytucji.

John rozpoczął poszukiwania tam, gdzie zaprowadziły go książki telefoniczne. Wysłał listy do administracji regionu, w którym leży Turyn, i do głównego szpitala położniczego Sant'Anna, a także dzwonił do ludzi, którzy mogliby mieć jakiegokolwiek

informacje. Po raz pierwszy od czasów niemowlęctwa John wrócił do Instytutu Turyńskiego.

Instytut zamknięto w połowie lat 80., obecnie mieszkali w nim ludzie z niepełnosprawnościami, oferowano tam także schronienie dla samotnych matek z dziećmi. Oszczędzono mu widoku rzędów łóżeczek ustawionych w wąskich pokojach, w których kiedyś trzymano dzieci. (...) W porównaniu z resztą brefotrofi w całym kraju, zwłaszcza z tymi smutnymi, pozabawionymi funduszy miejscami na południu, Instytut Turyński był jednak instytucją najwyższej klasy. (...)

John zaczął wypełniać luki w swojej przeszłości, nawiązując istotne kontakty, spotykając ludzi, którzy pracowali w domu dziecka i rozumieli jego historię. Pracownik socjalny opisał mu typowy porządek dnia i wykazując się empatią, przekazał nazwiska

Głosy matek i dzieci, ból całego pokolenia, przemawiają głośniejszy niż zbiór faktów i liczb.

innych osób, które mogłyby pomóc. John odwiedził także szpital Sant'Anna i spotkał się z jego ordynatorem, człowiekiem o podobnych powiązaniach kulturowych – mężczyzna studiował w Ameryce i ożenił się z Amerykanką włoskiego pochodzenia.

Ordynator wyjaśnił mu, na czym polega prawo anonimowego zrzeczenia się, i opisał poważne przeszkody, jakie przed nim stoją. John nigdy nie przypuszczał, że wieki katolickiej historii postawią przed nim szyfrowaną skałę już na samym początku drogi. Jego mentorka Florence rozpoczęła swoje poszukiwania od istotnej wskazówki, czyli aktu urodzenia, a moment, w którym jako dziecko zobaczyła nazwisko „Fisher” na dokumencie znalezionym w biurze, wrył się w jej pamięć. Jednak zdecydowana większość włoskich dzieci wysyłanych do Ameryki w latach funkcjonowania programu dla sierot niosta ze sobą dziedzictwo anonimowego zrzeczenia. (...)

Żadna osoba o nazwisku Davi nigdy się nie dowie

o istnieniu chłopca o imieniu Piero urodzonego 23 września 1963 r., ponieważ gdzieś w Turynie w urzędzie stanu cywilnego siedział urzędnik, którego obarczono zadaniem fałszowania aktów urodzenia przez nadawanie fikcyjnych nazwisk nieślubnym dzieciom. Urzędnik był współczesną wersją tych średniowiecznych skrybów pozbawiających noworodki tożsamości i więzi rodzinnych za sprawą przypisania im nazwy domu dziecka, do którego zostały oddane – była to wówczas permanentna skaza znamionująca ich nieślubny status. Praktyka ta istniała aż do XIX w., kiedy to pojawiło się przekonanie, że nie powinno się obciążać dzieci piętnem ich nieślubnego pochodzenia. Zamiast tego zaczęto więc nadawać im nazwiska od określeń zwierząt, roślin czy minerałów, przypominających wskazówki do gry w kalambury. (...)

Tutaj jednak, w Turynie, w ostatniej dekadzie tysiąclecia, John miał szczęście spotkać człowieka, który zaoferował mu pomoc. Poprosił o trochę czasu na zbadanie sprawy, na co John chętnie się zgodził. Dwa tygodnie później ordynator skontaktował się z Johnem. Znalazł akta kobiety, która 23 września 1963 r. została przyjęta do szpitala Sant'Anna i urodziła chłopca o imieniu Piero. Przesłał Johnowi zanonimizowane informacje potwierdzające, że *donna che non consente di essere nominata* zrzekła się do niego praw. Ten fragment z akt Johna byłby kolejnym szeptem w pustce historii, gdyby nie fakt, że lekarz podzielił się, *sotto voce*, istotną informacją:

– Tracisz czas w Turynie. Musisz szukać na południu, twoja matka pochodzi z prowincji Brindisi. To wszystko, co mogę ci powiedzieć, nie pytaj mnie o nic więcej.

Fragmenty książki Marii Laurino *Dzieci Watykanu. Jak Kościół handlował „sierotami”*, przeł. Anna Halbersztat, Znaki Literanova, Kraków 2025



Odwołany po raz trzeci

To, że Radosław Sikorski został wicepremierem, nie jest rzeczą dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych najważniejszą. Może to być ważne dla samego Sikorskiego, dla jakiejś grupy osób wokół niego, ale nie dla ludzi z gmachu. Bo nic w ich pracy się nie zmienia.

Nawiasem mówiąc, MSZ ma taką cechę, że tabliczki z tytułami to jedno, a życie realne to drugie.

Oto bowiem mieliśmy w połowie lipca wydarzenie – MSZ oficjalnie odwołało z Budapesztu ambasadora Sebastiana Kęćka. „Powód, dla którego pan ambasador Sebastian Kęćka został odwołany do Warszawy, nie ustał, a był następujący: Węgry wykonały w stosunku do Polski gest nieprzyjazny, spreczny z zasadą lojalności w UE, czyli przyznały azyl polityczny byłemu wiceministrowi w Ministerstwie Sprawiedliwości Romanowskiemu, który jest oskarżony o przestępstwa kryminalne i finansowe”, tłumaczył rzecznik MSZ Paweł Wroński.

W ten oto sposób ambasador został odwołany po raz trzeci.

Po raz pierwszy odwołano go styczniu 2024 r., kiedy minister Sikorski ogłosił, że część ambasadorów zakończy swoją misję. Wtedy pojawiła się lista ok. 50 ambasadorów, którzy mają z placówek wrócić – i było na niej nazwisko Kęćka. Jeszcze – powiedzmy – nieoficjalnie, ale każdy wiedział, że się pakuje. Tak jak i inni z „listy 50”.

Jednak akurat w jego przypadku MSZ-owskiej pary starczyło na zapowiedzi, bo nadal urzędował w Budapeszcie. Potem przyszło kolejne wydarzenie – wspomniany Marcin Romanowski uciekł w grudniu 2024 r. na Węgry, tam poprosił o azyl polityczny i go dostał.

Polska w związku z tym wezwała Kęćka do kraju na „bezterminowe konsultacje”. A placówką kierował chargé d'affaires a.i.

Teraz mamy trzecie odwołanie – Kęćka już nie musi wracać, bo wrócił, natomiast ranga placówki została obniżona. Już nie kieruje nią ambasador czy też jego czasowy zastępca, lecz zwykły szarżyk.

Niektórzy więc ubolewają, że oto załamują się polsko-węgierskie kontakty. Czyżby? Przecież w ostatnich latach nie zależały one od osoby ambasadora. Dowodzi tego sam Kęćka. Otóż zanim został ambasadorem (w wieku 32 lat!), nie przepracował nawet pół godziny w MSZ. Za to pracował w Kancelarii Premiera, najpierw jako zastępca dyrektora, a potem jako dyrektor Departamentu Koordynacji Projektów Międzynarodowych. Zatem to Morawiecki z Dworczykiem pchnęli na Węgry swojego człowieka, ku ogólnemu zgorszeniu.

Dlaczego im się to udało? Z prostego powodu – MSZ w sprawach polsko-węgierskich odgrywało rolę techniczną, nie tu rodziły się pomysły. Wspomniany przez nas parę tygodni temu Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka narodził się podczas wspólnej biesiady Kaczyńskiego z Orbánem. Decydowały więc partyjne koneksje.

Jerzy Snopek, poprzednik Kęćka w Budapeszcie, też nie miał w swoim CV pracy w MSZ. Ale, w przeciwieństwie do następcy, był postacią cenioną – jako profesor, badacz literatury, znawca kultury Europy Środkowej oraz tłumacz. Jego erudycja była zaletą i przekleństwem. Do dziś w MSZ opowiada się historie o tym, jak Snopek, pytany o najprostszą sprawę, odpowiadał długim, pełnym dygresji wykładem. Nie przez niego więc sprawy były realizowane, inne były kanały komunikacji.

Zresztą one działają – przykład Marcina Romanowskiego pokazuje, że sprawnie. Ale niewiele ma to wspólnego z MSZ.

Attaché

Utalentowana labradorka Dali z Hajdarabadu w Indiach robi furorę w świecie sztuki i mediach społecznościowych. Za pomocą specjalnie zaprojektowanych pędzli tworzy abstrakcyjne obrazy, które znajdują nabywców w wielu krajach.



PENETRACJE

ANGORA

HENRYK MARTENKA,
PUBLICYSTA

Wolnościowiec to dzisiaj w języku debaty politycznej ktoś, kto przeczy znaczeniu tego pojęcia. Wolnościowcami są Karol Nawrocki, Mentzen, Korwin-Mikke i Braun, by sięgnąć do powyborczego spisu z natury. Ekipa, która precyzyjnie pokazuje, że nie rozumie tego trudnego terminu. Dla Nawrockiego, dajmy na to, wolność to unikanie zobowiązań wobec państwa, konkretnie – negowanie szczepień obywateli. Nawrocki mówi szczepionkom: „Nie! To ogranicza wolność Polaka!”. Dziś za czołowego wolnościowca uchodzi Mentzen, który uwarunkował poparcie w II turze kampanii prezydenckiej od decyzji w kwestii nieograniczania Polakom dostępu do broni. Absurdy takich postaw, poza obnażeniem głupoty ich przedstawicieli, wskazują wszakże na ignorancję części społeczeństwa, które popiera wspomnianych w każdym, jakich bądź, wyborach.

MONDE
diplomatique

PRZEMYSŁAW WIELGOSZ,
REDAKTOR NACZELNY

Chyba coś jednak zadziało przeciw kandydatowi rządzącej koalicji. Na przykład zabawa w rewitalizowanie trupa deregulacji z człowiekiem, który dorobił się na prywatyzacji usług pocztowych i wyzysku pracowników. Albo porzucenie praw kobiet i związków partnerskich. Albo zabieranie dopłat do cen energii jedną ręką i pomysły na sypianie kasy deweloperom drugą. Albo próby rozwalenia budżetu służby zdrowia i deklaracje wzrostu wydatków na zbrojenia kosztem zaspokajania potrzeb społecznych. A może po prostu wszystko razem wzięte sprawiło, że kandydat niecierpiący na nadmiar politycznej osobowości i odwagi mówienia własnym głosem musiał przepaść.

na szczycie

MAŁGORZATA SZUMSKA,
WŁAŚCICIELKA PENSJONATU ŻŁOTY JAR
W GÓRACH ŻŁOTYCH

Większość osób, które tu pracują, to kobiety. Są menedżerkami, właścicielkami, pracownicami. We wszystkich naszych obiektach zatrudniamy 100 osób na stałe, a w sezonie wysokim ok. 160. Mam wspaniałą zespół zaangażowanych ludzi, lokalsów, którzy traktują tę firmę jak swój drugi dom. Pomagają nam ten biznes ciągnąć i są z niego dumni. Teraz już jest łatwiej, ale początki były trudne. Musiałam wszystkiego się nauczyć. Popelniałam błędy, często kosztem naszych gości. Teraz w Polsce jest np. moda na takie slowhopowe miejsca (miejsca z duszą). Tymczasem ludzie nie zdają sobie często sprawy, ile lat potrzeba, by zacząć zarabiać. Stworzyć markę i zbudować zespół stałych ludzi, którzy wiedzą, co robić. Obecnie zajmują się marketingiem, wizją i pchaniem wszystkiego do przodu większymi krokami.

PANI MARTA ŻMUDA TRZEBIATOWSKA,
AKTORKA

Kiedy zdawałam do szkoły teatralnej, wiedziałam, że mam sporo do zaoferowania światu artystycznemu. To może brzmieć bałwochwalczo, ale nie wynikało z braku samokrytyki. Po prostu zdawałam sobie sprawę, że posiadam tak ważną w tym zawodzie właściwość, dużo pokory i jestem pracowita. Jednak kiedy zaczęłam odnosić sukcesy, pojawiło się dużo głosów, w tym moich koleżanek i kolegów, że wcale nie jestem zdolna, a sukces zawdzięczam wyłącznie warunkom zewnętrznym. Że nie przemawia za mną talent, tylko uroda. To było dla mnie bolesne, bo uważałam, że jest bardzo niesprawiedliwe. Poza tym stanowiło spore zaskoczenie, bo nigdy nie myślałam o sobie w kategoriach „ta ładna”. Wręcz przeciwnie, nikt w domu nie zachwycał się moją urodą.

TE BELE SŁOMY Z TYŁU



TO WSZYSTKO Z MOICH BUTÓW



Sarka Farka

To kto teraz będzie sprzątał?

Żurek



Kiedy chcesz nielegalnie
przekroczyć Odrę

ale wartość trzyma

najprawdziwszy konfederata
z ruchu obrony granic

Sarka Farka

Bałtyk



Morze polskie, ceny niemieckie,
a pogoda angielska...

UWAGA, BYKI!

Poprawa byków w tekstach krzyżówek to duże wyzwanie dla korektorów. Oto objaśnienia przed korektą, z błędnym słowem. Popraw błąd, a następnie odgadnij hasło.



U

* plusy na sosie

S

* śniadanie wprowadza w błąd

W

* zostawia wagony

ROZWIĄZANIA: OKULARY, OSZUST, MANEWROW



Aby język giętki...

MICHAŁ SZUŁDRZYŃSKI O ADAMIE BIELANIE

Jeden z największych szkodników w historii polskiej polityki.

KRZYSZTOF VARGA O GRZEGORZU BRAUNIE

Z gaśnicy zrobił sobie ten niebezpieczny błazen znak rozpoznawczy.

RAFAŁ WOŚ O ADAMIE SZLAPCE

Człowiek o charyzmie znaku drogowego, który poległ już w pierwszym starciu z tak ostrym krytykiem rządu jak Piotr Kraśko z TVN.

PIOTR SZUMLEWICZ O OPZZ

OPZZ niewiele się różni od Solidarności. To związek, który niewiele się zmienił przez ostatnie 40 lat.

EWA WIŚNIEWSKA O CASTINGACH

Nie wzięłam udziału w żadnym. Jeśli ktoś się zastanawia, czy mnie obsadzić, może popatrzeć, co zrobiłam przez 60 lat.

ŁUKASZ ORBITOWSKI O OJCU I SYNU

Miłość dziadków do wnuka należy do szczególnych, ponieważ w większości przypadków jest tą ostatnią, która zdarza się nam w życiu.

JULIA PIETRUCHA O INTUICJI

Jestem intuicyjna i nie boję się zmian. I jeśli pojawia się we mnie pragnienie, to powinnam za nim podążyć, nie zważając na konsekwencje.

MELA KORNELUK

O NOWEJ PŁYCIE „HARMONIA”

Jest o komunikacji i łączeniu się z innymi ludźmi. Trzeba szukać harmonii na własnym podwórku, balansując w tym chaosie.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępca redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarze redakcji:

Agata Gogolkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Marzena Michalek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morzoi i.morzoi@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek,

Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski,

Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini,

Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Patkiewicz, Rafał Pikuła,

Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,

Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumulowicz,

Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak,

Andrzej Werbilan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,

Artur Zaborski, Beata Znamierowska-Soczawa

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun,

Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski,

Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki,

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak,

Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoredaktorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Koordynator do spraw promocji i reklamy:

Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów

opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest

zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie

niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi

odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszaków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

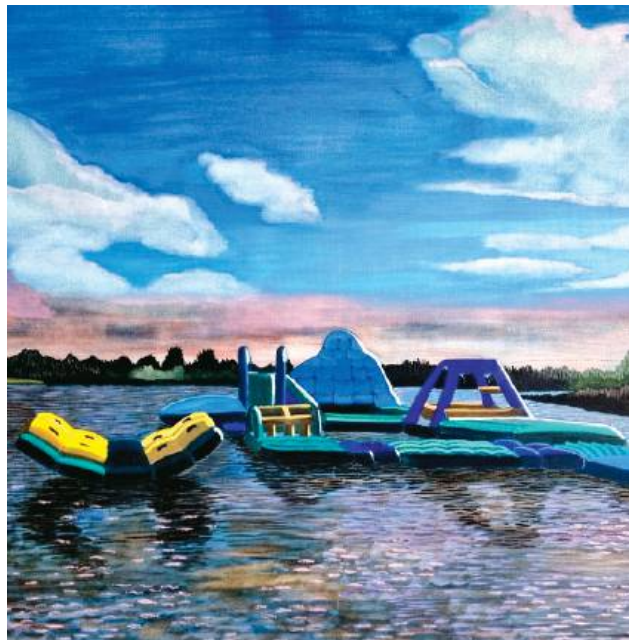
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: W BKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



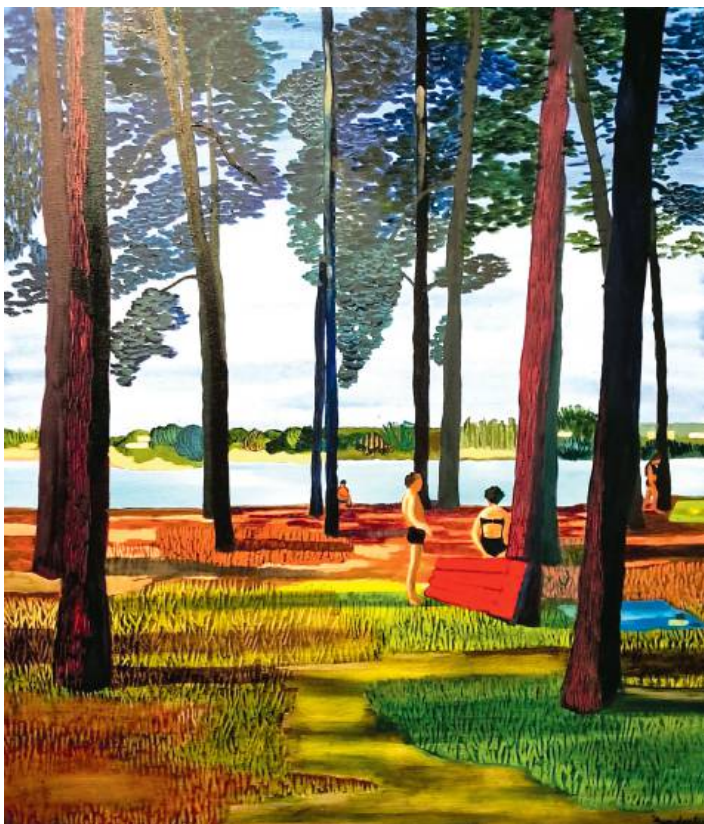


KAROLINA ŚWIDECKA **BARDZO DŁUGI LIPIEC**

Karolina Świedcka tworzy malarstwo pełne spokoju i wrażliwości – zawieszona między codziennością a wspomnieniem, między chwilą a tęsknotą. Jej obrazy, choć zakorzenione we współczesności, niosą atmosferę minionego wieku, przywołując elegancję i melancholię dawnych letnich sezonów. Artystka z niezwykłą finezją operuje kolorem – nasycone, ale subtelne barwy stają się nośnikami emocji, światła i nastroju. Z pozornie prostych motywów – wody, nieba, drzew, postaci – buduje zamknięte, sugestywne światy, w których czas płynie inaczej. Przypominają one

malarstwo Rafała Malczewskiego, lecz mówią własnym językiem. Bez troski i piękno letnich dni przeplatają się z niepokojem i przecuciem końca. Świedcka patrzy uważnie, cicho towarzysząc widzowi – jakby chciała zatrzymać to, co ulotne, zanim zniknie w cieniu nadciągającej burzy.

BWA Krosno
ul. Wojciecha Roberta Portiusa 4
do 2 sierpnia





CÉSAR
ACADÉMIE DES
ARTS ET TECHNIQUES
DU CINÉMA
NAJLEPSZE KOSTIUMY
NAJLEPSZA SCENOGRAFIA
/NOMINACJE/



W ROLI GŁÓWNEJ
SANDRINE KIBERLAIN

BOSKA

Sarah Bernhardt

Biografia ikony teatru uznawanej za pierwszą celebrytkę

W KINACH OD 8 SIERPANIA



31

MIĘDZYNARODOWY PLENEROWY FESTIWAL JAZZ NA STARÓWCE 5.07-30.08.2025

2 sierpnia: Francesca Tandoi Trio

9 sierpnia: Piotr Wojtasik Quintet Premiera Inscape

16 sierpnia: New Bone Quintet Premiera Sorrow

23 sierpnia: Nduduzo Makhathini Trio

30 sierpnia: EABS The Very Best

Warszawa, Rynek Starego Miasta, godz. 19⁰⁰

www.jazznastarowce.pl

facebook.com/festiwaljazznastarowce

Organizator

JAZZ ART
FUNDACJA



Współorganizatorzy i partnerzy



Partnerzy



Partnerzy



Partnerzy



eprasa.pl b2d4fa167d